

# ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ  
ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW  
PL ISSN 1426-2126



59 2014



# Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
NR 59 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2014

## Spis treści

- **Agnieszka Czarkowska**  
*Wychować lepsze pokolenia –  
Rozmowa z Tadeuszem Truskolaskim,  
prezydentem Białegostoku* 3
- **Małgorzata Koronkiewicz-Hupajło**  
*Postawy ziemianek polskich w czasie  
powstania styczniowego...* 9
- **Adam Czesław Dobroński**  
*Przypadki Polaków w Wierchoturie  
(1863-1864)* 27
- **Andrzej Niedziela**  
*Od niemieckiej lotnej dywizji  
do V Dywizji Strzelców Polskich  
na Syberii* 37
- **Stanisław Fudali**  
*„Siódme – nie kradnij”,  
a jak uczciwie żyć* 57

## RELACJE Z ZESŁANIA

- **Tadeusz Konopacki**  
*Wspomnienie o Witoldzie lub  
Wiktorze Skwarczewskim...* 65
- **Edward Powążyński**  
*Z zapisków Sybiraka,  
żołnierza Brygady Karpackiej* 73

## KRONIKA

- **Mieczysław Szewczuk**  
*O wystawie Hilarego Gilewskiego...* 89
- **Małgorzata Jurecka**  
*Moje wspomnienia z Karagandy* 97
- **Regina Madej-Janiszek**  
*Wieczór kazachstański  
z Adolfem Januszkiewiczem* 99
- **Oleg Ugriumow, Janusz Kobryń**  
*Pamięć nie zna granic* 103

## Od redakcji

Już ponad 16. lat lektura „Zesłańca” pozwala śledzić złożone losy Polaków na syberyjskim zesłaniu a także poznać pełniej tło historyczne tych związków. Dążeniem naszym jest nie tylko pogłębienie wiedzy z zakresu tych złożonych kontaktów, mających przede wszystkim poniewolny charakter, ale również pełniejsze zainteresowanie Czytelników tą historią. Nie pomijamy więc starań dotyczących przybliżenia tych jakże złożonych i odległych dziejów polsko-syberyjskich oraz postaci z nimi związanych.

Poznanie tych rozległych tematycznie obszarów wiedzy nasuwa nieodparcie szereg głębokich refleksji bardzo różnorodnej natury. Artykuły historyczne oraz relacje z zesłania wciągają w wir tych związków, wtajemniczają w sieć ludzkich losów, walki o przetrwanie oraz w trapiącą zesłańców nadzieję powrotu do ojczystego kraju. Ale częstokroć też publikowane artykuły ukazują wyraźnie, że polscy zesłańcy z XIX stulecia, a także dobrowolni przybysze z Królestwa Polskiego dali syberyjskiej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności, przyczyniając się do poznania kultury tubylczych ludów, odkryć geograficznych, zagospodarowania rolniczego, rozwoju oświaty i różnych innych dziedzin gospodarki.

W tym kontekście sytuuje się wiele przykładów, które coraz częściej ujawniane są przez rosyjskich historyków, zwłaszcza z akademickich środowisk syberyjskich (Abakan, Barnauł, Irkuck, Jakuck, Južno-Sachalińsk, Nowosybirsk, Omsk, Tomsk, Ułan-Ude), a niektórzy z nich legitymują się świadomością swoich odległych polskich korzeni. Przywołać tu należy również niezwykle cenne spostrzeżenia Czytelników odnoszące się

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Stanisława-Sabine Chobian-Chéron, *Les Coquelicots de L'espérance, ou la lettre a Staline d'une jeune Polonaise*; Paris 2013; Stanisława Chobian-Chéron, *Wędrawne Maki*, Warszawa 2007  
(Elżbieta Trela-Mazur) 111
- Anna Maria Stogowska, *W służbie ludzi i Ojczyzny. Aleksander Maciesza (1875-1945)*, Płock 2013  
(Małgorzata Dziura) 113
- *Istorija i kultura koriennych narodow Dalniego Wostoka...*, Južno-Sachalińsk 2013  
(Anna Milewska-Młynik) 116
- *Поляки в Томском крае...*, Томск 2013  
(Bogusław Kosel) 119
- *Wspomnienia deportowanych*, Hajnówka 2013  
(Zygmunt Jancewicz) 122
- Henryk Kanikuła, *Kurhan Polki...*, Lublin 2013  
(Małgorzata Dziura) 125

Na okładce: Wierchoturie. Klasztor. Zdjęcie z 1910 roku. Wikipedia (s. 1); plakat informujący o spotkaniu z cyklu „Wieczory kazachstańskie” w Muzeum Niepodległości w Warszawie (s. 4).

### Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny

Związku Sybiraków,  
ul. Mazowiecka 12

00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,  
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,  
A. Kuczyński (red. nacz.), S. Sikorski,  
P. Zworski

Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska  
Wykonawca: Skład, druk i oprawa –

QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,  
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”  
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3  
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

właśnie do potrzeby pełniejszego prezentowania tych zagadnień, wyluskiwania z nich zasługujących na uwagę ciekawych i znaczących osiągnięć Polaków na rozległych zauralskich obszarach. Ślady polskości wyznacza wiele znaków na sybirskich szlakach, wiele odczuć i uczuć. „Zesłaniec” służy ich przypominaniu i utrwalaniu. Przywraca zauralską przeszłość Polaków nie tylko w zakresie traumatycznych przeżyć, lecz przypomina również ich osiągnięcia badawcze w dziedzinie geografii, geologii czy etnografii. Prawdy o przeszłości nie wolno przemilczać (R. Legutko), i na to zawsze zwracamy uwagę w notach „Od redakcji”!

Ograniczono się tu do zasygnalizowania zaledwie kilku wątków, pomijając wiele innych, które rzecz jasna mogą być uznane za równie ważne a nawet bardziej istotne. W imię pewnego solidaryzmu tematycznego „Zesłaniec” ukazuje tragiczne losy Polaków w sowieckich łagrach, życie w zesłańczych osadach, groźbę śmierci głodowej czy umieranie. Ci, którzy pamiętają tamte lata, wiedzą, jak złożone były to problemy wynikające z życia na zesłaniu. Na szczęście po latach cenzuralnych zakazów współczesna nasza historiografia powiedziała w tej sprawie ważne słowo, a i Związek Sybiraków odegrał w tym swoją istotną rolę.

Przyglądając się tym rozległym tematycznie związkom polsko-syberyjskim także w tym numerze naszego pisma widać konsekwencję w rozwijaniu i kontynuowaniu pewnych ciągów problemowych. Tę różnorodność zawdzięczamy naszym Autorom, których artykuły spełniają niewątpliwie rolę przewodnika po syberyjskich szlakach Polaków. Skądinąd najważniejszą rzeczą jest fakt, że wiele wątków przedstawionych w tych artykułach pozostaje w pamięci naszych Czytelników, czemu dają wyraz w listach do redakcji. Czekamy więc na dalsze oceny, zapraszamy na łamy „Zesłańca” i jednocześnie dziękujemy za wspieranie nas w tym redakcyjnym trudzie.

Wiesław Krawczyński  
Przewodniczący Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

---

---

**AGNIESZKA CZARKOWSKA**

## **WYCHOWAĆ LEPSZE POKOLENIA – ROZMOWA Z TADEUSZEM TRUSKOLASKIM, PREZYDENTEM BIAŁEGOSTOKU**

**A.C: Kiedy po raz pierwszy usłyszał Pan o idei powstania Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku?**

T.T: W urzędzie miasta po raz pierwszy konkretna rozmowa na ten temat miała miejsce na przełomie 2010 i 2011 roku. Było to związane z pewnymi działaniami, które co roku powtarzają się w naszym mieście już od wielu lat, a mianowicie z Marszami Żywej Pamięci Polskiego Sybiru. Przy okazji tego marszu uczestnicy odwiedzają również małą wystawę w kościele Ducha Św. poświęconą właśnie zesłańcom. Na tej bazie urodził się pomysł, żeby stworzyć coś większego. Pewną inspiracją było także Muzeum Powstania Warszawskiego, które rzeczywiście odniosło ogromny sukces, ze względu przede wszystkim na swoją ideę, ale i ze względu na sposób ekspozycji i sposób ekspresji, która działa na odwiedzających.



Prezydent Tadeusz Truskolaski na Marszu Sybiru. Fot. J. Żamojda

Myślę, że to dosyć naturalne. Po pierwsze – nikt wcześniej do tego nie aspirował, po drugie – tradycja wspomnianych Marszów Pamięci, w których uczestniczy co roku kilkanaście tysięcy ludzi, głównie młodych, delegacje z całego kraju i zagranicy. Z tego powodu Białystok jest naturalnym kandydatem na umiejscowienie takiej instytucji. Ale przede wszystkim Białystok to największe miasto w granicach obecnej Polski, które doświadczyło okupacji sowieckiej. Stąd podczas masowych czterech deportacji wywieziono około 20 tysięcy osób, zarówno mieszkańców, jak i tych, którzy znaleźli się tutaj w wyniku działań wojennych. Nadal jest tu duża grupa ludzi, którzy doświadczyli koszmaru zesłania, działa tutaj prężnie środowisko sybirackie. Pewną tożsamością naszego miasta jest pamięć o Sybirze, o tych, którzy ucierpieli na tej nieludzkiej ziemi. Nie bez znaczenia jest też osobisty wkład prezesa Związku Sybiraków, pana Tadeusza Chwiedzia, który przez cały rok pracuje, aby tę ideę upamiętniać. Inne miasta też próbują znaleźć tę swoją tożsamość – Gdańsk na przykład buduje Muzeum II Wojny Światowej, z tego względu, że pierwsze strzały padły na Westerplatte. U nas historyczną tożsamością miasta jest sowiecka okupacja i deportacje. Jesteśmy najbardziej na wschód wysuniętym dużym miastem i geograficzne położenie też nas warunkuje. Jeśli kogokolwiek w Polsce zapytać, gdzie leży Białystok, to na pewno powie, że na wschodzie.

**Na jakim etapie inwestycyjnym jest obecnie Muzeum Pamięci Sybiru? Jak bardzo samorząd angażuje się w tę inwestycję?**

Mamy przede wszystkim wybrane miejsce. Idealną lokalizacją jest obszar Węglówki, dawne magazyny wojskowe. Docierają tam tory kolejowe, co jednoznacznie się kojarzy z wywózkami i ten element także będzie przez muzeum wykorzystany. Mamy opracowaną przez Jana Kabaca koncepcję architektoniczną. W tym roku został ogłoszony konkurs na projekt aranżacji wystawy stałej, jego rozstrzygnięcie planowane jest na wrzesień. Na aranżację wewnątrz wstępnie planowane jest około 7 milionów złotych. W tym i przyszłym roku zaplanowaliśmy w budżecie około 800 tys. zł na wydatki związane z muzeum, pozyskujemy też środki zewnętrzne – otrzymaliśmy już dotację w wysokości 300 tysięcy złotych na dokumentację projektową. Ale nie ulega wątpliwości – chcemy, aby główne środki pochodziły z funduszy unijnych. Liczymy, że to dofinansowanie będzie wynosić około 85%, a pozostałe 15% pokryjemy z budżetu miasta. Nie są to dokładne szacunki, ale myślę, że koszt powstania Muzeum Pamięci Sybiru bez układu drogowego będzie oscylować w granicach 30 do 40 milionów złotych. Tak więc wkład własny wyniesie około 5-6 milionów złotych. Uważam, że Białystok na to stać, tym bardziej, że to muzeum będzie bardzo ważne w promocji miasta.

**Kiedy więc rozpocznie się budowa?**

Wyznaczenie dokładnego terminu położenia kamienia węgielnego nie jest dziś możliwe. Trwa oczywiście od trzech lat praca merytoryczna – oddział Muzeum Wojska zbiera relacje, pamiętki, opracowuje zbiory. Ale z drugiej strony rysuje się plan inwestycji – w tym roku Zarząd Dróg i Inwestycji Urzędu Miasta przygotowuje dokumentację i jesienią rozpocznie się procedura przetargowa. Zakończenie całej inwestycji jest planowane na koniec 2016 roku.



### Czy to są założenia optymistyczne czy raczej ostrożne?

Powiedzmy – optymistyczne z przewagą realizmu. Wielokrotnie mieliśmy problemy z różnego rodzaju inwestycjami, głównie z tego powodu, że przetarg wygrywa ktoś, kto okazuje się mało solidny. Przy naszym prawie zamówień publicznych opóźnienia są niestety niemal normą, ale optymizm musi dominować. Wierzymy, że do tej pory zmieniają się zasady przetargów i najniższa cena nie będzie najważniejszym wyznacznikiem. Rok 2016 nie obliży nas żadną rocznicą, czy jakimś ważnym wydarzeniem, ale chcielibyśmy dotrzymać słowa. W tej chwili nie ma zagrożenia dla tego terminu, założony harmonogram prac jest realizowany. Jednak zawsze jestem ostrożny, jeśli chodzi o takie deklaracje, bo wiele zależy od solidności wykonawcy.



Dawny magazyn wojskowy na Węglówce w Białymstoku, przyszła siedziba Muzeum Pamięci Sybiru. Fot. A. Czarkowska

### Powiedział Pan o funduszach europejskich. Skąd konkretnie przewidyje Pan pozyskanie tych pieniędzy?

Z której szufladki będą pochodzić te pieniądze, trudno w tej chwili sprecyzować, bowiem plan podziału funduszy strukturalnych na lata 2014-2020 nie jest jeszcze ustalony. Najprawdopodobniej będzie to program operacyjny Polska Wschodnia – w zaleceniach były tam działania, takie jak rewitalizacja obszarów wojskowych na cele gospodarcze i pozagospodarcze, a więc kulturalne również. Muszę powiedzieć jeszcze jedno – idea Muzeum Pamięci Sybiru, jak i druga kulturalna inwestycja w naszym mieście, czyli Galeria Arsenał – cieszą się dużym osobistym poparciem ministra kultury Bogdana

Zdrojewskiego. Teraz pan Zdrojewski przechodzi do europarlamentu, ale mam nadzieję, że nadal będziemy doświadczać zyczliwości ze strony ministerstwa.

**Wspomniał Pan o pracy merytorycznej, która jest już prowadzona przez kilku pracowników istniejącego przy Muzeum Wojska oddziału Muzeum Pamięci Sybiru. Jest to jakiś załączek przyszłych kadr, jednak czeka ich ogrom pracy – przygotowanie koncepcji historycznej, muzealnej, edukacyjnej. Kiedy samorząd jako właściciel instytucji planuje rozpocząć zatrudnianie specjalistów?**

Oczywiście w miarę potrzeb. Uznaliśmy, że docelowo w Muzeum Pamięci Sybiru będzie pracować około 45 osób i wraz z rozwojem tego projektu będziemy zatrudniać, ale także wykorzystywać zasoby urzędu. Ludzie będą pojawiać się stopniowo, w miarę zgłaszanych przed dyrektora Muzeum Wojska potrzeb. Na razie nie ma takich potrzeb. My na razie chcemy współpracować z Polską Akademią Nauk, współpracujemy z muzeami w Rosji z Tomską czy Permu. Mamy ambicje, aby Muzeum Pamięci Sybiru oprócz martyrologii narodu polskiego, przedstawiało również wkład Polaków w rozwój Syberii. Miałem okazję być w kilku miastach Syberii – w 2011 roku odwiedziliśmy Tomsk, Irkuck, gdzie spotkaliśmy się z ciepłym przyjęciem, zrozumieniem i zainteresowaniem naszą ideą.

**Komu, Pana zdaniem, ma służyć to muzeum? Jaki będzie jego zasięg?**

Mamy oczywiście ambicje, aby było to muzeum ogólnopolskie, bo to tragiczna karta nie tylko w historii ziem wschodnich Rzeczypospolitej. To dotyka całej Polski. To ma być polska instytucja, która będzie dokumentować, badać i zachowywać dla przyszłych pokoleń pamięć o różnorodnych doświadczeniach Sybiru. Będzie świadectwem wielu tysięcy ludzi zesłanych przymusowo na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód. Ale jednocześnie ma opowiadać historię tych, którzy znaleźli się tam z własnej woli, jak na przykład mieszkańcy Wierszyny koło Irkucka, których przodkowie wyjechali tam z okolic Sosnowca, czy też wsi Białystok, których dziadowie i pradziadowie pojechali tam dobrowolnie, szukając lepszego życia. Takie sytuacje miały miejsce na początku XX wieku. W zamyśle twórców, muzeum będzie opowiadać o tragedii deportowanych, odwadze, jaką się wykazali podczas zesłania, jednocześnie pokazując tych, którzy podjęli wyzwanie naukowej, gospodarczej czy kulturalnej eksploracji tych ziem. Wierzymy, że będzie to przede wszystkim lekcja historii dla młodzieży. Jeżeli kilkanaście tysięcy młodych ludzi uczestniczy co roku w Marszach Żywej Pamięci Polskiego Sybiru, to moim zdaniem są to potencjalni chętni do odwiedzania również muzeum. Ta instytucja ma też przyciągać zainteresowanych, ciekawych świata, którzy chcą go lepiej zrozumieć. To będą ludzie z całej Polski i nie tylko. Sybir to wspólne doświadczenie wielu narodów Europy, naszych sąsiadów, a jednocześnie samych Rosjan. Masowe groby, które widziałem koło Irkucka zrobiły na mnie ogromne, silne wrażenie. Tam leżą ludzie różnych narodowości...

Myślę, że nie bez znaczenia jest osoba białostoczanina, ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie śp. Ryszarda Kaczorowskiego i jego małżonki, którzy też przeszli to piekło Sybiru.

**Co zyska Białystok dzięki tej instytucji?**

Muzeum Pamięci Sybiru ma być prężną placówką kulturalną, ale będzie z pewnością pełniło również funkcję promocyjną i informacyjną o naszym mieście. Podniesie prestiż miasta, poszerzy jego ofertę turystyczną i kulturalną. Muzeum będzie atrakcyjne dla turystów z Polski, ale również dla naszych wschodnich sąsiadów, którzy przecież odwiedzają nasze miasto.

A tak po prostu też myślę, że to muzeum pozwoli nam wychować lepsze pokolenie młodych Polaków.

**Jakie jest Pana osobiste podejście do tego tematu? Był Pan od początku entuzjastą powstania tego muzeum, czy trzeba było Pana przekonywać?**

Absolutnie nie trzeba było mnie przekonywać. Choć akurat z mojej najbliższej rodziny nikt nie został wywieziony, ale znałem od dziecka wielu Sybiraków osobiście i byłem pod wrażeniem ich opowieści. Z miejscowości, w której się urodziłem, wywieziono wiele osób i miałem z nimi naturalny kontakt. Dobrze zapamiętałem opowieść o brawurowej ucieczce z transportu kolegów mojego taty, wtedy bardzo młodych ludzi. Wydostali się przez dach, podczas jazdy pociągu na skręconych prześcieradłach odbijali się od ściany wagonu i skakali w dół. Jeden z nich mocno się poturbował i choć obaj zdołali wrócić do domu, to jednak ten ranny mężczyzna nie przeżył. Pewnie też dlatego, że musieli się ukrywać w trudnych warunkach, byli obaj poszukiwani przez NKWD. Takie opowieści pozostawiają ogromny ślad w świadomości młodego chłopaka. Wielu z wywiezionych sąsiadów nie wróciło, ale ci, którym udało się przeżyć, chętnie dzielili się swoimi przeżyciami i ta historia towarzyszy mi od dzieciństwa.

Od wielu lat co roku idę ulicami Białegostoku w Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru. Jako prezydent miasta, jestem przewodniczącym komitetu organizacyjnego. Identyfikuję się z tym środowiskiem. Jest to dla mnie duże przeżycie. Dlatego, kiedy padł ten pomysł, został „kupiony” bez żadnych warunków wstępnych.

**Za kilka miesięcy wybory do samorządu. Czy jest Pana marzeniem, aby otworzyć Muzeum Pamięci Sybiru jako prezydent miasta w kolejnej, trzeciej już kadencji?**

Nie ma znaczenia, jaki prezydent przetnie wstęgę. Zobaczymy. Nazwisko prezydenta jest w tej sprawie drugorzędne. To jest tak szeroka idea, że na pewno będzie kontynuowana – jeśli nie przeze mnie, to przez moją następcę. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.\*

**Dziękuję za rozmowę.**

---

\* Agnieszka Czarkowska – dziennikarka, reportażystka, dokumentalistka Polskiego Radia Białystok, autorka cotygodniowej audycji historycznej „Tajemnice naszych czasów”.



---

---

**MAŁGORZATA KORONKIEWICZ-HUPAJŁO**

**POSTAWY ZIEMIANEK POLSKICH  
W CZASIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO  
W LATACH 1863-1864  
W BIAŁORUSKICH GUBERNIACH  
KRAJU PÓŁNOCNO-ZACHODNIEGO**

Artykuł niniejszy powstał jako pokłosie grantu badawczego, w ramach którego prowadzono miesięczne badania archiwalne w Mińsku i w Grodnie. Pierwotne plany zmierzające do zrekonstruowania stopnia i form codziennego zaangażowania szlachcianek z guberni litewsko-białoruskich – grodzieńskiej, mińskiej, mohylewskiej i witebskiej – w pomoc powstańcom w świetle rzeczywistej zawartości zasobów archiwalno-bibliotecznych Mińska i Grodna musiały ulec zmianie. Po miesięcznych badaniach w tamtejszych archiwach i bibliotekach powstała konieczność zawężenia tematyki zarówno terytorialnie, czyli tylko do guberni mińskiej, mohylewskiej i witebskiej, jak też źródłowo. Podczas kwerendy okazało się bowiem, że białoruskie archiwa i biblioteki obfitują w materiały oficjalne, wychodzące spod pióra carskich urzędników, jednak pozbawione są wspomnień, które wraz z powojenną zmianą granic i falą przesiedleń przewiezione zostały do Polski. Badaniu poddano zatem głównie wyroki sądowe, przede wszystkim dokumenty z kancelarii mińskiego oraz witebskiego gubernatora, witebskiego zarządu gubernialnego oraz witebskiej komisji śledczej do spraw politycznych. Z archiwaliów grodzieńskich przeanalizowano akta z gubernatorskiej kancelarii. W związku z tym, że dotyczyły one okresu wcześniejszego, a dokładnie manifestacji patriotycznych z lat 1860-1861 poprzedzających wybuch powstania, nie zostały uwzględnione w artykule.

**Okoliczności wybuchu powstania styczniowego  
na terenie guberni białoruskich**

Wydaje się konieczne, aby analizę kobiecych zachowań poprzedzić merytorycznie skondensowaną informacją dotyczącą wybuchu powstania i jego społecznego oraz terytorialnego zasięgu. Uwzględnić bowiem należy historyczny kontekst ich publicznych postaw oraz wydarzeń towarzyszących powstaniu, w tym zaznaczyć fakt, że powstanie styczniowe, które w Królestwie Polskim rozpoczęło się zimową nocą z 22/23 stycznia 1863 r., początkowo na utraczonych podczas pierwszego i drugiego zaboru ziemiach Rzeczypospolitej, objętych od 1 września 1862 r. tajną Organizacją Narodową, nie miało bezpośred-

niego oddźwięku. Wynikało to z braku przygotowania tych ziem do podjęcia walk powstańczych, dyskutowano też długo, jak podaje Stefan Kieniewicz, nad ewentualnym terminem rozpoczęcia powstania, a także jego przyszłym zasięgiem. Zastanawiano się, czy powinno zająć ono tylko główne ośrodki miejskie, czy – powołując się na obietnicę interwencji mocarstw zachodnich w sprawie polskiej – działaniami powstańczymi objąć wszystkie gubernie pod władzą Rosji.

Przyczyn opóźnienia działań powstańczych było wiele, przy czym do najważniejszych zaliczyć należy specyfikę terenu, w postaci słabego zaludnienia przez Polaków, szczególnie w guberniach białoruskich, czyli mińskiej, mohylewskiej i witebskiej, a także ich odległości od centrum, czyli od Warszawy. O niemożności zorganizowania armii decydowały przede wszystkim rozbieżności w kierownictwie polskiej klasy politycznej. Podobnie bowiem jak w Królestwie, była ona podzielona na – Białych, grupujących politycznie umiarkowanych ziemian – oraz na ziemiańsko-inteligenckich zwolenników działań radykalniejszych, zasilających szeregi Czerwonych. Kierownictwo powstaniem przypadło Białym, wchodzącym w skład działającego w Wilnie Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy na czele z Jakubem Gieysztorem. Oni przygotowywali podstawę prawną i faktyczną pod działania administracji cywilnej i wojskowej na terenie guberni Kraju Północno-Zachodniego, przemianowanych przez Rząd Narodowy w Warszawie w marcu 1863 r. na województwa – nowogródzkie, mińskie, poleskie, mohylewskie, inflanckie oraz witebskie i podległych im powiatach, okręgach, gminach oraz parafiach. Biali, wysokie funkcje cywilne – naczelników województw i powiatów – powierzali głównie właścicielom ziemskim, rugując z nich Czerwonych, przeważnie reprezentantów radykalnej inteligencji. Natomiast w organizacji wojskowej, mimo prób podejmowanych przez Białych, nie została wyparta i zastąpiona, świetnie wyszkolona dowódcza kadra Czerwonych, w dużej mierze rekrutująca się z oficerów z carskiego wojska. Pod zarządem Czerwonych pozostawili Biali miasta, jako strategicznie mniej ważne dla działań partyzanckich oddziałów powstańczych, operujących w terenie.

Wprawdzie Wydział Zarządzający Prowincjami Litwy zgłosił gotowość guberni litewsko-białoruskich do rozpoczęcia walk z dniem 15/27 marca, czyli w 32 rocznicę wybuchu insurekcji listopadowej na tych ziemiach, jednak nie wszystkie gubernie były do tych walk przygotowane. W rezultacie na obszarze Białorusi powstanie rozwijało się w sposób spontaniczny i zróżnicowany. Najprężniej i najszybciej ujawniło się na jej zachodnich rubieżach, nieco wolniej w części środkowej i najsłabiej na krańcach wschodnich.

Gubernię mińską, podzieloną przez Rząd Narodowy na trzy województwa: mińskie, nowogródzkie i poleskie, walki zbrojne objęły w maju. Na czele mińskiego oddziału partyzantów stacjonujących w lasach powiatu ihumeńskiego stanął Stanisław Laskowski. Według wspomnień Apolonii Sierakowskiej, zaangażowanej jako kurierka i łączniczka w powstanie na Wileńszczyźnie oraz żony wodza naczelnego powstańców litewskich Zygmunta Sierakowskiego, oddziałem zorganizowanym i utrzymywanym przez wojskowego komisarza wojewódzkiego Bolesława Świętorzeckiego dowodził Laskowski. Cywilnym naczelnikiemznaczono Antoniego Jeleńskiego, zastąpionego niebawem przez Kornela Pelikszę, później przez Hektora Łapickiego. Jak tłumaczył Świętorzecki, w Mińsku panowała wtedy atmosfera wzniosłego uniesienia, a kobiety gło-

śno i bez ogródek wyrażały swoje potępienie w stosunku do tych mężczyzn, którzy nie zasilali szeregów powstańczych. Nowe województwo nowogródzkie, podobnie jak i poleskie – istniało tylko w teorii. Wynikało to przede wszystkim ze słabości organizacji powstańczej na tych ziemiach, zarówno cywilnej, jak i wojskowej. Naczelnikiem cywilnym województwa nowogródzkiego mianowano Konstantego Kaszyca, wojskowym zaś miejscowego lekarza, Władysława Borzobohatego. Wobec niewielkiego zasiedlenia polskiego, większość działających w tym województwie partii powstańczych przeniosła swe działania bądź do województwa wileńskiego, bądź grodzieńskiego. Wyjątkiem był powiat piński, w którym obozował Romuald Traugutt, walczący już od końca kwietnia, w lasach powiatu kobryńskiego, który dopiero pod koniec czerwca przemieścił się wraz z oddziałem na Wołyń, aby tam rozpocząć powstanie. Również władze cywilne i wojskowe oraz ludność województwa poleskiego nie przejawiały większych aspiracji powstańczych, w związku z czym organizatorzy oddziałów partyzanckich przenosili się do sąsiedniego województwa mińskiego. Szukali tam przede wszystkim wsparcia i kontaktów z lokalną powstańczą władzą polską.

Partyzantką w województwie mohylewskim, pokrywającym się terytorialnie z gubernią mohylewską, dowodził początkowo Ludwik Zwierzdowski, naczelnikiem zaś cywilnym był Ignacy Brzostowski. Mimo szeroko zakrojonej akcji propagandowej, mającej na celu zwerbowanie chłopów do oddziałów, w zaplanowanych terenach zbornych pojawiło się jedynie około 200 partyzantów, co razem ze stuosobowym oddziałem Zwierzdowskiego dawało łącznie około 300 ochotników. W przeciągu 2-3 dni od ich wystąpienia zostały one rozbite przez oddziały kozackie lub rosyjskie. Gubernię witebską natomiast, podzielono na istniejące jedynie na papierze, województwo inflanckie oraz witebskie. W tym drugim dowodzenie powstańcami przypadło Pawłowi Czerwieńskiemu. Naczelnikiem cywilnym został zaś Antoni Okuszek. Warto podkreślić, że w województwach tych oddziały powstańcze nie zdążyły się sformować, spiskowcy bowiem z czynnym udziałem chłopów, w drodze do punktu zbornego zostali zatrzymani i uwięzieni przez wojsko i policję. Grasylda Malinowska, mieszkanka tamtych ziem, odnotowała w pamiętniku: „Zaczęło się przygotowanie do powstania w naszej okolicy. Wszyscy bali się przyłożyć ręki do jego urzeczywistnienia”.

### **Represje. Sądownictwo rosyjskie w czasie powstania.**

#### **Sądy polowe i Audytoriaty**

Pod wpływem pamiętników i wspomnień w historiografii utarło się przekonanie, że represyjna polityka caratu względem powstańców oraz powstania nasiliła się, albo dopiero rozpoczęła się, wraz z przybyciem w dnia 14/26 maja 1863 r. Michaiła Nikolajewicza Murawiewa z Petersburga do Wilna, jako stolicy – stanowiącego integralną część Cesarstwa Rosyjskiego, Kraju Północno-Zachodniego, podzielonego na gubernie – wileńską, kowieńską, grodzieńską, mińską, mohylewską i witebską. W Wilnie urzędowali bowiem generał gubernatorzy bezpośrednio podlegający carowi, pełniący równocześnie urząd dowódcy wileńskiego okręgu wojskowego. Tymczasem już jego poprzednik na tych stanowiskach, generał-adiutant Władimir Iwanowicz Nazimow, wraz z ogłoszeniem stanu wojennego na mocy ukazu senatu z dnia 9/21 sierpnia 1861 r.,

otrzymał uprawnienia dyktatorskie, w tym prawo decydowania o życiu i śmierci podległej sobie cywilnej ludności, chociaż dodać należy, że z tych uprawnień nie korzystał zbyt chętnie. Jednakże za rządów Nazimowa doszło do zbudowania zbiurokratyzowanej maszyny policyjno-represyjnej, którą Murawiew tylko udoskonalił, wymieniając niemal całą jej kadrę.

Zgodnie z wojennym kodeksem karnym, do uprawnień głównodowodzącego armią generała gubernatora w czasie ogłoszonego stanu wojennego należało przede wszystkim zatwierdzanie i nakazywanie wykonywania wyroków sądów wojennych. Ponadto w jego gestii było ulaskawianie i zmniejszanie karznaczanych przez sąd. Nie miał on jednak mocy konfirmowania (zatwierdzania) wyroków nad pułkownikami i oficerami z wyższej hierarchii wojskowej oraz wysoko postawionymi urzędnikami, w tym nad Polakami. Osoby powiązane z powstaniem i wspierające je – zarówno partyzanci, jak i członkowie organizacji, a więc w rozumieniu Rosjan „przestępcy polityczni” – mieli być karani zgodnie z zaostrzonym i zmodyfikowanym rosyjskim wojennym kodeksem karnym. Wbrew brzmieniu artykułu 3 w części 2 *Kodeksu Karnego*, konstatającemu, że „Władze sądów wojennych nie rozciągają się na niemowlęta i płeć żeńską”, zgodnie z zatwierdzoną przez cesarza w dniu 11/23 marca 1863 r. opinią Rady Państwa, działania sądów wojenno-polowych zostały rozciągnięte na podejrzane o przestępstwa polityczne kobiety. Represyjne prawodawstwo rosyjskie zrównywało zatem kobiety z mężczyznami, choć kobiet nie karano śmiercią. Jak wspominał Murawiew, car Aleksander II wysyłając go do Kraju Północno-Zachodniego, połączył w jego rękach dowództwo wszystkich znajdujących się w tych guberniach wojsk, co oznaczało, że również pod jego zarządem znaleźć się miały gubernie litewsko-białoruskie Kraju Północno-Zachodniego. Mocą więc rozkazu carskiego z dnia 1 maja 1863 r. mianowano go generał-gubernatorem sześciu guberni litewsko-białoruskich.

Wraz z jego przybyciem rozpoczęły swą działalność komisje śledcze, które zobligowano do wykrycia i przesłuchania osób zaangażowanych czynnie i biernie w powstanie. Komisje te były odpowiedzialne za wstępne przesłuchiwanie podejrzanych i zbieranie zeznań, które następnie odsyłano do sądów wojenno-polowych, bądź też decydowały one, które osoby, jako mniej winne, ukarane zostaną administracyjnie. Mocą bowiem reskryptu carskiego z dnia 14/26 stycznia 1863 r., osoby podejrzewane o wspomaganie powstańców – „z bronią w ręku, bądź poprzez dostarczanie im uzbrojenia, żywności, czy ich ukrywanie” – miały być oddawane pod ocenę komisji, tworzonych z carskiej nominacji.

Ustanowiwszy – na podstawie posiadanych uprawnień, jak tłumaczył Murawiew – zarządy wojskowo-policyjne po powiatach i skoncentrowawszy władzę w ręku naczelników wojennych, przy rozciągnięciu stopy wojennej na wszystkie sześć guberni, byłem w możności ustanowić komisje śledcze wojskowe we wszystkich powiatach bardziej zamieszanych w powstanie, a niezależne od tych i we wszystkich miastach gubernialnych.

Ponadto, by sprawniej i szybciej zakończyć powstanie, wzmocnił on lokalnych naczelników wojennych w uprawnienia niemal dyktatorskie, pochwalając stosowanie odpowiedzialności zbiorowej.

Sądy polowe powoływano zgodnie z wytycznymi księgi 2 *Kodeksu Karnego*, reskrytem z dnia 14 stycznia 1863 r. oraz wydanymi po nim przepisami

i rozporządzeniami dowódcy Wileńskiego Okręgu Wojennego a także *Ustawą o karach kryminalnych i poprawczych*. W ich gestii było wydawanie wyroków, choć jak podkreśla Henryk Cederbaum:

Wyrok ten nie miał [...] żadnego znaczenia, gdyż akta sprawy przechodziły do Audytoriatu, który nie krępując się orzeczeniem poprzednim, nowy wyrok ferował.

Powstańcy złapani z bronią w rękę w czasie napadu lub walki z wojskiem rosyjskim, byli od razu sądzeni przez działające zgodnie z polowym kodeksem karnym wojskowe sądy polowe. Wyrok wykonywano na miejscu przestępstwa, po jego uprzednim zatwierdzeniu przez miejscowych gubernatorów albo w razie ich absencji – przez naczelników dywizji. Po confirmacji bowiem wyroków, sądy polowe przedstawiały akta sprawy Departamentowi Audytorskiemu Ministerstwa Wojny, w którego składzie zasiadali generałowie i oni, zgodnie z wojennym kodeksem karnym orzekali wyrok, zaś kopie confirmacji, dla przedstawienia ich cesarzowi – przekazywano ministrowi wojny. Ponadto odpis należało przedkładać m.in. ministrowi spraw wewnętrznych, szefowi żandarmarii oraz dowódcy wileńskiego okręgu wojennego. Głos ostateczny należał jednak do generała gubernatora, czyli do Murawiewa, i to on decydował o wyroku.

By uprościć i usprawnić działalność sądów polowych, car Aleksander II wydał kolejny rozkaz w dniu 11(23) maja 1863 r., później uszczegółowiony dalszymi przepisami, dzieląc powstańców i osoby powstanie wspierające na pięć kategorii. Zgodnie z tym podziałem od pierwszej do trzeciej kategorii zakwalifikowano osoby zaangażowane jawnie w powstanie, z kolei do kategorii czwartej zaliczono osoby podejrzane o wspomaganie powstańców – poprzez udzielenie schronienia, wsparcie żywnościowe i pieniężne czy nawet posiadające wiedzę na temat zbiórek powstańców i składach broni, a niedonoszące o tym władzy. Osoby te miały być sądzone według skróconych i zaostrzonych przepisów kodeksu karnego, bez możliwości obrony – czyli bez obecności obrońców i prokuratorów oraz osób postronnych. Podkreślono przy tym, że jedynie głównodowodzący armią ma prawo zmieniać wyrok poprzez złagodzenie kary, czy całkowite jej zniesienie. Natomiast naczelnicy – dla guberni mińskiej dowódca 3 dywizji piechoty – obdarzeni prawem zatwierdzania wyroków sądów wojennych, byli zobligowani podpisywać je bez zmian. Rozkaz dla urzędów wojskowych z dnia 3 września 1863 r. sprecyzował procedurę powoływania prokuratorów Sądu Polowego. Zgodnie z nim oskarżycielami mogli zostać urzędnicy audytorscy, czyli w guberni mińskiej ober-audytór 3 dywizji piechoty Grigorjew, będący jednocześnie tamtejszym asesorem kolegiąlnym. Głównym zamierzeniem Murawiewa było bowiem sterroryzowanie ludności cywilnej, jako zaplecza oddziałów powstańczych, aprowizujących ich w żywność i niezbędne do walki przedmioty. Najłatwiejszą zaś do tego drogą były wysokie kary pieniężne, wyroki śmierci i egzekucje publiczne.

Zesłanie na Syberię na osiedlenie obok kary śmierci i ciężkich robót czyli katorgi należały do kar głównych, na które skazywał Audytoriat Polowy. Obciążały one uczestników powstania, bądź osoby je wspierające i połączone były z utratą wszystkich praw stanowych. Zgodnie z wyrokiem sądu, „przestępców”, czyli zesłańców klasyfikowano do kategorii: na „osiedlenie” i „osadzenie” bądź „zamieszkanie”. Według obliczeń przedstawionych w opracowaniu *Zesłanie*

*i katorga na Syberii w dziejach Polaków 1815-1914*, w latach 1863-1867 na Syberię, Kaukaz i do Rosji Europejskiej zesłano łącznie aż 15,9 tysięcy mieszkańców z Litwy na 27 tysięcy wygnańców polskich. Za wsparcie powstania, nie tylko za pomoc udzieloną powstańcom, a nawet za przychylny stosunek do powstania, skazano na zesłanie 12 483 mieszkańców Białorusi. Wśród postyczniowych zesłańców syberyjskich kobiety stanowiły 10%, w tym 3,5% skazanych było za własną działalność polityczną.

Policje miejskie i ziemskie, zgodnie z wcześniejszym rozporządzeniem carskim z dnia 9 sierpnia 1861 r., przeszły pod rozkazy naczelników wojskowych miast i powiatów. Naczelnikom tym pozostawiono pełną swobodę działania, zastrzegając jednak, że zobowiązani są oni do informowania o wszystkich swych krokach Sztab Wileńskiego Sądu Wojskowego, naczelnika guberni oraz dowódców wojsk w obrębie guberni. Co warto podkreślić, dotychczasowe sądowne uprawnienia generał-gubernatorów w sprawach politycznych przeniesiono na dowódcę sztabu wileńskiego okręgu wojennego oraz dowódcę tamtejszych wojsk. Skrócono również procedurę przesłuchiwania i karania świeżo zatrzymanych podejrzanych o zaangażowanie w „nieporządki” polityczne. Wszelką dokumentację miano przedkładać – dla Mińska – do dowódcy 3 dywizji piechoty. Osoby już aresztowane miały zaś oczekiwać na decyzję odpowiedniej, przedstawionej wyżej władzy. Zarządzono również, by zawiadamiać przełożonych o wszelkich wydatkach rządowych poniesionych przy przetransportowywaniu oskarżonych i świadków na miejsce śledztwa, a także odnotowywać, ile gotówki posiada oskarżony przy sobie i jaki jest jego majątek.

Jednym z pierwszych rozporządzeń Murawiewa było to z dnia 8 czerwca 1863 r., które nakładało 10% podatek na polską własność ziemską. Miał on zrekompensować poniesione przez rząd carski koszty związane z walką z powstańcami. Jak usprawiedliwiał swoje postępowanie Murawiew, które ponoć w Petersburgu miało doczekać się szeroko zakrojonej krytyki:

Polaka nic tak skutecznie nie powstrzyma w jego głupocie, jak pieniądź, jak powiada przysłowie (rosyjskie): jego trzeba bić po kieszeni.

Wkrótce po przybyciu na Litwę, wydał więc on zarządzenie regulujące warunki konfiskaty i sekwestru majątku. Ówczesny rosyjski kodeks karny nie przewidywał bowiem kary konfiskaty, wobec czego specjalnie w tym celu zebrana komisja opracowała przepisy doraźne. Uprawomocniły one władze do pozbawiania majątku, który przechodził na rzecz skarbu, zarówno osoby skazane na kary główne, jak i poprawcze – jak zamieszkanie na Syberii lub zesłanie do europejskich guberni Rosji. Warto jednak dodać, że to już za czasów Nazimowa zatwierdzony został z dniem 15/27 marca 1863 r. *Ukaz Najwyższy* o sekwestrze majątku tych osób, które brały udział w powstaniu, ale Murawiew go zaostrzył i uszczegółowił kolejnymi cyrkularzami.

Z drugiej zaś strony Murawiew dążył do oderwania szlachty od powstania, więc stosując represje pozostawiał jej alternatywę, proponując podpisanie potępiającego powstanie adresu do cara. Inspirację czerpał z manifestu cesarskiego z 31 III 1863 r., obiecującego wybaczenie tym, którzy złożą broń do dnia 1 V 1863 r. Szlachta po takim akcie mogła spodziewać się spokojnego życia bez wyroków i konfiskat. Dlatego:



Murawiew uprzedził marszałków gubernialnych szlachty, że od kary i represji mogą ziemiaństwo uchronić jedynie ich podpisy pod adresami do cara, potępiającymi powstanie i uznającymi Litwę za część cesarstwa rosyjskiego. Marszałek gubernialny wileński Aleksander Domeyko i kilkunastu właścicieli ziemskich podpisało adres 27 VII/8 VIII 1863 r.

Na jego wzór redagowano podobne adresy, między innymi z guberni kowieńskiej i grodzieńskiej Kraju Północno-Zachodniego.

### **Zaangażowanie kobiet w sprawę powstania styczniowego w świetle wyników kwerendy archiwaliów białoruskich**

Zamierzeniem autorki było prześledzenie i zrekonstruowanie jedynie pewnych form aktywności kobiet w czasie powstania – wyłaniających się po uważnej lekturze dokumentów rządowych, wytypowanych na podstawie zapisów w inwentarzach, sugerujących istnienie danych źródłowych o postępowaniu kobiet zaangażowanych w partyzancką posługę. Przeglądając je następnie i analizując zamieszczone i opisane w wyrokach sądowych sprawy, nie zapominano o specyfice źródeł i wynikających z tego konsekwencjach, czyli jednostronności oskarżeń ze strony Rosjan oraz umyślnego umniejszania przez szlachcianki swojej winy. W celu uniknięcia lub pomniejszenia orzekanych kar, kobiety z premedytacją i w zamierzonym celu wchodziły w rolę osób nieświadomych wprowadzenia pewnych odgórnych ograniczeń i zakazów, w tym zakazu przywdziewania żałoby.

### **Formy uczestnictwa kobiet i sposoby ich karania**

#### **❖ Kary pieniężne i grzywny za noszenie żałoby**

Wśród archiwaliów mińskich, w zespole „Urząd guberni witebskiej”, pojawiła się sprawa dotycząca m.in. dwóch mieszkanek guberni witebskiej: 40-letniej szlachcianki Emilii Gatowskiej oraz jej byłej służącej, także szlachcianki, Józefiny Michajłowskiej. Dwaj przysięgli oskarżyli je bowiem o odprawienie, nie zdradzonego z imienia Grudzińskiego do oddziału powstańczego. Nie zdradzono również relacji łączących wspomniane kobiety z rzeszonym Grudzińskim. Mocą wyroku Tymczasowego Audytoriatu Polowego, podpisanego przez nieczytelnego z nazwiska Asystenta Audytora Polowego, Emilię Gatowską broniącą się, że nie znała powodu wyjazdu żegnanego przez siebie Grudzińskiego, skazano na karę 100 rubli srebrem, które miały być przeznaczone na wspomnienie poszkodowanych przez powstanie rodzin. Oddano ją również pod ścisły nadzór policji i karę tę miała odbywać w zakładzie karnym. Józefa Michajłowska natomiast, uznana mniej winną i faktycznie nieświadomą celu wyjazdu Grudzińskiego, została uniewinniona.

Pośród wielu spraw dotyczących nałożenia grzywny za noszenie żałoby, na uwagę zasługują podane poniżej informacje, że na tę karę w wysokości 25 rubli srebrem została skazana przez mińskiego naczelnika policji dnia 19 czerwca 1863 r. szlachcianka Elżbieta Wolwenska. Zauważono i odnotowano również inne szlachcianki, które wbrew zakazowi przywdziewały ciemne szaty, w tym żonę Buszy, przewodniczącego mińskiego deputackiego zgromadzenia szlachty oraz pracującą u nich guwernantkę, pannę Szwerin. Wymieniono także córkę urzędnika Mińskiej Gubernialnej Drogowej Komisji Budowlanej oraz trzy siostry, panny Cybulskie.

Po raz drugi zaś przyłapano na „przestępstwie z powodu noszenia żałoby” właścicielki ziemskie, Torczyńską i Hołowinę, tę drugą wraz z dwiema córkami. Powtórzyła również to „przestępstwo” panna Gajduchowiczówna. Warto podkreślić, że kobiety te, zatrzymane przez pełniących dyżur przy katedrze mińskiej młodszych pracowników policji, zostały uratowane z opresji, a zatem z konieczności uiszczenia karnej opłaty, przez rosyjskiego urzędnika Kancelarii Mińskiego Urzędu Guberni. Otóż ogłosił on publicznie, że policjanci nie mają uprawnień, by zadawać im pytania dotyczące ich stanu rodzinnego i majątkowego oraz miejsca zamieszkania, jak też napominania ich, by więcej czarnych szat nie zakładały.

Kara grzywny za publiczne noszenie żałoby w Mińsku w czerwcu 1863 r. spotkała jednak między innymi właścicielkę ziemską Horwatt, jak i 6 innych szlachcianek. W celach propagandowych ściągnięte ze wspomnianych szlachcianek pieniądze, w łącznej sumie stu siedemdziesięciu pięciu rubli srebrem, generał mińskiej piechoty przekazał na zasiłek dla chłopów oraz innych osób, które ucierpiały przez działanie powstańców, nazywanych zgodnie z carską nomenklaturą, „buntownikami”. Sam Murawiew z zamiłowaniem uciekał się do nakładania kar pieniężnych i grzywnien za wszelką niesubordynację, szczególnie zaś za publiczne noszenie żałoby. Tłumaczył, że „za noszenie żałoby kazano ściągać po 25 rubli, a w razie powtórzenia karę tę podwajać”. Kolejna sprawa z Kancelarii Mińskiego Gubernatora dotyczyła szlacheckich mieszkanek Nowogródziny, gdzie 23 czerwca wydano oficjalny zakaz noszenia żałoby. Była wśród nich Maria Bokszańska, guwernantka u właściciela ziemskiego Szulakowskiego, a także guwernantka Morawska, pracująca u właściciela ziemskiego ks. Jundziłła, które przybyły do kościoła w żałobnych sukniach. Zgodnie z rozporządzeniem stanowiącym, że przyłapanym po raz pierwszy na łamaniu prawa w kwestii żałoby należy nałożyć jedynie grzywnę, kobiety te ukarano karą pieniężną. Podobnie postąpiono z mieszkanką Pińska, szlachcianką Ludwiką Markiewicz, którą ukarano w Urzędzie Policyjnym grzywną w wysokości 25 rubli srebrem.

#### ❖ Zesłanie i konfiskata majątku

Wśród spraw sądzonych przez Tymczasowy Audytoriat Polowy guberni witebskiej pojawił się także wyrok w sprawie rodziny Lokisów, mieszkańców powiatu połockiego i właścicieli majątku Morogis, posądzonych o wspomaganie powstania i udział w nim. Rodzina ta: Antoni Lokis, jego żona Maria oraz ich syn Mikołaj, zostali oskarżeni o przyjęcie pod swój dach szlacheckiego powstańca – Wincentego Olszewskiego – i zezwolenie mu oraz partyzantom znajdującym się pod jego komendą, na ukrywanie się w swoim lesie oraz o angażowanie własnej służby w ich aprowizowanie. Rodzinę tę, kwalifikując męża i syna do 4 kategorii przestępców według rozpiski zatwierdzonej dnia 11 maja 1863 r. o regułach wymierzania kary buntownikom i ich współnikom, skazano na stałe zamieszkanie w guberni orenburskiej na Syberii, pod ścisłym nadzorem policji, a także objęcie sekwestrem ich majątku.

Bardzo ciekawa sprawa z zespołu akt z kancelarii witebskiego gubernatora cywilnego naświetla przykład szlachcianki Marii Swiriszczewskiej prowadzącej działalność agitacyjną kobiet polskich w czasie powstania. Swiriszczewska miała 23 lata i była córką właścicielki majątku z powiatu połockiego. Latem 1863 r., podczas żniw wybrała się ona na pole i tam pracujące chłopki zapoznawała

z treścią przyniesionej książki, tłumacząc im konieczność zaangażowania się w powstanie. Czytając jej treść przekonywała, że w książce

prosty chłop Jaśko pisze, że jeśli wszyscy chłopci pójdą bronić Polskę i będą starali się wyzwolić ją od władzy Rosji, to nie będą w tym czasie płacili podatków i pełnili obowiązku rekrutacyjnego i będą mieli wszystkie prawa szlacheckie, a właściciele ziemscy dadzą im w prezencie ziemię, którą chłopci używają.

Uzasadnionym wydaje się wyjaśnienie, że Swiryszczewska zapoznając włościanki z przesłaniem broszury, prawdopodobnie świadomie i celowo omawiała im *Manifest* powstańczego Tymczasowego Rządu Narodowego, przedstawiając im założenia zgodne z dekretem uwłaszczeniowym wydanym dnia 22 stycznia 1863 r. Z tym *Manifestem* i jego postanowieniami w sprawie posiadania ziemi i likwidacji pańszczyzny zapoznawali chłopów i tłumaczyli im jego treść dowódcy białoruskich oddziałów powstańczych. Postępowanie ich było wynikiem szeroko zakrojonej akcji prowadzonej przez Konstantego Kalinowskiego, zwolennika radykalnego rozwiązania kwestii chłopskiej w sprawie uwłaszczenia, w konsekwencji czego Litewski Komitet Prowincjonalny, ogłaszając się Tymczasowym Rządem Narodowym Litwy i Białorusi, opublikował z dniem 20 stycznia (1 lutego) 1864 r. własny manifest rewolucyjny, powstały na bazie warszawskiego i rozszerzony następnie *Instrukcją dla oddziałów powstańczych*. Zgodnie z nimi, realizacją programu uwłaszczeniowego zająć się miała władza rewolucyjna, upoważniona nawet do sądzenia opornych ziemian. Uznano, że należy:

Wybitniejszych ciemniejszych włościan dla przykładu wobec zgromadzenia gmin, po odbyciu sądzie wojennym, śmiercią karać, nie dopuszczając samowolnej egzekucji.

Debaty zaś na temat uwłaszczenia chłopów, będące wstępem do podjętej przez władzę cywilną akcji w czasie powstania toczyły się dwupłaszczyznowo. Z jednej strony bowiem oddolnie zainicjowali je bracia Dalewscy, z drugiej zaś car Aleksander II zaproponował ziemianom litewskim ich rozpoczęcie w roku 1856. W dyskusjach tych poczesne, choć nieoficjalne miejsce przypadło kobietom. Z inspiracji mężczyzn zawiązywały one również organizacje gromadzące środki na kształcenie chłopów, czy osobiście zajmowały się ich edukacją. Mimo jednak działań aktywizatorów, jak konstatuje Kieniewicz, białoruscy chłopci nie popierali powstania, a wręcz byli jemu przeciwni. Co więcej, już od połowy lipca 1863 r., nawiązując do rozporządzenia Murawiewa, powoływano ich do straży wiejskich, opłacając ich po 10 kopiejek za dobę służby z pieniędzy ściąganych z Polaków. Chętny udział włościan w tej akcji, jak wspominał w *Pamiętnikach*, był dowodem ich niechęci do panów polskich. Liczny chłopski napływ spowodował, że „wkrótce też już można było z samych włościan formować uzbrojone straże wiejskie, które wszędzie wojskom pomagały do ostatecznego zniszczenia buntowników”.

Mimo że podczas przesłuchania nie znaleziono przy szlachciance Swiryszczewskiej niczego podejrzanego i nie przyznała się również ona do zarzucanego jej przewinienia, zeznania chłopów oraz zawiadomienie połockiego naczelnika policji przez Goroplański Urząd Wołości z dnia 8 marca 1864 r. były wystarczającymi przesłankami do zasugerowania (przez niemożliwego do

odczytania zarówno z imienia, jak i tytułu urzędnika) kary zesłania na zamieszkanie do jednej z wewnętrznych guberni Rosji. Do czasu zaś zatwierdzenia wyroku, szlachcianka ta miała przebywać w witebskim więzieniu. Wyrok generał-gubernatora z dnia 22 lipca 1864 r., złagodził jednak wymiar kary, ze względu na młody wiek szlachcianki, jak i małą szkodliwość jej agitacji, „ponieważ indoktrynowała jedynie kobiety”. Skazano ją na dodatkowe dwa miesiące aresztu oraz karę pieniężną, w wysokości 50 rubli srebrem, którą należało ściągnąć z oskarżonej, bądź jej matki i przekazać na fundusz przeznaczony dla poszkodowanych przez powstanie.

#### ❖ Areszt i nadzór policyjny

Kolejne akta poświęcone były dwóm szlachciankom, Leokadii Jakowickiej i Rozalii Czasznickiej, oskarżonych o przechowywanie zabronionych przez władzę papierów. W dniu złożenia raportu witebskiemu gubernatorowi wojskowemu i witebskiemu gubernatorowi cywilnemu, dnia 16 maja 1864 r., Jakowicka przebywała w Połocku na wolności, a Czasznicka znajdowała się pod nadzorem policji w Witebsku. Kobiety te oskarżono po dokonanej z rozkazu połockiego naczelnika wojskowego rewizji, a przeprowadzonej z inspiracji zamieszkałego w Połocku i nie przedstawionego bliżej Połanowicza, który złożył na nie donos. W donosie tym stwierdził, że Czasznicka, zamieszkująca u swej krewnej szlachcianki Jakowickiej, przechowuje zabronione polskie wiersze i pieśni patriotyczne. Podczas rewizji przeprowadzonej u Jakowickiej, nie znaleziono u niej zakazanych dokumentów lecz wykryto je u Czasznickiej. Papiery te w przypiływie desperacji podarła Jakowicka. Podczas śledztwa Czasznicka tłumaczyła się, że znalazła je na ulicy i nie znając ich treści, bo ich nie czytała, nieświadomie włożyła je do kieszeni. Broniąc się dodała, że gdyby tylko zdawała sobie sprawę z ich oburzającej treści, byłaby je od razu zniszczyła. Z kolei Jakowicka próbowała bronić się tym, że zorientowawszy się, iż jej krewna przyniosła zakazane dokumenty, podarła je, okazując tym czynem swoją dla niej dezaprobatę.

Chociaż na niekorzyść szlachcianek działało zeznanie kolejnego mieszkańca Połocka, Józefa Pochaniewicza, nie uznano go za wiążące. Pochaniewicz wyjaśniał w nim, że Czasznicka już przed historią z zakazanymi utworami, odwiedzała często żony i krewnych uwięzionych przestępców politycznych, a co więcej, jako pierwsza w Połocku zaczęła nosić żałobę narodową. Uczyniła to po aresztowaniu w Dyneburgu jej brata. Za jej winą przemawiał także przytoczony przez Pochaniewicza fakt, iż szlachcianka ta opowiadała o powstaniu. Po dokładnym przesłuchaniu zorganizowanym z inicjatywy komisji śledczej ds. politycznych w Witebsku, nie stwierdzono jednak dowodów ją obciążających w kwestii działalności politycznej. Nie udowodniono jej również udziału w zamieszkach politycznych, co poręczał Jamiński, były połocki nadzorca kwartalny (dzielnicowy) miasta.

Jednak wyrok połockiej komisji śledczej do spraw politycznych nie został utrzymany przez Komisję Śledczą w Witebsku. Uznała ona, że tłumaczenia szlachcianek w sprawie znalezionych u nich pieśni i wierszy nie są wiarygodne. Proponowała, aby Rozalię Czasznicką wysłać na zamieszkanie do jednej z wewnętrznych guberni Rosji, natomiast Leokadię Jakowicką zostawić pod nadzorem policji. Zalecała również, by ściągnąć z nich na rzecz skarbu państwa grzywnę w wysokości 50 rubli srebrem. Generał gubernator, zatwierdzając

wyrok 25 września 1864 r., również uznał obie szlachcianki winnymi. Rozalię Czaszniczką za przechowywanie „wierszy i pieśni o treści oburzającej”, zaś Leokadię Jakowicką za ich zniszczenie. Nie podtrzymał jednak proponowanej wcześniej kary, gdyż obu kobietom wyznaczono nadzór policyjny, jako „osobom podejrzanym politycznie z powodu okazywanego współczucia powstańcom” oraz nałożono grzywnę na korzyść osób poszkodowanych w czasie powstania. Pierwsza miała zapłacić sto, druga natomiast pięćdziesiąt rubli.

Co ciekawe, w aktach tych znalazło się również pismo Rozalii Czaszniczekiej, złożone dnia 19 lipca 1864 r. na ręce witebskiego generała gubernatora Władimira Nikołajewicza Wierowkina. Protestowała w nim, że została niesprawiedliwie pomówiona o celowe przechowywanie zakazanych utworów, w związku z czym już od 8 miesięcy karnie przebywała w Witebsku. Zakaz opuszczenia miasta spowodował, że podupała na zdrowiu, jak i straciła resztki majątku, w wyniku czego brakuje jej środków na utrzymanie. Sytuację jej pogorszyła konieczność zapłacenia 100 rubli srebrem grzywny, na którą jej nie stać. Jedynym majątkiem, który posiadała, był kwit na 200 rubli, przechowywany przez porucznika, pełniącego obowiązki leśniczego, Ignacego Romanowskiego. Zwróciła się więc ona z prośbą do Wierowkina, by raczył objąć ją swą opieką i protekcją, jeśli zaś nie byłoby to możliwe, by pomógł jej ściągnąć należący do niej kwit, z którego uiszczono by zaległą grzywnę, a resztę oddano jej, by ulżyć jej nędznej doli.

Rozalia Czaszniczka, z polecenia witebskiego generała gubernatora, który nie był władny by zaaprobować jej prośbę, ponowiła ją u Michaiła Murawiewa. W piśmie swym podkreślała, że jest biedną sierotą, która nie może liczyć na wsparcie i pomoc rodziny oraz krewnych, których nie posiada. Powtarzała również, że została oskarżona bezpodstawnie i ściągnięta przez Witebską Komisję Śledczą do miasta jej urzędowania, gdzie na własny koszt mieszkała przez 8 miesięcy, co zrujnowało jej zdrowie i budżet. W wyniku zaś confirmacji wyroku, została skazaną na 100 rubli grzywny oraz 5-miesięczny areszt w więzieniu. Prosiła ona zatem o ściągnięcie jej pieniędzy od porucznika Romanowskiego i uiszczenie z nich należnej zapłaty.

W zespole 1430, kancelaria witebskiego gubernatora cywilnego, kryły się akta sprawy poświęconej mieszkającej w Witebsku wraz z córką Józefiną, właścicielki ziemskiej Franciszki Żytoślawskiej. Kobiety te, zgodnie z zaleceniem naczelnika guberni witebskiej, jako podejrzone politycznie, zamierzano wydalic na Syberię. W ich obronie wypowiedzieli się jednak dwaj mężczyźni, z których jednym był nieczytelny z nazwiska generał piechoty, drugim – kierownik wydziału (nie podano jakiego) podpułkownik Pawłow. Oni dnia 3 czerwca 1864 r. radzili, aby z realizacją kary wstrzymać się do momentu zebrania „szczegółowszego materiału dowodowego”, a do tego czasu kobiety te miały znajdować się pod surowym nadzorem policyjnym. Pawłow sugerował również ściągnięcie od kobiet grzywny w wysokości 400 rubli srebrem na rzecz poszkodowanych w powstaniu. Wspomniane szlachcianki złożyły prośbę o zdjęcie z nich uciążliwego nadzoru policyjnego, motywując to tym, że nie czują się winnymi zarzucanych im przewinień. Prośbę tę, w ich imieniu, złożył naczelnik wojskowy na ręce witebskiego gubernatora w listopadzie 1866 r., jednak nie uzyskał odpowiedzi. Ponowił ją natomiast miejscowy gubernialny przewodniczący szlachty i naczelnik wojskowy, świadczący o ich prawomyślności politycznej. Poskutkowało

to propozycją – nieczytelnego z nazwiska generała adiutanta oraz również niemożliwego do odczytania nazwiska kierownika oddziału – zdjęcia z 70-letniej Franciszki i jej córki Józefiny, nałożonego przez Murawiewa dnia 31 maja 1864 r., nadzoru policyjnego.

Wielce ciekawa, wojenno-sądowa sprawa pojawiła się w zespole 1416 – Urząd guberni witebskiej, rozpatrzona przez Tymczasowy Audytoriat Polowy z rozkazu gubernatora witebskiego, a dotycząca rodziny Przysieckich, aresztowanej dnia 23 kwietnia 1863 r. i sądzonej za udział w powstaniu styczniowym. Sprawę tą Audytoriat Polowy przekazał 21 kwietnia 1865 r. do rozpatrzenia Jego Ekscelencji Dowódcy Wojsk Wileńskiego Okręgu Wojennego, którym był generał-gubernator Murawiew.

Rodzina ta, składająca się z rotmistrza sztabowego Cypriana Przysieckiego i jego braci – chorążego Rudolfa i porucznika Karola odsuniętych od służby wojskowej, postawiona została w stan oskarżenia w wyniku doniesień chłopskich. Rudolfa i Karola aresztowano na podstawie zeznań przewodnika policji, chłopca Kornieja Trofimowa, który poinformował, że u Rudolfa Przysieckiego, zamieszkującego Ranniki pod Lepelem, będących własnością jego ojca, odbywają się zakazane zebrania ziemian. Podczas tych zebrań miano przygotowywać broń i noże, które na poczet przyszłych walk wywożono do lasu. Ponadto – na podstawie poświadczeń chłopów – zarzucono braciom, że wiedzieli o przygotowaniach powstańczych w Bielenkowiczach, majątku hrabiego Chreptowicza, prowadzonych przez szlachcica Dyka, który dnia 23 kwietnia 1863 r. zorganizował oddział powstańczy, a do tego oddziału oni zamierzali dołączyć.

W czasie dochodzenia Cyprian, Rudolf i Karol Przysieccy nie przyznali się ani do próby udziału w powstaniu, ani do kontaktów z Dykiem. Co więcej dodali, że chłopów do składania fałszywych zeznań przeciw nim skłoniły osobiste porachunki, jak i ich własny, obłąkany brat – Mikołaj. Podobnie i zeznania szlachcica Karpowicza miało być nieprawdziwe. Policja nie była więc w stanie potwierdzić złożonego na tę rodzinę doniesienia. W sprawę zamieszane były również szlachcianki – ziemianka z powiatu połockiego, będąca właścicielką majątku Mitkowicze – Maria Spasowska oraz wdowa po kapitanie sztabowym, Stefania Wyszomirska. Syn tej pierwszej, wraz z Przysieckim, miał próbować włączyć się do powstania. Kobiety te oskarżono o pomoc i namawianie powstańców do odbicia oskarżonych – między innymi Przysieckich i Spasowicza – niedaleko miejscowości Boczejkowo podczas konwojowania ich przez dwóch Kozaków i kilku chłopów do miasta Lepel. Powodem oskarżenia był fakt, że zarówno Spasowska jak i Wyszomirska towarzyszyły konwojowi w drodze do Lepela, zaś przy miejscowości Boczejkowo oddaliły się na czas jakiś od konwojentów. Wtedy to doszło do oddania dwóch niezidentyfikowanych strzałów w stronę Kozaków. Incydent ten był wystarczającym powodem do pomówienia kobiet o zachęcenie powstańców do próby odbicia aresztantów. Kobiety te bowiem znały drogę, którą konwój zmierzał. Szlachcianki, powołując się na niewystarczające dowody, nie przyznały się do zarzucanych im przewinień.

Tymczasowy Audytoriat Polowy, po rozpatrzeniu i rozważeniu oskarżeń jak i okoliczności popełnienia domniemanej zbrodni doszedł do wniosku, że omówione wyżej poszlaki są wystarczające do potwierdzenia, że Przysieccy, Adamowicz i Spasowicz wiedzieli o toczących się w ich sąsiedztwie przygotowaniach do powstania, co więcej, usiłowali do tego powstania dołączyć. Zostało zatem uznane, że podejrzani Przysieccy, na mocy artykułu 349 II t. *Wojennej*



*Ustawy Karnej* pozostaną w pod surowym nadzorem policji, mogą jednak wrócić do swojego miejsca zamieszkania. Na ich własność nałożono jednak 20% podatek specjalny. Kobiety natomiast, tzn. Marię Spasowską i Stefanię Wyszomirską, z powodu niemożności udowodnienia im „podżegania do odbicia konwojowanych aresztantów” miano zwolnić z aresztu oraz zezwolić na powrót do domu. Niemniej jednak majątek Spasowskiej, jako karę za to że nie pilnowała syna, obciążono 20% specjalnym podatkiem.

Ostatnia, z przejranych przez autorkę spraw, znajdowała się w zespole 3046. Zawierała niezmiernie ciekawe akta dotyczące organizowania oddziału powstańczego oraz uznanej winną za poparcie polskiego buntu szlachcianki Katarzyny Ciechanowieckiej. Akta te zostały sporządzone przez Witebski Komitet Śledczy do Spraw Politycznych i dotyczyły bezpośrednio rozbitego niedawno majątku Pogostiszczu oddziału powstańców. Powstały one na podstawie zeznań walczącego w nim szlachcica, 24-letniego Mikołaja Pławińskiego, który jakoby nieświadomie miał „zostać zmuszonym” do przyłączenia się do wspomnianego oddziału powstańczego. Swoją nieświadomość tłumaczył tym, że „zmylony został zaproszeniem na polowanie”, które jednak miało być pretekstem do zebrania się oddziału, w liczbie więcej niż 30 osób pod dowództwem niejakiego Kotakowa. Po drodze na to rzekome polowanie, dołączali się do nich następni powstańcy, aż wreszcie doszło do potyczki z wojskami rosyjskimi i Kozakami, w trakcie której składający zeznanie został ranny i przewieziony przez żołnierzy do szpitala w Witebsku. Tam to odwiedzała go szlachcianka Ciechanowiecka, obiecująca mu, że będzie dostarczała mu pożywienie, jednocześnie zachęcając go, by nie zdradzał swych towarzyszy, bo to pozwoli mu „zachować spokój i szczęście”.

Wspomniany Mikołaj Pławiński złożył na Ciechanowiecką donos, w którym stwierdził, że po pierwsze, wspierała ona partyzantów i po drugie, że podżegała go do ukrywania współuczestników powstania. Na podstawie tegoż donosu zarządzono rewizję w mieszkaniu szlachcianki, podczas której znaleziono dwa polskie wiersze patriotyczne, które podarł jej mąż, asesor kolegiálny Henryk Ciechanowiecki. Tłumacząc się następnie, że zrobił to bez żadnego wyraźnego celu. Znaleziono u nich również list, adresowany do Katarzyny, a pisany przez jej brata Lwa Stachowskiego, z 6 maja 1863 r., w którym zawiadamiał ją o liczbie, ruchach i działalności oddziału powstańczego.

Katarzyna Ciechanowiecka podczas przesłuchania przez Komisję Śledczą broniła się, że do szpitala udała się tylko raz, powodowana czystymi uczuciami religijnymi, z pobudek chrześcijańskich i wynikających z tego nakazów religijnych. Wyjaśniała przy tym, że Pławinskiego odwiedziła jeden raz, usłyszawszy od innych rekonwalescentów, że potrzebuje on lepszego jedzenia. Nie rozmawiała z nim jednak na temat powstania. Powodowana również uczuciami religijnymi, za zgodą zarządcy guberni, wicegubernatora Piatnickiego, zorganizowała pogrzeb drugiego, śmiertelnie rannego powstańca. W tym celu spotykała się także kilkakrotnie z jego teściową. Ponadto skonstatowała, że w szpitalu tym przebywała zatrudniona przez nią guwernantka, Wojciechowska, którą ona zapatrywała w żywność. Posiadanie zaś patriotycznych hymnów uzasadniała trzymaniem ich jako sztukę, a nie jako „okaz poparcia” powstania polskiego. W związku z tym ani ich nie śpiewała w kościele, ani nie rozpowszechniała. Pierwszy z nich zapisała, po tym jak go usłyszała podczas mszy, drugi zaś

wręczył jej ktoś, kogo już nie może przywołać z pamięci. Nie wspierała również i samego powstania. Jedyne, do czego może się przyznać, to do tego, że wyrażała smutek wobec zaistniałych na Białorusi nieszczęść. Ciechanowiecka nie ustępowała nawet podczas konfrontacji z Pławińskim, który uporczywie powtarzał swoje oskarżenie. Wersję Ciechanowieckiej w pewny stopniu potwierdził dozorca szpitala, asesor kolegialny Jewtichij Ławecki. Zeznał on, że podczas wizyty w szpitalu Ciechanowiecka pytała się jedynie o stan zdrowia Pławińskiego, a dowiedziawszy się, że jest ranny i potrzebuje pieniędzy, zostawiła na jego leczenie 6 rubli. Więcej razy zaś z Pławińskim się nie spotykała. Oświadczył również, że za zgodą wicegubernatora urządziła ona pogrzeb dla Pomarneckiego. Zeznający zaś brat Ciechanowieckiej, Lew Stachowski złożył oświadczenie, w którym zapewniał, że list jego autorstwa został źle zinterpretowany. Udowadniał, jakoby pisał w nim o nieszczęściu wynikłym z powodu wybuchu powstania w guberni mohylewskiej, a wymienieni w liście zabici byli jego krewnymi.

Po rozpatrzeniu wszystkich donosów i zeznań Komisja Śledcza uznała jednak Katarzynę Ciechanowiecką winną poparcia polskiego powstania i przechowywania hymnów, które jej mąż w trakcie rewizji z premedytacją podarł, w celu zniszczenia dowodów.

❖ **„Mieliśmy wówczas wiele kobiet o dziwnej sile moralnej i męstwie niezwykłym”**

Analiza wyroków tymczasowych sądów polowych i Audytorów Polowych a także prośby pisane przez szlachcianki pozwalają wysunąć wniosek, że kobiety te, choć swoje poparcie dla sprawy narodowej okazywały w sposób jednoznaczny i odważny, jednak zawsze jedynie poprzez przyjmowanie zadań pomocniczych. Ich działalność nie wychodziła zatem poza utarte tradycje i obyczajem granice. Przywdziewały one żałobę narodową, przechowywały zakazane pieśni i dokumenty, włączały się w organizację oddziałów powstańczych, również przekazując fundusze na ten cel, aprowizowały partyzantów, czy oddawały im posługę samarytańską. Nie wahały się także podjąć zadań agitacyjnych wśród chłopów, namawiając ich do przyłączenia się do partyzantki. Za każdym razem były to jednak funkcje jedynie służebne, wpisane w kanon postępowania niewieściego w dobie niepokoju. Dla nakreślenia szerszej perspektywy warto wyjść poza będące podstawą źródłową niniejszego artykułu dokumenty i dodać, że w dobie powstania styczniowego wiele szlachcianek polskich ofiarnie włączało się w działania powstańcze. Prócz wymienionych wyżej zadań, czynnie działały one w „komitetach niewieścich”, czy zachęcały mężczyzn do walki, stosując wręcz ostracyzm społeczny wobec bardziej opornych jednostek. Opiekowały się rannymi partyzantami i rekonwalescentami, pod swą pieczę miały również więźniów politycznych. Z chwilą zaś zesłania małżonka za działalność spiskową, nierzadko rezygnowały ze swego dotychczasowego życia i wygod, dzieląc jego tułaczy los. Wspomnieć wypada chociażby o Ludwice z Jamonttów Rodziewiczowej, która za mężem wraz z potomstwem udała się na 12-letnią tułaczkę do Riazania, czy Kazimierze z Łopacińskich Ostrołęckiej, podążającej za małżonkiem wraz z dziećmi do Tomsku, gdzie zmarła w 1863 r.

Powracając zaś do kar nakładanych na szlachcianki na mocy rosyjskiego prawodawstwa za ich wsparcie powstania, warto je pogrupować pod względem

ich surowości. Kary te zdradzają przecież stopień zaangażowania się kobiet w powstanie i skalę ich „przewinień”. Najlżejszą karą było napomnienie, stosowane jedynie w przypadku szlachcianek, które po raz pierwszy przyłapano na łamaniu prawa wojennego, poprzez przywdziewanie żałoby narodowej. Surowszą karą było nakładanie grzywien, jako odpowiedź na powtórne upomnienie za noszenie żałoby, bądź inne, lżejsze przewinienia, jak posiadanie odpisu patriotycznej pieśni lub wiersza. Najsurowszą zaś karą było zesłanie połączone z konfiskatą majątku, po uprzednim długotrwałym i wyczerpującym areszcie. Większość szlachcianek spotkała kara grzywny, bądź upomnienia. Zdarzały się jednak wyjątkowo zaangażowane kobiety, zdaje się inspirowane przez męskich członków swej rodziny i działające wraz z nimi, które swą młodość i majątek poświęciły w imię wolności ukochanej Polski, ponieważ ukarano je konfiskatą mienia, bądź koniecznością jego sprzedania oraz zesłaniem.

Należy także pamiętać o tym, że wśród wielu wyroków zatwierdzano również te uniewinniające, czy to ze względu na młody wiek podejrzanych, czy z powodu braku wystarczających dowodów potwierdzających ich „zbrodnie”. Powołując się jednak na ustalenia Henryka Cederbauma warto zacytować jego wniosek, że „Rzadkie niezmiernie były wypadki uniewinnienia delikwenta”. Aby wykazać opieszałość działania zbiurokratyzowanego carskiego sądownictwa, a poprzez to wydłużania czasu trwania – nie tyle samego procesu sądowego, ile okresu oczekiwania na prawomocny wyrok – od złożenia donosu, przez proces, aż do wykonania kary, wypada przedstawić konkretne daty ze sprawy Marii Swiriszczewskiej, wymienianej wyżej szlachcianki, posądzonej o działalność agitacyjną wśród chłopów. Otóż dnia 8 marca 1863 r. dokonano donosu, wstępny wyrok naczelnika guberni witebskiej, który oczekiwał zatwierdzenia przez generała piechoty, wydano dnia 30 czerwca 1864 r., a odpowiedź generała wyszła dnia 22 lipca. Jeszcze w styczniu 1865 r. szlachcianka Swiriszczewska znajdowała się w więzieniu, gdyż nie uiściła 50-rublowego mandatu, nakazanego jej wyrokiem sądowym, w związku z czym nie mogła powrócić do majątku swej matki. Dopiero dnia 6 lutego 1865 r. wpłaciła należne pieniądze, które przekazano gubernatorowi witebskiemu i po tym dniu mogła opuścić więzienie.

\*

**Wykaz wykorzystanych zespołów (Фонды) z Archiwum Państwowego w Mińsku:** 295 – Канцелярия минского губернатора (295 – Kancelaria gubernatora mińskiego): ф. 295, оп. 1, нр. 1539. Рапорты Минского полицмейстера и уездных исправников и выполнении циркулярного предписания временного военного губернатора о наблюдении за лицами, носившими траурную одежду, и взыскании с них штрафа. 02.07.10.10.1863. 63 л. (f. 295, оп. 1, д. 1539. Raporty mińskiego naczelnika policji i naczelników policji ujezdów o wykonaniu pisma okólnego tymczasowego gubernatora wojkowego dot. obserwacji ludzi w ubraniu żałobnym i wymierzeniu im grzywny. 02.07.10.10.1863. 63 s.); 1416 – Витебское губернское правление (1416 – Urząd guberni witebskiej): ф. 1416, оп. 4, нр. 11382. Дело по предложению военного губернатора г. Витебска и витебского гражданского губернатора об исполнении конфирмации главного начальника края над помещиком Полоцкого уезда Антоном Ивановым Лакисом, женой его Марьей и сыном их Николаем, судимых за соучастие в мятеже. 13.05.1864-22.05.1864. (f. 1416, оп. 4, д. 11382. Sprawa na podstawie propozycji gubernatora wojkowego w Witebsku i witebskiego gubernatora cywilnego o wykonaniu konfirmacji głównego naczelnika kraju nad właścicielem ziemskim ujezdu połockiego Antonem Iwanowym

Lokisem /Антоном Ивановым Лакисом/, jego żoną Marią /Марьей/ i synem Nikolaem /Николаем/, oskarżonych za współudział w buncie. 13.05.1864-22.05.1864); **ф. 1416, оп. 4, нр. 11407**. Дело по предложению начальника Витебской губернии об исполнении конфирмации над дворянами Станиславом Гатовским, Константином Свидерским и др. 12.09.1864-19.09.1864. 22 л. (**ф. 1416, оп. 4, д. 11407**). Sprawa na podstawie propozycji naczelnika guberni witebskiej o wykonaniu konfirmacji nad szlachcicami Stanisławem Gatowskim /Станиславом Гатовским/, Konstantym Świderskim /Константином Свидерским/ i innymi. 12.09.1864-19.09.1864. 22 s.); **ф. 1416, оп. 4, нр. 11409**. Дело по предложению начальника Витебской губернии об исполнении конфирмации главного начальника края над помещиком Августом и женой его Иозефиной Шауманами, дворянином Владиславом Франковским и другими лицами. 27.09.1864-01.10.1864. 25 л. (**ф. 1416, оп. 4, д. 11409**). Sprawa na podstawie propozycji naczelnika guberni witebskiej o wykonaniu konfirmacji głównego naczelnika kraju nad właścicielem ziemskim Augustem /Августом/ i jego żoną Józefiną Szaumanami /Иозефиной Шауманами/, szlachcicem Władysławem Frankowskim /Владиславом Франковским/ i innymi. 27.09.1864-01.10.1864. 25 s.); **ф. 1416, оп. 6, нр. 255**. Дело по отношению Виленского губернского правления о розыске для секвестра имущества помещицы [Октавии-Александры] Пальчевской. 01.06.1863-10.02.1865. 23 л. (**ф. 1416, оп. 6, д. 255**). Sprawa na podstawie opinii urzędu guberni wileńskiej o poszukiwaniu dla sekwestru majątku właścicielki ziemskiej [Oktawii Aleksandry] Palczewskiej /[Октавии-Александры] Пальчевской/. 01.06.1863-10.02.1865. 23 s.); **ф. 1416, оп. 4, нр. 1416**. Дело о лицах, принимавших участие в политических беспорядках по здешней [Витебской] губернии. 13.05.1864-21.04.1867 (**ф. 1416, оп. 4, д. 11416**). Sprawa o osobach, które uczestniczyły w zamieszkach politycznych w tej [witebskiej] guberni. 13.05.1864-21.04.1867); 1430 – Канцелярия витебского гражданского губернатора (1430 – Kancelaria witebskiego gubernatora cywilnego): **ф. 1430, оп. 1, нр. 32065**. Дело о взыскании денежного штрафа с дворянки Люцинского уезда Лукашевичевой за ношение траура. 30.04.1865-15.05.1865 (**ф. 1430, оп. 1, д. 32065**). Sprawa o wymierzeniu grzywny szlachciance ujezdu ludyńskiego Łukaszewiczowej /Лукашевичевой/ za noszenie ubrania żałobnego. 30.04.1865-15.05.1865); **ф. 1430, оп. 1, нр. 31830**. Дело по представлению губернатора генерал-губернатору о высылке из края прожи-вающих в гор. Витебске помещицы Дриссенского уезда Нитославской и ее дочери Юзефины за сбор в их доме политически неблагонадежных лиц и родственников осужденных за участие в восстании 1863 г. 19.05.1864-16.06.1864 (**ф. 1430, оп. 1, д. 31830**). Sprawa na podstawie opinii gubernatora generałowi gubernatorowi o wysłaniu z kraju zamieszkałych w Witebsku właścicielki ziemskiej ujezdu drysseńskiego Nitosławskiej Нитославской/ i jej córki Józefiny /Юзефины/ na podstawie spotkań w ich domu osób o wątpliwych poglądach politycznych i krewnych skazanych za udział w powstaniu roku 1863. 19.05.1864-16.06.1864); **ф. 1430, оп. 1, нр. 31558**. Дело по рапорту Витебской следственной комиссии по политическим делам с представлением следственного дела по обвинению дворянки Полоцкого уезда Свирщевской в распространении антиправительственных идей и в политической неблагонадежности. 19.02.1864-21.06.1864 (**ф. 1430, оп. 1, д. 31558**). Sprawa na podstawie raportu witebskiej komisji śledczej ds. politycznych z przedstawieniem sprawy śledczej o oskarżeniu szlachcianki ujezdu połockiego Świrszczewskiej /Свирщевской/ w rozpowszechnianiu idei antyrządowych i w wątpliwości poglądach politycznych. 19.02.1864-21.06.1864); **ф. 1430, оп. 1, нр. 31594**. Дело по рапорту Комиссии военного суда при Витебском батальоне внутренней стражи с представлением следственного дела о дворянках Чашницкой и Яковицкой, судимых за хранение гимнов и стихов возмутительного содержания. 14.05.1864-08.08.1864. 27 л. (**ф. 1430, оп. 1, д. 31594**). Sprawa na podstawie raportu Komisji sądu wojskowego przy witebskim batalionie straży wewnętrznej z przedstawieniem sprawy śledczej o szlachciankach Czasznickiej /Чашницкой/ i Jakowickiej /Яковицкой/, oskarżonych za przechowywanie hymnów i wierszy o treści zakazanej. 14.05.1864-08.08.1864. 27 s.); **ф. 1430, оп. 1, нр. 31242**. Дело по рапорту учрежденной в гор. Витебске

следственной комиссии по политическим делам о доставлении на рассмотрение губернатора дела о помещике Шантыре, обвиняемом в участии в восстании. 12.11.1863-17.12.1864. 53+3 л. (ф. 1430, оп. 1, д. 31242. Sprawa na podstawie raportu powołanej w Witebsku komisji śledczej ds. politycznych o przekazaniu do rozpatrzenia gubernatorowi sprawy o właścicielu ziemskim Szantyrze /Шантыре/, oskarżonym w udziale w powstaniu. 12.11.1863-17.12.1864. 53+3 s.); 3046 – Витебская следственная комиссия по политическим делам (3046 – Witebska komisja śledcza ds. Politycznych): ф. 3046, оп. 1, пр. 1. Краткие выписки из следственных дел участников восстания 1863 г. 1863-1864 гг. 576 л. (ф. 3046, оп. 1, д. 1. Krótkie wyciągi ze spraw śledczych uczestników powstania roku 1863. 1863-1864. 576 s.).

## APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 rok, ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiętnikarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne go w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *nie ludzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY  
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

**Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku**

ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok  
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl  
www. sybir. com.pl

---

---

**ADAM CZESŁAW DOBRONSKI**

## **PRZYPADKI POLAKÓW W WIERCHOTURIE (1863-1864)**

Cennym źródłem do losów zesłańców polskich okresu powstania styczniowego i „nocy postyczniowej” oraz do historii Białegostoku jest pozostający wciąż w rękopisie pamiętnik Adolfa Białokoza.<sup>1</sup> Autor, nauczyciel śpiewu m.in. w gimnazjum białostockim, został powtórnie aresztowany w nocy z 23 na 24 czerwca 1863 r. Pociągiem grupa zesłanych na osiedlenie dotarła przez Grodno – Wilno – Dyneburg do St. Petersburga. Po pięciodniowym pobycie w więzieniu etapowym więźniów wyprawiono do Moskwy, a stąd A. Białokoza, obywatela z Wileńskiego Jarosława Tebańskiego i sekretarza mińskiej dumy miejskiej Adama Oziembłowskiego skierowano nadal pociągiem do Niżnego Nowogrodu. Następnie parostatkiem popłynęli do gubernialnego Permu i telegramami pocztowymi dojechali po pięciu dniach do miasta Wierchoturie, nad rzeką Turą, dopływem Tobołu. Miasto to zostało założone w końcu XVI w., zaliczane do najstarszych leżących za Uralem. Należało do guberni permskiej, posiadało kilka klasztorów prawosławnych, z nich wyróżniał się monastyr św. Mikołaja.<sup>2</sup> Wierchoturie od dawna stanowiło punkt na trasie syberyjskiej zesłańców polskich z Kazania przez Nowe Usole.

### **Warunki życia. Samoorganizacja**

Sprawnik (naczelnik policji powiatowej) przyjął dokumenty i polecił policjantowi zaprowadzić trójkę Polaków do jednego z gospodarzy na kwaterunek tymczasowy. Poinformował, że zesłani mogą swobodnie poruszać się po mie-

---

<sup>1</sup> Pamiętnik znajduje się on w zbiorach Muzeum Historycznego w Białymstoku, został przygotowany do druku przez Piotra Niziołka. Liczy 224 strony zapisane w zeszycie, obejmuje okres od 1860 do grudnia 1864 r. A. Białokoz został mianowany naczelnikiem cywilnym Białegostoku, ale konsekwentnie zaprzeczał jakoby funkcję tą podjął. Był zesłany w trybie administracyjnym do miasta Wierchoturie, a po procesie w Grodnie na osiedlenie w Tobolsku. Dalszych badań wymagają zarówno biografia autora, jak i losy pamiętnika.

<sup>2</sup> Obecnie Wierchoturie znajduje się w obwodzie swierdłowskim, jest stolicą rejonu, liczy niespełna 8 tys. mieszkańców. Znane są również zapiski o łagrze Wierchoturie z lat 40. XX w., w kwietniu 1945 r. do Starej Berezówki w rejonie Wierchoturie przywieziono Augusta Emila Fieldorfa. We wrześniu przeniesiono go do łagru w Wierchoturie, tu przebywał niemal do końca października. W jednym z klasztorów w tej miejscowości trzy miesiące pokutował 18-letni Grigorij Jefimowicz Rasputin, później-szy mnich, czarna postać z dworu Mikołaja II



ście, natomiast nie wolno im wydalac się do innych miejscowości. Kwatera wyglądała zachęcająco, był to pokój dosyć spory i umeblowany, miał wytapetowane ściany, na podłodze leżały dywaniki. Gospodarze podali samowar oraz mleko do herbaty, zasłali trzy pościel. Przybyli wypili tylko po szklance herbaty, chcieli jak najszybciej położyć się spać, po pięciu dniach zrzucili przepoconą bieliznę. Zgaszono świecę, leżących szybko ogarnął sen. „Pomimo tak wielkiego zmęczenia, tak długiej bezsenności, śpiący słyszę szum, zda się być wielka burza, deszcz ulewny. Potem czuję, jak woda przeciekła przez sufit wielkimi kroplami pada na mnie. Przypominam śpiący, że okryłem się kołdrą nową, kupioną u Commichau w Białymstoku<sup>3</sup>. Żal mi jej, poplami się. Wtem pada mnie na głowę wielka kropla wody. Zrywam się ze snu, zapalam świecę, i o zgrozo! Co zobaczyłem? Na poduszce kilkanaście tarakanów (karaluchów). Chwytam buty, aby włożyć i mam ich w garści kilka. Podłoga tak nimi usiana, że nie można stąpić, by nie rozduścić kilka od razu. Po ścianach, po suficie mnóstwo ich spaceruje. One to padały z sufitu na mnie i obudziły. One, chodząc po tapetach wiszących tylko na ścianach zbudowanych z okrągłaków, między którymi mech gliną nawet niezamazany, robiły szum słyszany we śnie”. Dopiero po rozwidnieniu się robactwo pochowało się, trójka zesańców spała do południa.

A. Białokoz wyszedł z domu, by kupić cukier i rozejrzeć się po mieście. „Ani jednej żywej duszy, ani jednego wozu nie widać! Poszedłem we wskazanym przez gospodarza kierunku. Kiedym przeszedłem kroków ze dwieście, spotykam człowieka wychodzącego z bocznej ulicy – „Wy moszenniki, buntowszczyki, careubijcy” – krzyczy ów człowiek – „rjezat’ was palaczyszk<sup>4</sup>!” I chwyciwszy garść błota rzucił na mnie. Strach mnie ogarnął. Wróciłem się nazad i gospodarza posłałem po cukier. Po herbacie poszedłem do sprawnika, aby przedstawić nasze położenie i dowiedzieć się o prawach nam przysługujących. Przyjął mnie Aleksandr Arsienjewicz Andronikow (tak się nazywał sprawnik). Bardzo grzecznie zaręczył, że więcej żadnych nieprzyjemności od mieszkańców nie doznamy i prosił, aby w każdej potrzebie udawać się do niego, jako jedyne zwierzchnika naszego”.

Okazało się, że w mieście nie ma restauracji i cukierni, za to łatwo można było kupić wódkę. „Domy wszystkie drewniane z grubych okrągłaków budowane, prawie wszystkie krzywe, na suterrenach. Okna duże, w odstępach półarszynowych, a rzadko arszynowych<sup>5</sup> – wyglądają niby oranżerie. Dachy po większej części kryte deskami i smołą malowane. Niewiele jest krytych blachą malowaną na zielono. Po obu stronach ulicy są rowy dla ścieku deszczowej wody i pomyj. Rowy i cała ulica zarośnięte trawą. Pośrodku ulicy jest ślad, że czasem ktoś przejeżdżał. Ulica kończy się bazarem (rynkem), na którym nigdy nic się nie sprzedaje. Za bazarem widnieje wielki murowany monaster z wieloma kopułami i złocistymi krzyżami. Przy bazarze są dwa wielkie magazyny kupieckie, z przeróżnym towarem, i kilka mniejszych. Bazar i wszystkie ulice nie są brukowane, wszędzie trawa albo błoto.”

<sup>3</sup> Commichau, rodzina fabrykantów z Saksonii, w Białymstoku od 1843 r. W latach 60. XIX w. jedni z większych przemysłowców, ich wyroby znane były w wielu krajach świata.

<sup>4</sup> Wy szalbierze, buntownicy, carobójcy [...] zarznąć was Polaczków!

<sup>5</sup> Arszyn – rosyjska jednostka długości równoważność ok. 0,71 m.

Za to magazyn kupca Muchłynina był znakomicie zaopatrzone w różnorodne towary („Warszawa takiego magazynu nie posiada”).

„Miasteczko ludności liczy mniej dwóch tysięcy mieszkańców, nieróżniących się od chłopów, urzędników tyle, co w każdym miasteczku powiatowym, wojska nie ma wcale, oprócz garstki żołnierzy dla straży. Jest tu monaster z kilkudziesięcioma monachami. W monasterze przechowują się zwłoki *prawiednoho Siemiona*, uważanego za cudotwórcę.<sup>6</sup>

Do tego więc miejsca dążą ludzie nabożni z najodleglejszych stron Rosji: z Kamczatki, Kaukazu, Krymu, Archangielska, nie tylko ubodzy, lecz często przyjeżdżają powozami zaprzęzonymi w osiem koni, a stąd monaster bardzo bogaty. W powiecie jest wiele kopalń: złota, srebra, miedzi, żelaza, a więc inżynierowie, górnicy, różni technicy dobrze płatni. Wszystko to żyje i zaspokaja swoje potrzeby u Muchłynina, bo kraj niezaludniony, a zatem nic nie produkuje”. Polaków zdziwiły ceny, nawet trzy razy wyższe niż w Białymstoku. Wieczorem gospodarz przyniósł ogromną wiązkę pokrzywy, która miała zabezpieczyć śpiących przez robactwem. Obłożono nią pościel, o zachodzie słońca zamknięto okiennice. Tym razem spano lepiej, choć niektóre insekty dostały się na pościel spadając z sufitu.

Dzień drugi minął Polakom na pisaniu listów, A. Białokoz podjął też poszukiwania innej kwatery. Pierwsza próba zakończyła się porażką, wysoki wielki brodaty chłop krzyknął: „*Ubierajsia precz! Nam takich nie nado!*”<sup>7</sup> i zatrzaskał bramę. Następnego dnia białostoczanin odniósł listy do sprawnika. Nie można ich było zaklejać, kontrolę miano przeprowadzać w urzędzie gubernatorskim. Pierwszym, który odwiedził Polaków był student Uniwersytetu Petersburskiego Kostenko, Małorosjanin<sup>8</sup> zesłany za używanie języka małoruskiego i kontakty z poetą Tarasem Szewczenko. Przyniósł dobrą wiadomość, że Simonow, wyższy urzędnik powiatowy i jego żona, wychowana w klasztorze w Petersburgu, proponują wydawanie obiadów po cenie kosztu produktów (6 rubli od osoby). Tenże Kostenko nastreczył mieszkanie położone blisko Simonowów, u osiedleńca po odbyciu katorgi za przestępstwo kryminalne, składające się z trzech pokoików z przedpokoikiem i kuchnią, czyste i widne w cenie 3 ruble na miesiąc.

Państwo Simonow okazali się ludźmi dobrego serca. Niestety, nie mogli znaleźć kucharki, a pani domu nie radziła sobie zbyt z gotowaniem, ponadto odczuwano brak produktów żywnościowych („Kto chce mieć mięso musi kupić krowę, kazać ją zarznąć i mięso trzymać na lodzie do zużycia”). Padła nawet niespodziewana propozycja: „Boże daj, by nieszczęście, jakie na wasz kraj spadło, jak najprędzej przeminęło! Lecz jeżeli jeszcze ludzie mają iść na wygnanie, gdybyż nam przysłali kucharek, praczek, a byłoby im tu materialnie dobrze i nam byłoby lepiej”. Po powrocie do domów Polacy dodatkowo posilili się serem z herbatą i postanowili wyjść do lasu, by się orzeźwić. Zrezygnowali jednak po ostrzeżeniu, że mogą spotkać się z niedźwiedziem, albo rysiemi. Pamiętnikarz sporo miejsca poświęcił jedzeniu, przysmakom lokalnym, wśród których były pierogi nadziane rzodkwią pieczoną i smażone na oleju konopnym.

<sup>6</sup> Symeon Wierchoturski i całej Syberii Cudotwórca (zm. 1642 r.).

<sup>7</sup> Zabieraj się precz! Nam takich nie trzeba!

<sup>8</sup> Małorosjanin (Małorus) – mieszkaniec Rusi (Ukrainy).

Po dwóch tygodniach pobytu powiększyła się liczba rodaków w mieście i okolicy. Niektórzy z nich nie mieli w ogóle rubli. A, Białokoz postanowił pomóc im, a wszystkich połączyć w jedną rodziną, „co by nam nie dało upaść moralnie, narazić na szwank imię polskie”. Miał w tym pomoc regulamin ułożony przez białostoczanina:

1. Wszyscy jesteśmy synami jednej matki, drogiej nam ziemi. Wszyscy cierpimy za jedną sprawę, a więc wszyscy jesteśmy sobie równi. Uznaje się różnicę tylko w wykształceniu i zasługach.

2. Każdy z nas obowiązany jest nowo przybyłego brata przyjąć w swoim mieszkaniu, zaspokoić pierwsze jego potrzeby i o przybyłym innych zawiadomić.

3. Nowo przybyły powinien otwarcie objawić: a) czy ma dostateczną ilość bielizny i innych niezbędnych rzeczy, aby brak dopełnić z kasy towarzystwa, jeżeli jest ubogim; b) czy ma lub będzie miał środki do życia; jeżeli ma mało, to ile ma mniej więcej, aby można było obliczyć jak na długo to może wystarczyć, ponieważ towarzystwo musi myśleć o środkach na wszystkie potrzeby.

4. Niemający żadnych środków do życia, ma otrzymywać z kasy towarzystwa podług obliczenia kosztów życia.

5. Posiadającym jakie rzemiosło, koledzy obowiązani się wynajdywać robotę, urządzać warsztaty i dbać o najsumienniejsze wykonanie obstalunku.

6. Każdy powinien żyć jak najoszczędniej, chociażby żył z własnych funduszy, nie zaciągać długów, pamiętać na to, że dobry przykład, równie jak zły, jest zaraźliwy.

7. Do szynków zachodzić zakazuje się stanowczo, bo to ubliża ogółowi. Wolno posłać po butelkę wódki i mieć u siebie w domu, jeżeli ktoś tego potrzebuje.

8. Nie wchodzić do brudnych miejsc i w bliższe stosunki z ludźmi podejrzanej moralności.

9. Urazy do kogoś, jeszcze z kraju wyniesione, powinny i muszą być zapomniane na wygnaniu. Podajemy sobie ręce i żyjemy w zgodzie.

10. Mogące wyniknąć nieporozumienia rozstrzyga większością głosów sąd koleżeński przez obie strony wybrany.

11. Niepiśmienni powinni korzystać z czasu i uczyć się. Umiejętni obowiązani [są] uczyć. Uczmy się nawet z nieszczęścia wyciągać korzyści.

12. Każdy każdego obowiązany jest odwiedzić przynajmniej raz na tydzień i może po przyjacielsku zapytać się, co zrobił w tym tygodniu, czy otrzymał jakie wiadomości z kraju, od swoich, czy nie ma jakiej gwałtownej potrzeby [by] udzielić mu dobrej rady, a w razie potrzeby zawiadomić o tym stowarzyszenie, aby udzielić mu pomocy. Tak żyjąc, nie będziemy osamotnieni i przed miejscową ludnością dowiedziemy naszej wyższości.

13. Każdy ze stowarzyszonych obowiązany jest zadeklarować i stale wносить do kasy pewną ilość pieniędzy według swej możliwości i dobrych chęci, lecz wyłamywać się spod tego prawa nie może nawet najuboższy, pobierający z kasy na swe utrzymanie, aby być równym między równymi.

14. Biorący z kasy zapomogi nikomu nie dziękuje i nikomu do wdzięczności nie jest obowiązany, lecz obowiązany jest podnosić honor towarzystwa, do którego sam należy, sumiennym i moralnym sprawowaniem się.

15. Tak zorganizowana kolonia wygnańcza powinna stanowić jedną rodzinę i każdy każdego szanować [ma] jak brata. Wyłamujący się spod praw wyżej spisanych, tracą prawo do koleżeństwa z członkami tego towarzystwa.

Zaprosiwszy do siebie kilka osób inteligentniejszych przedstawiłem im moją myśl, jaką jednogłośnie zaakceptowano. Wówczas zaczęliśmy czytać napisane przeze mnie reguły, rozbierać punkt po punkcie, rozważać i krytykować, i cały regulamin został przyjęty za obowiązujący. Wybraliśmy kasjera odpowiedzialnego i wraz złożyliśmy maleńką sumkę<sup>9</sup>.

Pierwszym, który dołączył do trójki Polaków był młody fotograf Zahorski bez żadnych środków do życia i sprzętu do wykonywania zawodu. Zgodził się podjąć obowiązki kucharza i dobrze się z nich wywiązywał, wymyślał potrawy mleczne, na zupy kupował zające.

Ważną postacią stał się marszałek guberni mińskiej Mieczysław Tukałło<sup>10</sup>, który zaakceptował zaprowadzony ustrój, zadeklarował dawać do kasy po dziesięć rubli miesięcznie. Jako kolejni dołączyli: inżynier Romuald Kułakowski<sup>11</sup>, pięciu księży. „I tak w przeciągu dwóch miesięcy uformowała się wzorowa kolonia licząca dwudziestu kilku członków zgodnych, pracowitych, kochających się jak jedna rodzina. A ja milcząco byłem uznawany za głowę tej rodziny, bo wszyscy i w każdej sprawie udawali się do mnie i ja załatwiałem wszystkie sprawy, tak prywatne między nami, jak i sprawnika, który stał się naszym przyjacielem”.

Szewcu z Warszawy „familia” sprowadziła z Jekaterynburga skóry, podszwy i narzędzia, dzięki czemu pozyskał z czasem także klientów spośród mieszkańców miasta. Stolarz miał bogaty zyciorys, walczył w 1848 r. na Węgrzech, a potem w Algierze (Legia Cudzoziemska?), pracował w Londynie. Sprowadzono mu warsztat i materiał, aby porobił łóżka, stoły, stołki. A. Białokoz z konieczności został krawcem. Niepiśmiennych zaczęto uczyć, zaprenumerowano też „*Moskowskije Wiedomosti*”. „Była to najlepsza gazeta dla nas, bo pan Katkow w zaciekleści swojej wyśpiewał wszystko, o czym inne gazety milczały<sup>12</sup>”.

---

<sup>9</sup> Znane są inne, bardziej rozbudowane „ustawy” grup polskich, w tym „Ogół” – zesłańców skierowanych do Nerczyńskiego Zawodu. Najwięcej ustaleń szczegółowych zawierała Ustawa Towarzystwa Wygnańców w Kadai z 1865 r. Vide: Bogdan Mantur, „Ogół” – organizacja samopomocy wśród Polaków na Syberii Wschodniej w okresie międzypowstaniowym, praca mgr., masz. ss 119, Uniwersytet w Białymstoku, 2002 (przygotowana pod kierunkiem dr. Jana Trynkowskiego, ukończona na seminarium A. Dobrońskiego).

<sup>10</sup> Mieczysław Tukałło (1817-1885), herbu Szreniawa, właściciel pałacu w Ościukowiczach, marszałek szlachty wileńskiej. Przeciwny powstaniu, w którym wziął udział jego brat Konstanty (1818-1880). Obaj znaleźli się na zesłaniu.

<sup>11</sup> Romuald Kułakowski, inżynier-kapitan, naczelnik jednego z odcinków XII okręgu dróg i mostów.

<sup>12</sup> Czasopismo wydawane w latach 1756-1917. Redaktor Michaił Nikiforowicz Katkow (1818-1887) był uważany za czołowego Polakożercę, politycznego inspiratora nacjonalizmu rosyjskiego.

„Smutne i wraz smutniejsze wiadomości nas dochodziły. Listy i posyłki z kraju i do kraju potrzebowały cztery-sześć tygodni czasu na podróż w jedną stronę, a bardzo często nie dochodziły przeznaczenia. I do mnie list pieniężny z trzydziestoma rublami i posyłka niemałej wartości nie doszły – przepadły”. Niespodziewanie sprawnik kupił fortepian i zaprosił A. Białokoza, by ten uczył gry jego żonę, córkę swego pomocnika, a wkrótce i dziesięcioletnią kuzynkę. Z kolei M. Tukałło zaproponował wspólne zamieszkanie w wynajętym dużym domu nad rzeką Turą. Ostatecznie zamieszkali tam: marszałek, ksiądz kanonik Wieluński<sup>13</sup>, proboszcz kościoła św. Jana w Warszawie, A. Białokoz. Każdy miał pokój, płacili po 11 rubli miesięcznie. Tukałło przyjmował w czwartki wieczorem całą miejscową Polonię, w tym 3 księży, kupca Leona Krupeckiego<sup>14</sup>, szewca Piotra Urbańskiego, dorożkarza Piotra Muczyńskiego (wszyscy trzej z Warszawy)<sup>15</sup>, inż. Kułakowskiego, obywateli ziemskich, urzędników, mieszczan, szlachtę, chłopów („Tylko doktora i żydka brakowało”).

„Wszyscy jak bracia, bez pychy, bez uniżoności. W jednym pokoju czytano coś poważnego, w drugim ksiądz czytał coś moralnego, w trzecim czytano gazetę. W sali czytano sobie listy, rozmawiano o kraju, o doznanych przygodach. Nareszcie wspólna skromna kolacyjka. Serce skakało z radości, patrząc na to braterstwo wszystkich stanów narodu naszego. Gdybyż tak było w swobodnym kraju! Lecz pomyślawszy, że jesteśmy w niewoli, że niewola nas tu zbratała, że każdy tu przytomny ma duszę rozdartą, że jesteśmy tu jak wilki, jagnięta, zające, jadowite gady burzą do jaskini zapędzone i ze strachu sobie krzywdy nieczyniące – pomyślawszy o tym wszystkim serce się krajało. Czyż koniecznie trzeba ciężkiej kary Bożej, trzeba niewoli, abyśmy w każdym człowieku widzieli uczciwego brata, pracującego, jak kto może i jak kto umie? Prawdą też jest, że którzy się tu zebrali, są to wybrańcy z naszego kraju”<sup>16</sup>.

Pod koniec sierpnia 1863 r. spadł śnieg, zaczęły się przymrozki. Sprawnik zapowiedział bal składkowy w rocznicę koronacji cesarza Aleksandra II<sup>17</sup>, po 5 rubli od mężczyzny. Do udziału zaprosił Polaków stawiając ich w sytuacji drażliwej. A. Białokoz próbował podziękować za wielki zaszczyt mnożąc trudności. Po naradzie z Tukałłą i kanonikiem odmówił i po raz drugi, ale koniec końców musiał ulec. Jedynie ks. kanonika zastąpił Tebański.

„Słuchać muzykę. Co oni grają? Skrzypce jęczą, piszcą jakiś lament, coś niby znajomego. Dwoje skrzypiec akompaniują, jak najokropniej fałszywie, na basetli skrobą, inaczej określić nie można. Taktu, rytmu, pochwycić nie mogę. Co to jest? „*Polskij Oginskij*”. Żaden muzyk nie poznałby, że to jest

<sup>13</sup> Być może chodzi o ks. Kazimierza Welońskiego (1831-1915), proboszcza parafii św. Aleksandra w Warszawie, zesłanego do guberni permskiej w 1863 r. za aktywne wspieranie ruchu niepodległościowego (P. Niziołek).

<sup>14</sup> Leon Krupecki (1822-1875), kupiec warszawski i działacz niepodległościowy, aresztowany 19 IX 1863 r. w związku z zamachem na namiestnika Królestwa Polskiego Friedricha von Berga. Autor listów wydanych w 1998 r. w Tarnowie.

<sup>15</sup> Piotr Muczyński, Piotr Urbański, jak i niewymieniony tu nauczyciel z guberni mohylewskiej Jerzy Żebenko byli jednymi z dziesięciu lokatorów zamieszkujących w Wierchoturii w domu wynajmowanym przez Leona Krupeckiego (P. Niziołek).

<sup>16</sup> Wyraz „narodu” wykreślony i zastąpiony słowem „kraj”.

<sup>17</sup> Koronacja Aleksandra II Romanowa i jego żony odbyła się 26 VIII (7 IX) 1855 r.

polonez Ogińskiego „*Les Adieu à la patrie*”<sup>18</sup>. Jakich uczuć doznaliśmy na wstępie, niech czytelnik w duszy swej dosnuje”. Okazało się, że w oddzielnych salonach zgromadzili się: mężczyźni, mężatki, panny. Bialokoz próbował bezskutecznie nawiązać rozmowę z damami, które wpadały w drzemkę. Gwar za to panował w bufecie, gdzie przeważali młodzieńcy. Wiele zastrzeżeń trójki Polaków wzbudzały i tańce, odbywane prawie w milczeniu. O godzinie trzeciej rano w sali karcianej wybuchł skandal, bo jednemu z grających zginęły pieniądze. Zamknięto drzwi na klucz i przeprowadzono rewizję, po czym złodzieja wyrzucono przez okno na dwór.

### **Polscy mieszkańcy**

W drugiej połowie września grubość śniegu wyniosła około pół metra. „Życie nasze, już ustalone, płynie monotonnie. Uczymy się, odwiedzamy się, tęsknimy, pocieszamy się. W mieście przybywają fortepiany. Mieszkańcy zaczęli nas szanować i podziwiać, że wszyscy Polacy nie piją, żadnych awantur nie robią, nie kradną, a nawet... nie kochają. „A nam nałgali – mówiono, że to są barbarzyńcy, rozbójniki, królobójcy, że w Boga nie wierzą, a to wszystko nie prawda. Oni na klęczkach modlą się i krzyże mają, i obraz Matki Boskiej mają, i święta mają – *czestnyje ludi, da tolko žal szto nie kreszczonyje*” (szlachetni ludzie, tylko żal, że nie chrzczone). Kiedy im mówiono, że jesteśmy ochrzczeni, odpowiadano: „*Da wsio taki nie prawostawnyje*” (a zawsze jednak nie prawostawni). W październiku mrozy dochodziły do minus 30°R, w listopadzie do minus 40°R<sup>19</sup>. Powietrze spokojne, nie zdarzały się zamiecie, drobny śnieg padał nieustannie i pokrył ziemię na ponad 4 m. grubości. Mieszkańcy zakładali koszule ze skór reniferowych, lub krowich zwróconych sierścią na wierzch, zawiązywane pod brodą. Na nogi wkładali buty grube wołokowe z długimi cholewami zwane pijmy albo walonki. „Tak ubrany człowiek postacią swoją nie różni się od niedźwiedzia...”. W styczniu cieszył widok zorzy porannej.

Sensacja wzbudziła zapowiedź przyjazdu żony marszałka wołyńskiego, zanosilo się więc na powstanie drugiego w Wierchoturii polskiego domu rodzinnego. Pierwszy, ubogi stanowiła rodzina Jaworowskich z Jaworówki w powiecie białostockim, spalonej na rozkaz Maniukina<sup>20</sup>. W lutym zaczął się jarmark w Irbicie<sup>21</sup>, na który przyjechali kupcy z Rosji i kilku krajów europejskich oraz z Chin. Miasteczko zmieniło się nie do poznania, odbywały się nawet przedstawienia w teatrze i operze, zapelniała się restauracja, liczbę dorożek szacowano na 3-4 tysiące. „Po jarmarku, trwającym od 1 lutego do 10 marca – okna pozabijane deskami, ani jednego człowieka, ani psa obaczyć nie można. Mieszczanie, lud prosty, mieszkają na okrainach miasteczka”.

Ożywienie wśród Polaków wprowadzały wizyty, rzadko dochodzące tu wiadomości „ze świata”, nowe potrawy (przykładem pierogi rybne, kwas mali-

<sup>18</sup> „Pożegnanie ojczyzny”, autorstwa Michała Kleofasa Ogińskiego (1794 r.).

<sup>19</sup> W skali Réaumur, -40°R = -50°C.

<sup>20</sup> Kozacy 18 VIII 1863 r. spalili zaścianek Jaworówkę w pow. białostockim. Większość mieszkańców (drobna szlachta) wywieziono do Turkiestanu, gdzie nad rzeką Jenisej założyli osadę o nazwie Jaworówka. Tragedię tę upamiętnia obelisk.

<sup>21</sup> Irbit, miasto oddalone ok. 150 wiorst (160 km) od Wierchoturii, przy ujściu rzeki Irbit do Nicy. Prawa miejskie w 1775 r., jarmarki od 1643 r.



nowy). Marszałek Tukałło i Białokoz odwiedzili staruszkę Worszyłową, wdowę po kupcu, córkę Polaka zesłanego z całą rodziną po 1831 r. Żona przysłała biało-stoczaninowi skrzypce i nuty, ten chcąc ćwiczyć grę musiał z żalem wyprowadzić się od marszałka i zamieszkać samodzielnie. Okazało się, że marszałkowa za podróż wydała 1,5 tys. rubli. Oświadczyła, że będzie przyjmować w swym domu tylko szlacheckich, dobrze urodzonych i dobrze wychowanych, co stało w rażącej sprzeczności z wcześniej przyjętym regulaminem „familii” polskiej. „I tak pani marszałkowa przywiozła nam gorycz. Nastąpiło rozdwojenie, sprzeczka, a nawet kłótnia. Mało osób i bardzo rzadko bywało u jasnej pani, bo nie zawsze nawet swych wybrańców przyjmowała. Mąż jej musiał siedzieć w domu. Dobroć serca swego okazała używając panny Jaworowskie do najgrubszych robót, jako to: mycia podłóg, prania bielizny, maglowania, prasowania, i płacąc za dzień roboczy po dwadzieścia kopiejek. Nikomu nie zrobiła nic dobrego i o nikim wiedzieć nie chciała. Rosjanie takie stosunki zauważyli”<sup>22</sup>.

Przed Wielkanocą ks. Wieluński otrzymał z Warszawy „święcone”, w tym ciasta, konfitury, marynaty. Podobna paczką dotarła do Krupeckiego. W drugiej połowie kwietnia „wybuchła” wiosna, wkrótce można było kąpać się w rzece Turze, rozkwitły kwiaty, ale nocą zdarzały się jeszcze przymrozki. Wraz z wiosną A. Białokozowi złożyli wizytę mieszkańcy „z wyższego towarzystwa” i zaprosili do swoich domów. Podczas gościny o sędziego powiatowego Trusowa Polak ze zdziwieniem obserwował, jak gospodarz kazał księdzu prawosławnemu (popowi) stać w przedpokoju. Potem uzyskał wyjaśnienie: „A u nas, szczególnie wiejscy, są niżsi. O wiele mniej moralni od chłopów. Nie zasługują na poważanie. U nas żaden pop do towarzystwa nie jest przyjmowanym”.

W dalszej rozmowie Białokoz zwrócił uwagę, że jeszcze nie poznał małżonki sędziego. Tym razem wyjaśnienie brzmiało następująco: „U nas nie jest w zwyczaju, aby kobiety znajdowały się w towarzystwie obcych mężczyzn [...]. My uważamy kobietę wśród mężczyzn za nieprzyzwoitość”. Następnie gospodarz wysłuchał wyjaśnień Polaka, przeprosił go na moment, wyszedł, a po powrocie powiedział: „Panowie jesteście z innego, lepszego świata. Zapewne wiele wad widzicie u nas. Nie nasza wina, że jesteśmy na niskim stopniu cywilizacji. Proszę być otwartym i pouczać..”. Po pewnym czasie do pokoju weszli: żona i córka sędziego oraz brat. „Że my jesteśmy półdzicy – mówił dalej sędzia – my wszyscy to odczuwamy i chcemy uczyć się. Proszę więc pana najotwarciej nas pouczyć. Cóż więcej pan znajduje do poprawienia?”

Kolejna „lekcja” polegała na zachęcie do wspólnych wieczornych spacerów. Skutek był taki, że sędzina i żona sprawnika z rodzinami zaprosiły Białokoza na spacer o porze wieczorowej, co „niezawodnie jakiś monach uczony musiał zapisać w kronikach Wierchoturii, jako fakt dziwny, nigdy dotychczas nie praktykowany”. Nadal jednak wiele dziwiło Polaków, dokuczały m.in. muchy, przed którymi mieszkańcy zabezpieczali się rozkładając nawóz kurzy, nawet nosząc go ze sobą w garnkach.

„Kto uważnie przeczyta moje nie przesadzone, a raczej nie dosadzone opowiadanie o Wierchoturii i wszystkie okoliczności zsumuje, ten zgodzi się

---

<sup>22</sup> Autor oskarżając marszałkową o pyszałkowatość i złamanie reguł zaprowadzonych wcześniej wśród rodaków utajnił jej nazwisko. Wstawił tylko literę „N”, co nie pozwoliło na zidentyfikowanie nazwiska.

ze mną, że mieszkanie w tym miasteczku dostateczną jest karą za grzechy śmiertelne. Tu jest piekło, a nie czyściec, bo oprócz tęsknoty, jaką w czyścicu cierpią według słów teologów, wielkie męczarnie tu znosić potrzeba. Dziesięć miesięcy upłynęło od mojego przyjazdu do Wierchoturii. W tym czasie zebrało się Polaków przeszło trzydziestu. W życiu i pojęciach mieszkańców zaszły wielkie zmiany. Mieszczanie, z początku tak źle usposobieni, stali się naszymi przyjaciółmi. Szukali Polaka na lokatora swego i najchętniej służyli czym mogli. Często można było widzieć na ulicy grupkę ludzi spacerujących. Kobiety się nie chowały. Przechodząc ulicą można było usłyszeć dźwięki fortepianu, bo już było ich cztery. Moje uczennice pracowały nieźle. Zaczęliśmy grywać łatwe rzeczy ze skrzypcami. Jeden z naszych braci zaczął uczyć dzieci u Rosjanina. Jednym słowem, życie zaczęło się przebudzać.

Polonia sprawowała się wzorowo. Młodzi uczyli się zawzięcie, byli dawniej analfabeci pisywali listy do swych rodzin, szewc i stolarz mieli dosyć roboty, wszyscy odwiedzali się nawzajem. U Tukałły we czwartki zbierali się po dawnemu, aby podzielić się wiadomościami z kraju, czytali, różne kwestie rozbiegali, jednym słowem, kształcili się. Był to uniwersytet. Profesorów nie brakowało, brakowało tylko fakultetu medycznego. Byłoby jeszcze lepiej gdyby Jaśnie Wielmożna Pani marszałkowa nie przyjechała. Ta jasna pani zamiast przyświecać, była chmurą zaciemniającą nasz horyzont. Ona znalazła kilka osób dobrze urodzonych i w naszej harmonii zrobiła wcale niepożądany dysonans – jak Targowica na cymbałach Jankiela w poemacie „Pan Tadeusz” Mickiewicza”.

Tak upłynął maj, 12 czerwca 1864 r. sprawnik otrzymał telegram od gubernatora z rozkazem, aby natychmiast udał się do Kuszwy<sup>23</sup> i tam czekał dalszych rozkazów. Następnego dnia po Białokoza przyjechał furman sprawnika, nie pozwolił na dokończenie lekcji gry na fortepianie. Zawiózł białostoczanina do jego mieszkania, gdzie czekał sprawnik z dwoma żandarmami. Ten przeczytał rozkaz gubernatora: „Na mocy telegramu do naczelnika Kraju Zachodniego generała Murawjowa, aresztować nauczyciela muzyki A.S.B., zrobić ścisłą rewizję w mieszkaniu jego, opieczetować książki, listy i wszelkie papiery i takowe razem z nim, pod ścisłą strażą dwóch żandarmów posłanych przeze mnie, niezwłocznie odesłać do Wilna”. Sprawnik z ciężkim sercem wykonał rozkaz, opieczetował książki, papiery i żandarmi chcieli wsadzić Polaka do kbitki. Ten poprosił o możliwość pożegnania się przynajmniej z niektórymi mieszkańcami, sprawnik na własną odpowiedzialność zezwolił, użyczył podwoły.

„W ilu domach byłem nie pamiętam, tylko pamiętam, że wszędzie mnie żegnano z głośnym łkaniem, żegnano jako idącego na śmierć niezasłużoną. Stare kobiety, mężatki, panny, dzieci i mężczyźni całowali tak silnie, że mi usta popuchły jak kiełbasy”. Żona sprawnika przygotowała paczkę na drogę, mąż chciał dać pieniądze, na co Białokoz się nie zgodził. „Według tamecznego zwyczaju konie spod ganku powinny pójść galopem, a tu ani rusz! Konie iść nie chcą. Pomimo że już dwunastą godzinę wybiło, ulica gęsto była zawalona

---

<sup>23</sup> Kuszwa, miasto w guberni permskiej (obecnie obwód swierdłowski), założone w poł. XVIII w., obecnie ponad 33 tys. mieszkańców. Położona na dwunastym szlaku syberyjskim

ludem, który krzyczał: „*Moszenniki wy!*”<sup>24</sup> Aż zadrżałem, sądząc, że to mnie i w ogóle Polaków tak czeszczą. Dalej słyszę: „*Warwary! Za szto wy czestnych ludiej muczajecie! Was to czynownikow w katorgu postat!*”<sup>25</sup>. Jeden żandarm zlął z telegi i przed końmi pałaszem robił drogę, aby się wydobyć. Przez całe miasteczko jechaliśmy noga za nogą, czasem przystawali, a tłum warczał jak groźna chmura brzezienna piorunami, czasem wykrzykiwał. Lękałem się wielkiej awantury, mogącej mnie i sprawnikowi zaszkodzić. Wstrzymałem się od pożegnania ich przez zdjęcie czapki, bo mogliby rzucić się na żandarmów. O godzinie pierwszej po północy wyjechaliśmy za miasto”.

Autor opisał drogę do Wilna z próbą prowokacji w Petersburgu, a następnie śledztwo w Grodnie, ogłoszenie wyroku. 4 grudnia 1864 r. ponownie ruszył na wschód, tym razem do Tobolska. W Petersburgu zesłańców polskich powitała księżna generałowa Etlingier (śniadanie, bielizna na drogę), a w Moskwie obiad pożegnalny wystawili im miejscowi kupcy. Niestety, pamiętnik Adolfa Białokoza urywa się na scenie przyjazdu do Kazania.

---

<sup>24</sup> Wy zbóje!

<sup>25</sup> Barbarzyńcy! Za co wy uczciwych ludzi męczycie! Was, urzędników na katorgę wysłać.

---

---

ANDRZEJ NIEDZIELA

## OD NIEMIECKIEJ LOTNEJ DYWIZJI DO V DYWIZJI STRZELCÓW POLSKICH NA SYBERII

Andrzej Niedziela pochodził z rodziny chłopskiej w powiecie śremskim, w Wielkim Księstwie Poznańskim. Urodził się w 1883 roku, skończył szkołę wiejską, a potem pomagał w pracy na roli. W 1904 roku został powołany do zasadniczej służby wojskowej w 48-mym Pułku, a po roku został odkomenderowany do 2-go Pułku Dragoniego do wyćwiczenia jazdy konnej i przydzielony do Majora Twierdzy Küstrin [Kostrzyn nad Odrą]. Po zakończeniu służby wojskowej wrócił w rodzinne strony i pracował u leśniczego w Orleńcu w powiecie dolskim jako kuczer.

W 1907 roku poślubił Marię Markowską i wyjechał z żoną w poszukiwaniu pracy w głąb Niemiec do Dortmundu w Westfalii, a później do Wanne gdzie zatrudnił się jako górnik. Przystąpił do różnych organizacji polskich by pracować społecznie, a również kształcić się i wyrabiać w sprawach narodowych. W krótkim czasie został sekretarzem Towarzystwa Oświata, które zostało zmienione na Towarzystwo Wyborcze, jako polityczną instytucję. Tam znalazł pole do pracy i zdobycia doświadczenia politycznego, co miało ogromny wpływ gdyż został wybrany Prezesem Towarzystwa Wyborczego w Wanne. Kiedy wybuchła wojna światowa został zmobilizowany do wojska niemieckiego. Wszystkie sprawy Towarzystwa Wyborczego przekazał wiceprezesowi, panu Rogali i w ciągu 24 godzin musiał opuścić żonę z trójką małych dzieci by iść na nieprzewidziane długą, bo ponad sześćioletnią tułaczkę wojenną na różnych frontach.

Miejscem koncentracji było Gelsenkirchen w Westfalii, skąd przewieziono grupę 1500 wojaków tzn. starych żołnierzy, ochotników i rekrutów do Szczecina, do koszar II-go Pułku Grenadierów. Andrzej Niedziela został przydzielony do 11-tej kompanii 3-go Batalionu tzw. Fizylierów – byli to przeważnie Polacy w wieku 26-31 lat z Wanne, Bochum i Gelsenkirchen. Po miesiącu straszliwej musztry i gonitwy w koszarach przez pruskich oficerów i podoficerów, został wysłany na front francuski, co opisał takimi słowami: „Owe 1500 żołnierzy uzupełniło po części 3-Batalion II-go Pułku, a reszta batalion drugi. 3-Batalion po powrocie z Marny zatrzymał swą pozycję pod Soissons. Z owych aktywnych żołnierzy, którzy wyruszyli na wojnę w składzie 11-tej kompanii, czyli około trzystu ludzi, po wcieleniu mnie do niej pozostało sto dwadzieścia osób. Po uzupełnieniu 11-ta kompania liczyła dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Przerzucanie trwało ze trzy do czterech tygodni; ze Soissons do Combrai, tam parę dni i z Combrai do Wijtszelde. Tam nastąpił pierwszy bój. 4-go listopada 1914 roku w niespełna 24 godziny w bitwie pod Wijtszelde rozgromione zostały cztery pułki wojska niemieckiego na tak małym odcinku; to był pierwszy chrzest frontu francuskiego.” [...] „Wyparto nas ogniem artyleryjskim z zajmowanego miejsca na dawną pozycję, a przy tym straciliśmy czterdziestu ludzi, pozostało osiemdziesięciu żołnierzy bez podoficerów; kompania była niezdolna do walki.”

Andrzej Niedziela powrócił z wojny w styczniu 1921 roku. Sprowadził żonę z dziećmi i zamieszkali w Poznaniu. W odzyskanej ojczyźnie udzielał się społecznie

i politycznie. Pracował w Elektrowni Miejskiej, aż do emerytury. Swe przeżycia z walk na frontach wielkiej wojny opisał w grubym brulionie, który przez długie lata był ukrywany w rodzinie. Był dwukrotnie w niewoli i w obozach jenieckich w Rosji i na Syberii. Droga powrotna wiodła przez Syberię, Daleki Wschód, Mandżurię i statkami przez wody chińskie, Hong-Kong, Cejlon, Kanał Sueski do Marsylii, a stamtąd pociągiem do Polski.

Przedstawiony poniżej fragment jest drugą częścią pozostawionych wspomnień o swym tułaczym losie. Obejmuje zdarzenia poprzedzające, a zamieszczone wcześniej w numerze 50/2012 ZESŁANCA i zatytułowane „Od Klukwiennej do Harbina”.

*Elżbieta Gruchot*

\*\*\*

### **W lotnej dywizji do Dyneburga**

Od Soissons przeszliśmy miejscowości Lille, Cambray, Warmington, Bawarlington, Wijtszelde i inne, których nazw nie pamiętam.

Rozgromiono II Pułk, na czele którego stał hrabia Zurancon wraz z Mucusem. 3-ci batalion został wycofany z boju jako osłabiony i niezdolny.

Zgromadzono wojska w Lille około 25-go listopada 1914 roku; tu rozkazano zakwaterowanie na jakiejś ulicy przy kościele, w którym Krzyżacy wyprawiali orgie, rozrzucając szaty i przybory kościelne, ubierali się w nie i szdzili jak na urągowisko katolikom, grabiąc wszystko co pod rękę podpadło i zabierając dla siebie. Przez dwa dni uzupełniono kompanię do stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Dnia 28-go listopada 1914 roku odjeżdżaliśmy pociągiem z Lille, jako rezerwowa Dywizja na teren wschodni przez Luksemburg, Metz, Wrocław, Grabów i Podgrabów po granice Królestwa Polskiego.

\*\*\*

Po wyładowaniu na pograniczu, oddychaliśmy dwa dni w Podgrabowie, a stąd marszem na Pabianice. Natknęliśmy się w lasach na silny oddział Kozaków, których wypychaliśmy stale i tak natrafiliśmy jakieś huby rozciągle, w których widocznie było dużo kolonistów niemieckich – można było widzieć zdradę owych obywateli Vaterlandu (ojczyzny) na strażach wschodu. Wszystkiego dowiedział się sztab, gdzie są silne wojska, gdzie artyleria itd., a w dodatku litość jeszcze, pełno łez, że taka krzywda im się dzieje, że ich Kozacy przeganiali nahajkami itd., że nawet Krzyżacy rozplakali się na wywody swych landsmanów (krajan). Idąc dalej natknęliśmy się na wojska okopowe; zapędzeni w ciągłym gonieniu Kozaków, zapomnieli wodzowie o okopach silnie obsadzonych, jak te pod Pabianicami.

4-go grudnia 1914, dostaliśmy od nich w skórę, jak we Francji 4-go listopada, lecz tutaj o całe niebo spokojniej, bo był spokój w duszy, że jeżeli legniesz to na Polskiej Ziemi. Ponieważ był to początek zimy, to ziemia była zmarznięta, nie można było zakopać się i obrzucano nas gradem kul karabinowych i maszynowych, o wzięciu szturmem okopów nie było mowy, więc trzeba było przeleżeć przez cały dzień w bruździe ornej ziemi, a kto tylko głową ruszył, to już do niego mnóstwo kul leciało. Kozacy także i szrapnelami obsiewali gęsto nasz teren. To tu straciliśmy piętnastu zabitych i wielu rannych z Mucusem. Teraz ucieszyliśmy się, że Mucius, dowódca 3-go batalionu, już nigdy do nas nie wróci.

Kompanię objął Lejtnant von Osten; choć młody oficer, zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale rozsądny był i dobry, to też radość zapanowała w kompanii, że Muciusa diabli wzięli. Po całodziennym leżeniu stężałe członki i ciało

rozgrzano wieczorem gorącą kawą i gulaszem, bo p. Łączny Franciszek umiał dość dobrze doprawić.

Po rozgromieniu Niemców 4-go listopada 1914 r. pod Wijtszelde, pozostało w 11-tej kompanii ośmiu żołnierzy aktywnych, którzy wracali znad Marny, a z pierwszego zasilenia pod Soissons, czterech nas Polaków: J. Nowak, Oleszak, Łączny i ja. Najbliższym mi przyjacielem był kolega Nowak, zawsześ my razem szli i byli w jednej grupie, lecz charakterem do mnie podobnego nie miałem obok siebie nikogo, wszyscy patrzeli na żelazny krzyż, ja zaś abym miał mój zdrowy i unikał zamordowania choćby jednego człowieka, którego nie znałem, a i nie widziałem w życiu; byłem lojalny we wszystkich rozkazach i wszystko wykonywałem, co mi rozkazywano, ale postanowiłem nikogo nie zastrzelić i nikomu życia nie odebrać, choćby może w oddali przez zbłąkaną kulę z mego karabinu; wiele kul wystrzeliłem z mego karabinu opowiem przy końcu mego opisu.

Dnia 5-go grudnia 1914 r. z rana już w okopach przed nami nie było żadnego żołnierza rosyjskiego i teraz szliśmy jak na polowanie na grubego zwierza. Taktyka żołnierzy rosyjskich była taka, że jeżeli się ich nie atakowało, to okazywali ogromną siłę, a z okopów strzelali jakby żołnierz stał przy żołnierzu, lecz kiedy zbędne były im pozycje, to nocą je opuszczali.

Od 5.12.1914 r. szliśmy, a kierunek: Zduńska Wola i wszystkie „Wole” jak się tam nazywały, aż doszliśmy do miasteczka Warta i jeszcze za nim kilka kilometrów, następnie z powrotem do miejscowości Błaski, zaś małe potyczki, które staczaliśmy nie sprawiły nam już żadnych strat. Załadowani w Błaskach do pociągu, jechaliśmy w stronę Kalisza, przez zburzony Kalisz na Ostrów Wielkopolski. Tam w Ostrowie Wlkp. w Czerwonym Krzyżu zetknęliśmy się z dobrą grochówką tak, że odczuło się, że jesteśmy gdzieś blisko rodzinnych stron, a i nasze matrony na dworcach jakoś umiały podnieść na duchu. Ze smutkiem odjeżdżaliśmy z Ostrowa Wlkp. licznie żegnani, bo wielu było z tych okolic.

Jako lotna dywizja nie mieliśmy żadnego odcinka, lecz tam gdzie zachodziła pilna potrzeba, byliśmy wcielani. Jechaliśmy, kierunek Września, a w duszy sobie nuciłem: „Kto zna Miłosława brzegi, gdzieś na stacji pod Mławą, pozostał nasz kary koń, ...”. Myśmy szli w kierunku na Skierniewice do boju.

Po kilkudniowym marszu z potyczkami, nie mogąc nic wskórać z silną rosyjską armią, zatrzymano okopy i ostatecznie je umocniono, my zaś po odprawie poza front otrzymaliśmy uzupełnienie, bo i straty były dość duże. Nasze stałe przechodzenie granicy pruskiej i Królestwa Polskiego, robiło na nas piorunujące wrażenie, tam ni sosny, ni drogi porządnej, ni żadnego murowanego domu, tu o kilkanaście kilometrów zupełnie inny kraj i te „chachary” spod Berlina za każdym razem nazywały „Panieslandem”. Wiele cierpkich uwag musiało się przemilczeć, bo tak nakazywała wola ucziwego obywatela Polaka. Żydów chałaciarzy miano za „Szpekije Polaken” albo „Panies”.

Z ostatniego uzupełnienia dostaliśmy bardzo dużo inteligencji szczecińskiej, a osobliwie młodzieży, której nasz pułkownik hrabia Zuranzon, znany i szanowany w Szczecinie, był jakby ojcem swych dzieci. Między tą młodzieżą ochotniczą był jeden stary żołnierz o nazwisku Lindeman, był to stary lis i znawca stosunków polskich i niemieckich, to też wiele razy dużo cierpkich słów od niego musieli znosić Niemiaszki o swym Kulturtregerze, Bismarcku i innych „Hakatach”. Jeżeli ktoś wyrządziłby krzywdę innej osobie, to on ją

wynagradzał i przepraszał, uczciwe Niemczysko, ale był zachłanny, bo chciał po Psków i Kijów zabrać nasze ziemie dla Princa i Wilhelma.

Jeszcze kilka dni obchodziliśmy front, aż tu naraz komenda: „ku kolei”, pospiesznie załadowano nas na kierunek Johannisburg [Pisz], wyładowanie nastąpiło kilka kilometrów od Pillkallen [Dobrowolsk], wioska Gross Wersmeninken; to do niej doszli Moskale i tam ich pochód został wstrzymany przez kilka tygodni; pozostawili tylko patrole i budowę okopów prowizorycznych. Tamtędy prowadził trakt na Pillkallen, to też „odwiedzali” nas często Kozacy i stale niepokoiли.

I tak razu pewnego musiałem iść na patrolkę wraz z dwunastu żołnierzami i pod wieczór, nie trzeba było długo czekać na Kozaków, bo zjawił się ich dość duży zastęp. Jechali sobie szosą nic nie przeczuwając, aż tu nagle z boku w lesie, kiedy już nas mijali, padła salwa z karabinów, konie stanęły dęba, zawróciły w miejscu i pogalopowały z powrotem, ale jeden Kozak spadł z konia i wzięliśmy go do niewoli choć jeden Bauman chciał go zastrzelić. Był to ładny młodzieniec, żal mi go było i tak zabiegałem, aby mu życie darować, że ostatecznie Bauman zgodził się dać mi spokój za kilkakrotne uderzenie. Wziąłem jeńca przed siebie i naprzód iść kazałem – doprowadziłem szczęśliwie do sztabu Muciusa i tam oddałem wiedząc, że już nic się jemu nie stanie, bo ordynansem był Polak, zuch Gościniak, którego prosiłem aby mu krzywdy nie zrobiono. Po przesłuchaniu przez sztab został odesłany na tyły armii. Wdzięczność okazał, kiedy odchodził: uklonił się nisko, a z oczu widać było jego podziękowanie; tak już wtenczas sobie pomyślałem, że jeżeli cię taki los spotka, byś i ty zasnął takiej opieki, co też później się stało.

Wiele czasu minęło, nie pamiętam, lecz zdaje się około sześciu tygodni. Wyruszyliśmy dalej do boju na Johannisburg; tam też pozostawili Moskale nowe armaty na rynku w Johannisburgu, a o ilości zabitych i do niewoli wziętych, świadczyły całe masy poległych i prowadzonych jeńców; nastąpił forsowny marsz przez cztery dni i noce w pogoni tak, że ani mrozy nocy, ani śniegi nie wpływały na organizm, a takie było przemęczenie, że kiedy stanęło się na dwie minuty, to wszyscy się pokładali i już każdy zasypiał; strat nie mieliśmy, lecz z powodu forsownych marszów i znużenia, wielu pozostało w tyle, poza dywizją.

Po wypędzeniu Moskali z Prus – odpoczynek dwa dni, a następnie kierunek – Ostrołęka. Oblężenie tej twierdzy było trudne przez moczary ogromne i lasy, wymagało dość długiego czasu; zabiegano ze wszystkich stron, lecz nic nie można było zrobić, okopy rozległe od Turośli i z prawej strony dobrze obsadzone i ubezpieczone zasiekami. U Niemców postrach jaki panował przed Rosjanami, był ogromny, lecz straty wyrządzone nie były takie olbrzymie w porównaniu do zniszczenia terenów przez Niemców. [...] Jeżeli natrafiato się na pułki syberyjskie, to nie łatwo było dać im radę, zaś kawaleria sprytna swymi podjazdami, wycinała całe kompanie niemieckie.

Po powrocie na odcinki Ostrołęka (?), po kilkudniowych potyczkach, stanęliśmy do boju na Osowiec. A tu liczne bagna, które były przeszkodą trudną do przejścia, bo Rosjanie wybierali dogodny teren, były istnym szaleństwem i wariactwem dla Niemców. Jak bardzo Niemcy starali się, aby przejść przez bagna, niech świadczy fakt, jakich sposobów próbowano. Kazano żołnierzom zrobić z desek długie ski, na których mieli przejść przez bagna na drugi brzeg.

Próbowano. Kiedy szeregi doszły już do połowy, gdzie bagno było już nie do przebycia, z rosyjskich okopów rozległy się głosy: „czyście Germany zwariowali?” I nagle rozpoczęli ogień maszynowy, ni gdzieś się schronić, ani przejść. Rozpoczął się istny harmider i szamotanie się w tym błocie, jedni ruszyli z powrotem, cofnęli się, inni polegli, a pozostali utonęli w bagnie. Taki był koniec zamiaru pokonania bagien, że stracili całe masy ludzi, których wprost wpędzono w objęcia śmierci. Próbowano przez obejście, też nie dawało to rezultatu. Trzeba było cofnąć się i szukać miejsca gdzie dałoby się zaryć w ziemi. Z tym zamiarem zajęto teren za wioską Turośl, lecz i tam nie była pozycja dogodna, bo lasy były pełne Rosjan, a moczary nie dawały się pokonać. Uradzili, że koniecznie musimy wycisnąć Rosjan z pierwszych okopów i w nich się utwardzić. Ze 2 km od Turośli były pierwsze okopy rosyjskie, nuże to za wszelką cenę trzeba je zdobyć.

Było to koło połowy marca 1915 roku. Miałem złe przeczucie. Dostaliśmy uzupełnienie kompanii. W 11-tej kompanii, która posiadała 160 ludzi, był też jeden Polak z Zachodnich Prus, nazwisko Kozłowski. Był to spokojny i poważny mężczyzna, to też polubiłem go jak kolegę Nowaka; zawołałem ich na ustronie i przestrzegłem przed wariactwem, które miało być podjęte; umówiliśmy się, w jaki sposób by się uchronić; był to lasek, gęstwina, to też było łatwo, a w dodatku godzina dziesiąta wieczór do ataku. Doszliśmy na 50-60 kroków od okopów rosyjskich, teraz rozpoczął się grzechot karabinów maszynowych i dział; ci którzy doszli blisko, zawiśli w zasiekach, a reszta rozbitych legła na równinie, ziemia zmarznięta nie pozwoliła się zakopać, to też i wielkie straty powstały gdzie legł kolega Nowak i wielu innych, a w tym lejtnant von Osten. Ja z Kozłowskim pozostałem w tyle o 100 kroków i przespałem noc w dole, w którym był już umarły, a tylko nogi sterczały z ziemi; nie wiedząc o tym, nałamałem gałązek i położyłem się, dopiero rano łapię za buty, które sterczały z pod ziemi i dreszcz przeszedł przeze mnie, pomodliłem się i cofnąłem z Kozłowskim do Turośli. Tam na strychu domu przespaliśmy do godziny jedenastej rano. Reszta rozproszona na pobojowisku. Teraz zebraliśmy się, aby szukać resztek rozbitków. Piorunujące wrażenie zrobiła na mnie śmierć kolegi Nowaka, gdyż jeszcze żył, wołał o pomoc i poruszał się, lecz dostęp do niego był niemożliwy. Chcąc mu dopomóc robiłem podkop aby ratować, lecz długo to trwało, a strzał był w głowę tak, że po godzinie, może dwóch przestał dawać znaki życia. Pod wieczór próbowaliśmy dojść i pościągać zabitych, lecz reflektory oświetlały teren, a na wszelkie stuknięcia grały maszynówki. Rosjanie jeszcze silniej ostrzeliwali gdy zorientowali się, że pomiędzy okopami są zabici i musieliśmy zaniechać prób dojścia; pozabijani leżeli tydzień przed okopami, było ich wielu, między nimi Nowak. Doszliśmy do nich po czterech dniach. Wszystkich żołnierzy pochowaliśmy razem na cmentarzu obok kościoła w Turośli.

Martwy oficer von Osten, blisko okopów rosyjskich leżał cały tydzień. Za ściągnięcie jego ciała obiecali nagrodę w postaci miesiąca urlopu. Dlatego szukano sposobu, aby go wydostać; zrobiono dość daleki podkop, następnie zbito kilka żerdzi z hakiem i takim sposobem przyciągnięto zwłoki do naszych okopów. Rosjanie wszystko zdarli z niego, zabrali wszystkie papiery i pozostawili; tak to Bauman jechał w nagrodę na urlop wioząc ciało jedyńaka do Szczecina.

Dodać muszę, że w przeddzień boju śniłem, że obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który miałem w domu, ukazał mi się nad okopami rosyjskimi



i jakby niesiony szedł w tył za nasze okopy i tam znikł. To mnie jeszcze więcej utwierdziło w przekonaniu, abym wycofał się z boju.

Przychodził okres Wielkiej Nocy. Odcinek był dość spokojny, lecz jak zawsze byliśmy w pogotowiu. W poście można też było iść do kościoła w Turośli, tam też ostatni raz byłem u spowiedzi i komunii świętej. Dopiero w pierwsze święto Wielkiej Nocy, rano około godziny jedenastej, pokazały się białe chorągiewki z okopów rosyjskich. Czekamy ze zdumieniem co będzie, a tu Polacy z okopów rosyjskich przychodzą i mówią, że jest Wielkanoc i chcą iść do kościoła. Oczywiście przepuszczono ich, około dwudziestu żołnierzy, a skończyło się tym, że chorągiewki znikły i nastąpiło ostre pogotowie, żołnierzy zaś wzięto jako jeńców i kościoła nie widzieli.

Tak to przeszedł długi czas, przesuвано nas na lewo i na lewo, aż ostatnio na dwa tygodnie przed upadkiem Libawy załadowano w Kolnie do pociągów i przetransportowano aż do Tylży, a stamtąd na Libawę, lecz będąc jeszcze w podróży skierowano nas na Bańsk, i w pogoni za Rosjanami szliśmy aż do samego Bańska. Był tam śliczny dwór lecz opustoszały, bo wszyscy uciekli; zapędzeni w pochodzie szliśmy kilka tygodni nie natrafiając na żadne przeszkody; kawaleria tylko miała utarczki lecz bez wielkiego oporu i tak szliśmy forsownym marszem cztery dni, aż doszliśmy do Kurszan i za Szawle.

Minęliśmy Szawle i wzięto kierunek na Rygę, idziemy jeszcze kilka dni, aż tu doszliśmy za daleko, coś około 80 km w bok od Rygi i jak szybko doszliśmy tak prędko trzeba było cofać się przez kilka dni, aż za Kurszany z powrotem. Następnie rozmieszczono się pod Kurszanami – przez kilka dni było niepewnie; przy odwróceniu bardzo wielu nie wróciło, pozostali, nie mogli podołać w marszu, bo też było mówione, że kto przyjdzie, to przyjdzie, a kto zostanie, to zostanie.

Okopów z zasiekami pod Kurszanami nie było i nie można było nic umocnić, bo Armia Rosyjska siedziała nam teraz na piętach. Po kilku dniach zaatakowani i wyparci musieliśmy się cofnąć o jeszcze dwa dni forsownego marszu. Muszę zaznaczyć, że na skutek padnięcia Libawy, skierowano nas na inny teren operacyjny. Po dwóch dniach tego forsownego marszu my byliśmy zmęczeni, ale także Rosjanie i choć doszli nas, to zmęczeni marszem zasnęli w okopach, natomiast Mucius, który był dowódcą batalionu, o godzinie 2-giej rano dał rozkaz do ataku, ponieważ z wywiadu dowiedział się, że o godzinie 4-tej rano my zostaniemy zaatakowani. Korzystając z zaskoczenia rozbijaliśmy żołnierzy rosyjskich w koszulach - tak się udał manewr Muciusowi. Wiele zdobyto, a prawie nic nie stracono. Potem szliśmy aż do Kurszan na stare okopy.

Bardzo wielu musiało tam mieszkać Polaków i katolików, świadczyły o tym przydrożne figury, krzyże i kościoły. Wysoki kościół w Kurszanach z bardzo wysoką wieżą, był widocznie wieżą obserwacyjną terenu dla Niemców, bo zestrzeliła tę wieżę artyleria rosyjska i zniszczyła doszczętnie Przybytek Pański; wtedy pierwszy raz obserwowałem palącą się wysoką wieżę i zdawało mi się, że szum ptaków w powietrzu się roznosi, od powiewu wiatru; po przepaleniu się głównego wiązania wieża runęła grzebiąc krzyż głęboko w ziemi.

Po kilkudniowym odpoczynku, ruszyliśmy naprzód – kierunek Szawle. Tam, to kosztowało dużo roboty, aby je zdobyć i wiele strat w żołnierzach ponieśliśmy. Dostaliśmy też nowe zasilenie, a były to miesiące letnie – już żniwa blisko. Szawle było dobrze obwarowane przez Rosjan, niełatwe do zdobycia, to

też w pierwszym ataku zostaliśmy odparci i ponieśliśmy duże straty. Jednak po lepszym przygotowaniu, następnym atakiem wojsko zdobyło Szawle, lecz ja straciłem kolegów; nie miałem już nikogo obok siebie, sam operowałem i chroniłem się przed bojami, to też pod Szawłami zostałem w zbożu do nocy, a bój toczył się od rana do nocy; pod wieczór znów nastąpił atak, lecz musiano się jeszcze wstrzymać i dopiero następnego dnia po zbombardowaniu rosyjskich okopów, wojska rosyjskie opuściły je, a my wkroczyliśmy do Szawle zabierając małe resztki żołnierzy, które Rosjanie zwyczajni byli zostawiać na pastwę losu. Niemcy wzięli się do rabunku wielkiej garbarni skór, wrywano kotły, instalacje i wszystko co miało wartość, aby pociągami wysyłać do Niemiec.

Przed bojem pod Szawłami, odbyło się polowe Nabożeństwo. Po mszy świętej – kazanie do zebranego wojska, aby mu dodać otuchy. Oczywiście w większości byli tam żołnierze katoliccy, ale byli też „lutrzy” tzn. protestanci, a każdy znękany tą straszną rozterką, wielu miesiącami wojny. Rozpoczyna się kazanie i oto ksiądz, katolik, Niemiec, przemawia do żołnierzy dodając im ducha: że oto tyle przeszli, że nadal mają być waleczni, bo to dla wielkości i sławy Niemiec temu pokoleniu tak wypadło cierpieć i umierać daleko od swych granic i w cudzej ziemi, bo gdyby we własnej ojczyźnie to dawno by nas wrogowie zgnetli i odzywa się oto w te słowa: „ein Deutscher Gott fur Deutschen Volk”. Skoro Niemcy miały i mają Boga niemieckiego, to mają specjalnego Boga i tak mówił dalej, że w całej dywizji rozległo się oburzenie. Struchlałem na takie wyrażenie księdza katolickiego, Niemca i bardzo wielu podoficerów obraziło się i odchodziło z takiego nabożeństwa. Dopytywałem o nazwisko księdza lecz nie mogłem się dowiedzieć.

Nastąpił znowu pochód naprzód. Dowóz był kiepski, bo koleje zniszczone. Wokół zboża przez Rosjan zwalcowane, a wioski po części spalone, zaś na prawo ogromne boje toczyła niemiłkająca artyleria. Zdawało mi się, że byliśmy lewym skrzydłem okrążającym Armię Rosyjską. Pochód trwał nadal i już się zdawało, że byliśmy blisko jakiejś fortecy – był to Dyneburg (Dźwińsk). Zatrzymano pochód, walki coraz bardziej natarczywe, głód coraz większy, a dowóz żywności coraz bardziej ustawał. Nawet straciliśmy hrabiego Zurancoe, a Mucius sam się zniechęcił, mówił: „der Krieg ist eine szejse er nimt über ...” Niemcom zaczęły „spadać nosy”, pozostało tylko czterech od początku tej wojny, reszta spała snem sprawiedliwego, sprzykrzyło się już wojowanie i nastąpił okres apatii. Zabierano osobom cywilnym wszystko co mogło się przydać, robiono co było można, aby się jeszcze trzymać gdyż nastawał już czas chłódów, a tu naprzód ani rusz. Na naszej drodze Dyneburg, z sąsiednich pułków wojsko zaczęło uciekać; z XVIII-tego Pułku poutykali karabiny w ziemię i całe masy żołnierzy przeszły do niewoli. Pod Dźwińskiem pozostawione karteczki świadczyły, że: „jeżeli nam nie chcecie dać jeść, to walczcie sami” – oto były objawy waleczności Niemców.

Jeszcze przez kilka następnych miesięcy musiałem przechodzić takie męki. 5-go listopada 1915 roku ponownie walka zawrzała i znowu poczęstowano nas obficie granatami i szrapnelami. Zamiast jakiejś wioski same rozbite domy i sterczące tylko fundamenty. Po spożyciu czarnego chleba wiejskiego, kiedy to muzyka artylerii zagrała, obserwując uderzenia granatów, usiadłem sobie w okopowym „szezlongu”, aż tu jakby wiadro spadło i wybuchając zasypało okop na długości 15 m; pomyślałem sobie: cóż ja ci winien, że i mnie nie dasz

spokoju. Leci jedno po drugim, ale to nic, byle nie w mój szezlong, tak sobie obserwuję te wybuchy wyrzucane na 40-ci metrów w górę. Tak ci to trwa od godziny drugiej po południu i pomyślałem, że z tak dobrego miejsca już mnie nic nie spędzi. Chłopcy latali jak szaleni w okopie, ja zaś spokojny nie dawałem wyprowadzić się z równowagi i oto w jednej chwili takie wiadro spadło o trzydzieści kroków ode mnie na fundament budynku, wyrwało lej, a cegły rozrzucone w powietrzu pofrunęły. I tak się dalej przyglądam, aż tu trzy ćwierć cegły dostałbym na pewno. Gdybym się o krok nie cofnął, gdybym nie czuł, byłbym pochowany pod Dźwińskiem, zabity cegłą nie kulą. Tak to wypędziła mnie z mego szezlongu nie kula, a cegła; straszne to w biały dzień być w takim niebezpieczeństwie.

Zacięte walki, które toczyły się o Dźwińsk kończyły się klęską i wielkimi ofiarami, jedni uciekali do niewoli, inni po kontratakach. Forteca się trzymała. Przesunięto nas na lewe skrzydło dla okrążenia, lecz i to było niemożliwe. Bardzo daleka przestrzeń bagnista, nie do przebycia dla artylerii, uniemożliwiła operację. Z tego powodu ograniczono się do podjazdów i niepokojenia się wzajemnego; raz Niemcy wybierali się do podjazdu, to znów zostali cofnięci, bo nachodziły kozackie podchody i taka rozległa przestrzeń niepokoiła jednych i drugich. Silnie wysunięte posterunki często zabierane były przez Kozaków do niewoli. Wiedzano o tym lecz nie było można temu poradzić, gdyż teren wyżej zajmowały małe osady dalekie jedna od drugiej i każdy wysunięty posterunek padał ofiarą. Zniechęcone wojska głodem i chłodem, stały się niedbałe, dlatego nikt sobie nie robił z tego powodu wyrzutu. A niejeden z tym łążęgowaniem i z tym robactwem, które każdego męczyło, chciałby skończyć.

Dostaliśmy nowe ubranie i na zimę zaopatrzone nas w ciepłą bieliznę. Ubrałem się, no toż prawie już pod koniec dla mnie wojna nadchodziła, bo miałem za sobą trzydzieści trzy potyczki i cztery walne bitwy - tak brzmiał rozkaz wydany w Dywizji w listopadzie 1915 roku. Gdzie toczyły się walne bitwy, nie wiem, gdyż zdać z tego sprawę jest trudno, bo do walki szło się nie wiedząc co to za walka, czy walna czy potyczka, lecz jak ja zdaję sobie sprawę z walnych bitew to mogły być we Francji Wijtszelde, na terenie wschodnim węzeł kolejowy Skierniewice, wypędzenie Rennenkampfa z Prus Wschodnich i Szawle. Jednakowoż niektóre potyczki były stokroć gorsze od walnych bitew, jak je nazywano, a było ich wiele bo aż trzydzieści trzy.

\*\*\*

Po należywym ubraniu i zaopatrzone w ciepłą bieliznę, 4-tego listopada 1915 roku dostaję się na forpoczcie, czyli przednią straż. Były to dni dżdżyste i mokre. Staliśmy w lesie, wysunięci około dwa i pół kilometra, całą dobę bez ciepłej strawy. Następnego dnia rano, przyniesiono nieco ciepłej kawy z kuchni, której kucharzem był kolega Franciszek Łączny, a zaś Oleszak, był ordynansem u jednego z oficerów. Było nas tylko trzech Polaków w 11-tej kompanii, reszta to Niemcy, albo zniemczeni Polacy spod Szczecina, to też na owej straży sam jeden byłem Polakiem. Noc przeszła spokojnie, zaś dniem nic nie zauważono, aż około godziny 12-tej w południe, a jest zimno i pada deszcz, my zmarznięci chcieliśmy się zagrzać. Zrobiono maleńki płomycek i grzano kawę z manierek i tak skuleni w prowizorycznym okopie, każdy trzyma swój garnuszek „nektaru” w dłoniach i rozmawiamy, zaś na czatach, stało dwóch wysuniętych o około

50 kroków naprzód; z prawej strony murawa, mały strumyk z przodu i z lewej strony las. Nagle, obeznani z terenem Kozacy okrążyli nas zagrażając drogę odwrotu; Niemcy wysunięci na czatach biegną z powrotem i wołają, że napad Kozaków; przeskakują nasz okop, a Niemcy z okopu też uciekają; ja trzymając karabin, spojrzałem, a tu około dwudziestu Kozaków stoi przy mnie, zaś z boku strzelają do uciekających. Co tu robić? Utykam karabin bagnetem w ziemię i wychodzę z okopu do góry, a tu Kozak z żółtymi lampasami, z szablą w ręku wymierzona ku mnie jakby miał ciąć, lecz ja spokojny i zrównoważony patrzę w niego koniecznie, a wyglądem miałem staruszkę z długą brodą, gdyż nie goliłem jej już długi czas. Naraz z boku przychodzi inny żołnierz i pyta: „Ty kto? – Polak?”, odpowiadam. „A masz co do zabrania, to bierz i hola.”

Skoczyłem po mój tornister, założyłem na plecy i jazda, zaś mój oswojony dziciel mnie nie opuszcza aż do samego sztabu. Był to Polak z Wilanowa służący w kawalerii rosyjskiej. Uszliśmy już z 1000 kroków i teraz dopiero zatrzymujemy się, tu schodzą się wszyscy, a było ich około stu. Twierdzili, że podchodzili dotąd dwa dni, że resztę niemieckich żołnierzy wystrzelali. Karabiny ich i tornistry mieli ze sobą, świadczyło to, że jest prawdą. Jednakowoż jak później dowiedziałem się z listu od rodziny, jeden czy dwóch przedostało się z powrotem i mnie oskarżono o ucieczkę, a mojej rodzinie robiono trudności w otrzymywaniu należnego zasiłku.

Tak to sobie pomyślałem: jak cię to Bóg uratował - tak samo jak ja obroniłem Kozaka, tak mnie obronił Polak z Wilanowa. Muszę jeszcze zaznaczyć, że bardzo mnie bolało serce, kiedy widziałem nieraz znęcanie się nad bezbronną ludnością Królestwa Polskiego, którego dopuszczali się Niemcy. Stawałem zawsze w obronie uciśnionych i pokrzywdzonych, lecz nieraz odbierałem policzki, za moją obronę swego narodu. Wojna dla mnie nie istniała. Karabin nosiłem lecz go nie używałem i wystrzeliłem pod pozorem obserwacji otoczenia przez całą wojnę, to jest piętnastu miesięcy, czyli do dnia 5-go listopada 1915 roku, siedem kul z mego karabinu, zaś wiele amunicji i przyborów wojennych zniszczyłem w wodzie i błocie, policzyć nie zdołałem.

Skończyła się dla mnie wojna, lecz rozpoczęła się niewola, niewola może gorsza od wojny.

### **Okres niewoli rosyjskiej**

Po przebyciu błotnistej drogi, doszliśmy do oddziału znajdującego się o dwie godziny drogi. Tutaj okrzykami powitano wyprawę wracającą ze zdobyczą: jednym jeńcem, kilkunastu karabinami i naładowanymi tornistrami, z których już resztę lepszych rzeczy powybiali żołnierze dla siebie.

Mnie pozostawiono wszystko oprócz karabinu. Potem zapytali czy chce mi się „kuszać” (jeść). Dali mi herbaty, „zachru” (cukru) i chleba – mogłem jeść. Prawdziwie od kilku miesięcy tak się nie pożywiłem, najadłem się do syta. Wypytywali mnie żołnierze polscy, a tłumaczyli moskalom. Polubili mnie i na noclegu spałem tej nocy razem z nimi; z wroga stałem się przyjacielem.

Na drugi dzień rano znów się najadłem do syta, gdyż pożywienia mieli pod dostatkiem. Przyszedł rozkaz, aby mnie odstawić do sztabu danego oddziału. Zajechał jeden Kozak konno, pożegnałem oddział i ruszyłem w drogę. Bliżko trzy godziny byłem w sztabie przesłuchiwany. Jakiś sekretarz tego sztabu

Kozaków, a z wyglądu Żyd, zadawał pytania po niemiecku: „po co szedłem do niewoli”, wymyślał mi, sugerował różne rzeczy: „że żołnierz niemiecki nie powinien dać się brać w niewolę” itd. itp.

Następnie przyszedł adiutant, wysoki młody oficer, Polak, i pyta się: „kim jestem, Polakiem czy Niemcem?” Odpowiadam, że Polak. Pyta: „z jakich stron?” Odpowiadam, że „z Poznańskiego”. Pyta, czy znam Piotrowo, czy Oporowo, nie zrozumiałem i nie znałem tej miejscowości. Zaznacza dalej, że ma żonę w tej miejscowości, że nie może dowiedzieć się o żonie, czy zdrowa i żyje, bo na krótko przed wojną wyjechał do Królestwa w swoje dobra i wojna rozdzieliła go z żoną, że będąc oficerem Armii Rosyjskiej, musi pozostać w czynnej służbie. Dalej mówi, że nie mam się bać, że już mi się nic nie stanie, będę przesłuchany przez szefa sztabu, czyli atamana Kozaków. Ośmielony tym i widząc zaufanie opowiadam, jak bardzo szorstko i z wyrzutami, że dałem się wziąć do niewoli jako żołnierz niemiecki, potraktował mnie tamten sekretarz. Adiutant oburzył się mocno i wzywa owego żołnierza – sekretarza, ten prostuje się przed nim i tłumaczy w języku rosyjskim, którego dobrze nie rozumiałem, tylko pamiętam słowa „swołocz” i „czort”, zwymyślał go i kazał wynosić się. Następnie obrócił się do mnie i powiedział, że takich zdrajców pełno mają za co jutro pójdzie na linię bojów. Potem kazał mi usiąść na ławie i poczekać aż przyjdzie szef.

Długo czekałem, aż wreszcie nadszedł ów szef; był to typ Rosjanina z brodą, niski, po cywilnemu ubrany, w czapce i ze szpicrutą w rękę, człowiek o pogodnej twarzy i nawet przyjemny. Zadawał pytania po rosyjsku, adiutant tłumaczył, a ja odpowiadałem. Interesowało go jakie jest odżywienie, zaprowiantowanie i jakie nastroje wśród żołnierzy, a potem wypytywał o rozmieszczenie artylerii, jaka jest siła wojska i co wiem o stosunkach wewnątrz Niemiec. Rozmawiał długo z adiutantem, a następnie rozkazał zaopatrzyć w żywność i odesłać mnie do Dyneburga. Otrzymałem kawał czarnego chleba, 15 kawałków cukru i szczyptę herbaty, a potem kazał wyjść i poczekać, aż przyjdzie konwój. Pożegnałem się i wyszedłem.

Wnet też zjawił się żołnierz konno i poszliśmy w stronę kolei; stawaliśmy po drodze w kilku wioskach gdzie mogłem sobie coś kupić, czy papierosa czy coś do zjedzenia. Doszliśmy pod wieczór do Krenzburga, tam podziękowałem mu za zamianę kilku marek na ruble i pożegnałem, bo żołnierz musiał jechać z powrotem. Znać było na dworcu duże podniecenie, pełno „ubieżeńców” i rodzin z dziećmi. Ja pojechałem tym pociągiem na Dyneburg, omawiając z Polakami w pociągu różne przejścia. Namawiano mnie abym zrzucił mundur, a dadzą mi cywilne ubranie i pojedę z nimi w daleki świat Rosji, lecz nie znając języka dostatecznie, obawiałem się. Wiozłem też dokumenty, które wręczył mi konwój i miałem oddać w Dyneburgu temu, który będzie odbierał mnie z pociągu.

Chyba o drugiej w nocy dojechaliliśmy do Dyneburga, tam też zjawił się urzędnik, odebrał dokumenty i razem z innymi odesłano nas wszystkich do ogromnego, opróżnionego magazynu; tam nastąpiła rejestracja, wzięto cywilnych osobno i wojennych osobno; dopiero tam okazało się, jaka wielka ilość jeńców nagromadziła się. Tylko z 18-go pułku było około tysiąca jeńców. Dwa dni oczekiwaliśmy na transport odpoczywając po przemęczeniu. Tam też były ogromne ataki niemieckie, bo przez całą noc i dzień było bezustanne bombardowanie, że obawiałem się, iż z powrotem zabiorą nas Niemcy, lecz ataki odparto i po dwóch dniach wywieziono nas w stronę Błogoje.

Kiedy tak jechaliśmy pociągiem Niemcy podziwiali zapasy żywności jakie wszędzie jeszcze było widać. Za kilka kopiejek robili dobre zakupy. W Błogoje kupiłem bochenek chleba białego jak śnieg za 2 ruble, że nasyciły się 24 osoby, jeden cały wagon, a bochen chleba tak duży, że dwóch niosło go na ramionach do wagonu; inni kupili pieczoną kurę za 20 kopiejek, paczkę marchorki za 8 kopiejek, dzban mleka za 40 kopiejek itd., a cóż dopiero mówić o zapasach żołnierskich na tyłach armii. W niemieckich oddziałach mówiło się, że w Rosji głód i wojska już nie ma – teraz dopiero to wszystko, co widzieli wprowadziło „hakatów” w taki podziw i zachwyt, że niejeden powiedział, że Rosja jest nie do pobicia.

Jechaliśmy w stronę Moskwy, a wszędzie zapął do walki i pogrózki Niemcom. Po kilkutygodniowej podróży stanęliśmy przed Moskwą. Wjazdu do Moskwy nie było z powodu eksplozji magazynu pocisków artyleryjskich, praca nad rozsiałym żywiołem i ogromnymi zapasami amunicji, z powodu ciągłych wybuchów, była ogromnie utrudniona, gdyż bliski dostęp był niemożliwy. Przyglądaliśmy się tym wybuchom i rozrzucanemu dookoła żelastwu z odległości półtora kilometra. Po dwóch dobach straże unieszkodliwiły dalsze rozniecanie się pożaru i wjechaliśmy do Moskwy.

Stolica Rosji nie zrobiła na nas osobliwego wrażenia, gdyż po wcześniejszym oglądaniu miast zachodnich, zdawała się być niedorównaną wielkim miastom Zachodniej Europy; była jedynie porównywalna z wielkiej rozległości terenu. Ruch był ogromny – zaś ilość i różnorodność wojsk zrobiła na nas doskonałe wrażenie. Osobliwie Kozacy i konnica przejeżdżająca na swych wspaniałych koniach, świetnie się prezentowała. Sprężystość jazdy i dobra postawa jazdy wyróżniała przecięź kawalerię zachodu.

Wszyscy jeńcy do Moskwy jechali razem. Kiedy w Moskwie w miejscu koncentracji zaczęli rozdzielać Polaków od Niemców, to wtedy w niejednym Niemcu zapanowała trwoga czy nie wyślą ich na Sybir? Wówczas dopiero okazywało się jakich prawdziwych Niemców miała armia niemiecka; nie mogli wyjść ze zdziwienia gdy pytano o nazwiska, bo słyszałem same Fiszery, Lupki, Kamiency, Wienclandy, każdy tłumaczył się tym, że jego babka była Polką. Jeszcze więcej mnie zdziwiło, gdy po kilkudniowym pobycie doskonale mówili po polsku, gdzie przy podawaniu nazwiska, wszystko li tylko po niemiecku. Po dokładnym wybadaniu sprawy doszedłem do przekonania, że byli to Polacy z Pomorza, z Wejherowa i okolic, oraz spod Kołobrzegu i Szczecina. Po kilku tygodniach nie do rozpoznania mówili już płynnie po polsku i śpiewali z nami polskie piosenki. Po segregacji w Moskwie, Niemcy zostali wywiezieni na Sybir. Polaków wysyłano do różnych obozów w centrum Rosji; partię około dwustu Polaków skierowano w stronę północną na Katazin.

Przyjechawszy na stację Kasza, ruszamy pieszo 21 km do Katazina nad Wołgą. Po przeprawie przez Wołgę, stajemy po drugiej stronie, już na miejscu dla nas przeznaczonym. Było duże zainteresowanie „Germanami”, bo tak przedstawiał nas mundur niemiecki; z tego dużego zainteresowania się „Germanami” o strasznie zbiedzonym wyglądzie, litościwe społeczeństwo obdarowało nas białym chlebem; zauważyłem starą „babuszkę”, która za ostatnie 20 kopiejek kupiła kołacz, rozłamując go podzieliła dla trzech jeńców zaznaczając ze łzami w oczach, że i ona ma syna „w plenu w Germanii”. Po bliższym porozumieniu się, żeśmy nie „Germany”, lecz Polacy, ujawniło się zrozumienie: „Germański, Polak,

Poznań” – coś niecoś zrozumiano, z pożegnaniem odeszliśmy w stronę opustoszałych baraków, które zajęliśmy jako obóz jeńców wojennych.

Jakiś komendant objął nas i zaraz rozkazał, aby iść po „kipiotok” i chleb, ponieważ była to pora wieczorna i zimno doskwierało, każdy rad podążył, aby się rozgrzać; dano wrzątku i po 3 funty chleba dziennie. Sądziliśmy, że nastąpi lepsze odżywienie, jednak było to złudzenie. Rano i wieczór wrzątek, lecz na obiad to pomyje od umytych naczyń kuchennych. Kto pierwszy był, dostał coś lepszego, lecz ostatni dostawali tylko wodę. Jedynie te 3 funty chleba nas podtrzymywały. Żywność, która była dla nas przeznaczona, zabierali oprawcy dla siebie, uzalić się nie było komu, a ostatecznie była to zima, mrozy i śniegi, miesiące grudzień i styczeń 1916-go roku. Po umyciu się i oporządzeniu z robactwa, którego było wszędzie pełno, odżyliśmy nieco, lecz ta kąpiel przy 30-tu stopniach mrozu w zimnej łaźni, otrzeźwiła wszystkich.

Dnie szybko mijały, to też już 6-go lutego 1916 roku, wysłano całą partię jeńców na roboty leśne. Te cztery tygodnie tak nas zbiedziły, że z ledwością dotarliśmy pieszo do kolei, owe 21 wiorst do Kaszy. Potem dojechaliśmy koleją na stację Mała Wyszera, w guberni Nowogrodzkiej. Stąd pieszo 8 wiorst, do posiadłości Aleksiejewka. Jak mi mówiono, były to dobra generała Kozłowa.

Gruntu było mało lecz lasu ogrom. Przyjęcie było doskonałe przez zarządzającego, czyli plenipotentą. Chleba pod dostatkiem, herbaty, cukru, dobrej zupy, no i o godzinie dziesiątej spać. Dwa dni mieliśmy wolne dla odpoczynku, a od poniedziałku rozpoczęła się praca. Każdy otrzymał walonki (filcowe buty), watowaną kurtkę, dobrą czapkę, rękawice skórzane, piłę, topór i kilof. Do wyrębu lasu wyruszyło 90 par drwali, zaś około 20-tu ludzi było zatrudnionych do odwożenia drewna do kolei i do domowych robót jak kucharze, kowal i stelmach, który naprawiał narzędzia itd. Niełatwa to praca, już nie grzmot armat, lecz grzmot obalanych drzew nam towarzyszył. Odżyliśmy i nabraliśmy siły, bo odżywienie było doskonałe: chleba 3-4 funty, herbaty i 6 kostek cukru dziennie, obiady dość tłuste i dobre. Robota szła, ale ciągle jej dokładano; z początku jeden sąg, zaś półtora i w końcu dwa i pół sąga dziennie wymagano.

Dziwiły niejednego jeszcze na froncie, pozostawiane po wyrębie wysokie pnie, co u nas nieznanne, lecz z powodu wielkich śniegów musiano w taki sposób ciąć poręby lasów. Śniegi były na półtora metra, choć się dużo odkopało, to jeszcze na metr od ziemi, a czasem niżej ścinało się drzewa; reszta co pozostała, ukazywała się po zniknięciu śniegu.

Drzewo było szykowane do opału parowozów, to jest arszyn, długie 80 cm, zaś bardzo grube, połupane. Sąg oznaczał 2 metry kubiczne, a trzeba było wykonać 5 metrów kubicznych dziennie, w przeciwnym razie ściągało się wyzwisła, szturchańce, a ostatecznie karę głodową i na noc do bani. Wiele nie było takich wypadków, ale były, a były z powodu choroby, albo zemsty naszych kontrolerów oraz „liziałapów” (pochlebców, lizusów) i zdrajców, których jak wszędzie zawsze się znalazło – byli i u nas.

Muszę zaznaczyć, że jak tłumaczem był niejaki Zoroch ze Wschodnich Prus, a Kasperek ze Śląska jako rodzaj włodarza, to oni stołowali się przy kuchni „uprawlewszego”, a nie wśród nas. Był to typ nędznych kreatur, którzy płaśczyli się by tylko zyskać coś dla siebie, lecz o całość swych braci nie dbali, stąd też powstał odruch niezgody.

Pomagano sobie w niewykonywaniu wymaganej pracy w ten sposób, że przenoszono już odebrane prace i ustawiano je wśród pracy nowej, dopiero do odbioru; robota szła rażno, to też wnet tam gdzie były stuletnie i starsze drzewa pozostały, jak okiem sięgnąć, tylko sągi. Od domostwa do granicy wyrębu, trzeba było dobre półtorej godziny iść tak wszerek jak i wzdłuż.

Święta katolickie i prawosławne święciliśmy, lecz do miasta nas nie wypuszczano przez cały 1916-ty rok i do rewolucji 1917-go roku. Kościół był nam nieznany, aż od lutego 1917-go roku dopiero, mieliśmy wolność i swobodę.

Zaszły pewne incydenty jeszcze przed rewolucją. Kozak nas dozorujący, skatował kilka osób, lecz można było mieć pretensje do naszych oprawców, którzy zamiast łagodzić niektóre sprawy, to zaogniali je i siali niezgodę.

Chciałbym zaznaczyć, że wśród nas Polaków było około 80-ciu Czechów, na których mogliśmy się wzorowo budować; ich takt i spoistość była naprawdę wzorowa, weseli, muzycykalni, z humorem. Mieli też swego przewodnika w osobie Franciszka, który pracował na równi ze swymi nie chcąc być naganiaczem, cośmy zawsze wytykali Kasperkowi i Zorochowi. Jednak nadzorcy obawiali się Czechom coś powiedzieć, stąd można było wyczuć sentyment do Czechów, a oni o swoje się dopominali czepiając się nawet strajku i głodówki. Kasperek zaś, wychowywał swych dwóch synów dla Wilhelma, a Zoroch, to „germaniec” i rusofil skończony.

Było dużo Polaków, którzy nie wierzyli w zmartwychwstanie Polski. Podkreślałem stale, że Polska będzie, że należy nam się gotować do tej przyszłej Polski i wyrabiałem sobie miłość i poważanie w otoczeniu. Nie mogąc otrzymać gazety polskiej z Moskwy, wyuczyłem się sylabizować prasę rosyjską, ale i tej nam nie dopuszczano, lecz wiedzieliśmy o sentymencie Państw Centralnych i Koalicji.

Muszę zaznaczyć, że z wybuchem rewolucji rosyjskiej ustał dozór i nastąpiła wolność, pozabierano tych trutni, co przez całą wojnę dusili się po kątach, lecz za to nastąpił czas głodu i brak żywności. Z gazety polskiej dowiadujemy się o zamknięciu drzwi dla Beselera przez Arcybiskupa Kakowskiego, wiele o Radzie Regencyjnej, o Zachodzie, o werbunku żołnierzy w Królestwie przez Niemców i o ubolewaniu przez „dziadzię” Józefa Piłsudskiego.

Żebym był wiedział, że tak się stanie, nie byłbym tego zrobił, to jest nie walczylibym z legionami przeciw Rosji. Muszę zaznaczyć, że bardzo wielu legionistów spotykałem z Legionu Piłsudskiego, którzy żalili się bardzo na traktowanie ich przez Moskali, bo też strasznie traktowano tych młodych chłopców po wzięciu do niewoli: zrywano im orzełki z maciejówek, bito, głodzono i maltretowano w różny sposób, natomiast Czesi przechodzili z całymi pułkami, z orkiestrą i ze swymi generałami witani owacyjnie przez ludność rosyjską.

Po wybuchu rewolucji nastąpił czas ogromnej udręki, żywności nie było za żadną cenę, zaś o ubraniu i bieliznie można było tylko marzyć – wszystkie starania spełzały na niczym. Wiele pociechy duchowej i fizycznej otrzymaliśmy od nigdy niezapomnianego apostoła, śp. biskupa Cieplaka i jego kapłanów niosących pomoc moralną i charytatywną.

Założono na Małej Wyszerce kapliczkę, gdzie co niedzielę i w święto szliśmy na mszę św. Otrzymaliśmy całe ubrania i żywność jaka była możliwa. Kiedy to raz zaprosiłem kapłanów, aby nas odwiedzili na miejscu, w obozie,



to kapłan będący wysłannikiem ks. biskupa Cieplaka nieomal się popłakał nad nami, nad losem naszym, a „uprawlawszemu” zrobił wyrzuty, że traktuje nas jak zwierzęta nie ludzi, więc potem nastąpiła zmiana we wszystkim na lepsze, publiczność polska, która znajdowała się tam, ratowała jak mogła wzajemnie na wszystkie sposoby.

Było to około lipca roku 1917-go, rozesłano połowę ludzi do robót leśnych w okolice bliskie z Gubernią Archangielską. Stamtąd otrzymałem jeszcze kilka kart od kolegów. Opisywali m.in., że kiedy tam przybyli, to bardzo ich zdziwiły dzikie indyki w lasach, gdzie po podcięciu jednej sosny puszczały drugą na nią tak, że zabijali w ten sposób to ptactwo, czym sobie pomagali w odżywianiu się i wiele różnych rzeczy. Zoroch i Kasperek, którzy też tam pojechali, dalej okrutnie gnębili i pomiatali Polakami, że w końcu odesłano ich do obozu koncentracyjnego do Kostromia na zagłodzenie. Jednak wielu puciekowało i właśnie owego Zorocha po ucieczce spotkałem potem na Wyszerce bo powrócił, to na kolanach prosił aby mu przebaczyć maltretowanie nas. Poradziłem mu, aby co prędzej się znosił, bo będzie z nim źle, co też uczynił.

### Ucieczka z Aleksiejewki

Tak strasznie biedowaliśmy w Aleksiejewce jeszcze do stycznia 1918 roku, lecz widząc co dzieje się dookoła i na co się zanosi, postanowiłem uciec z tej miejscowości. Nie namawiałem nikogo, lecz rano o godzinie czwartej wstałem, zabrałem me rzeczy i rzekłem: kto chce może ze mną iść. I wybrało się ze mną kilku na przygotowaną wcześniej placówkę, a byli to: Żmura, Rekowski, Podwojski i ja. Zaraz też otrzymaliśmy pracę na kolei, za pośrednictwem pana (L...go), lecz nie na długo, bo były awantury rewolucyjne, zaś opuszczanie frontu przez Moskali było strasznie niebezpieczne i groźne.

Całe 2 tygodnie jechała rozpuszczona armia rosyjska z odcinka Mińska, Pskowa i Piotrogradu. Żołnierze wieźli jeszcze odezwy niemieckie, które im rozrzucili Niemcy. Napisane było, że: wy walczyście na frontach, a na tyłach rozdaje się ziemię i kto wróci za późno, temu się nic nie dostanie. To tak poskutkowało, że wszyscy żołnierze porzucili broń sprzedając ją za bezcen, a jechali jak szaleni zapominając, że siedzą na dachach wagonów, skąd zmiotani na mostach i w tunelach ginęli śmiercią niespodziewanego niebezpieczeństwa. Rozpanoszenie się pijaństwa, grabieży i morderstw było na porządku dziennym, a o ukróceniu swawoli nie było mowy. Rewolucja rozpanoszyła się na dobre. Kiereński jako socjalista, który ją przygotował - po przyjeździe do Piotrogradu Lenina, a przysłanym przez Niemców w zaplombowanym wagonie - zaczął działać kontra i stało się to czego Niemcy chcieli, dopięty celu. Kiereński zmuszony do ucieczki, po stoczeniu ostatnich bojów między Piotrogiem, a Moskwą przepadł, a wojska rozpiechły się na wielkich terenach Rosji i znikły. Zaś Lenin i jego przyjaciel Trocki już bez przeszkód kontynuowali dzieło Niemiec, przygotowane jako rewanż za przegraną wojnę światową, ażeby przy pomocy Słowian rozniecić nowy pożar w Europie.

Jednakowoż należy tu uwzględnić potężny obszar Rosji. Komuniści mieli zamiar zdobyć i zawładnąć przede wszystkim koleją, telegrafem i pocztą. Niełatwa to była rzecz na rozległym terenie Rosji i Syberii, a w dodatku znaleź-

li się obrońcy dawnej Rosji: Siemionow, Dutow i Kołczak w Syberii, a Denikin, Judewicz i inni na południu i Kaukazie.

Widząc na co się zanosi, miałem zamiar wstąpić do Korpusu gen. Dowbora Muśnickiego, lecz z powodu zagrodzenia dostępu do kadry Korpusu, zmuszony byłem do szukania innej drogi. Nie tracąc czasu jechałem z kolegami Rekowskim, Podwojskim, Kaszyckim i wielu innymi na Syberię. Straszny głód, który panował w Rosji skończył się, gdyż w Syberii żywności było pod dostatkiem. Powolna jazda trwała kilkanaście dni, a nadzwyczajne trudności sprawiali maszyniści kolejowi, którzy nie chcieli jechać na Syberię obawiając się niemożności powrotu do rodzin w Rosji. Zmieniano ich ostatecznie w Ufie. Zaś od Czelabińska rozpoczynało się zaprowiantowanie dworców Syberii – tam można było dostać wszystko.

W Czelabińsku właśnie natrafiliśmy na pierwszego emisariusza późniejszej Armii Polskiej na Syberii. Gdy dowiedzieliśmy się o formalnościach do spełnienia, jechaliśmy już wprost do Omska. Tu całą grupą tak jak jechaliśmy, zeszliliśmy z pociągu i udaliśmy się od razu na przeznaczone miejsce. Inni, którzy nie chcieli wstąpić do Polskiej Armii pojechali do obozu jeńców w Nononikołajewsku.

W Omsku, na czele Komitetu Organizacyjnego stali Sokołowski, Zaremba i kilku pomocników, zaś na czele Legionu Omskiego stał Porucznik Jaworski i Polak z Litwy Żawryt; uzbrojonych było 200-tu żołnierzy z różnych stron, osobliwie jeńcy wojenni i zesłańcy na Sybir z katorg. Formacja była przy 37-mym Pułku Piechoty Armii Rosyjskiej już zdemobilizowanym przez rewolucję. Omsk miał wówczas około pół miliona mieszkańców, przeważnie Polaków i Rosjan. Opanowany był natenczas przez socjalistów o pokroju Kiereńskiego. Władza zwierzchnia aż do Władywostoku, była już Lenina i Trockiego. W Legionie Omskim pełniliśmy straż wartowniczą, gdyż obywatele Omska mieli do nas największe zaufanie. Warty utrzymywaliśmy przy intendenturach, prochowniach, banku, poczcie; trudne to było zadanie, bo z jednej warty na drugą trzeba było iść, ale żywność była doskonała, ubranie dobre i przełożeni doświadczeni wojną i wyrozumiali. Wnet też Kolonia Omska ofiarowała nam sztandar i odbyło się jego poświęcenie. Odtąd rozpoczęło się prześladowanie przez socjalistów polskich, na czele których stał Stanisław Wojciechowski. Ciągłe nam zarzucano, że stoimy do dyspozycji „białej gwardii” i tak kopano, aż ostatecznie ów Wojciechowski dopiął swego celu 7-go kwietnia 1918 roku. Nie chcąc przelewu bratniej krwi oddaliśmy dobrowolnie broń i nasycił się socjalista Wojciechowski; lecz że sztandaru nie oddaliśmy, było im tego za mało, nuże i po sztandar ruszyli. Nie dostali go jednak, gdyż ów porucznik Żawryt rozebrał go i ukrył, za co był ścigany, ale wkrótce wyjechał do Archangielska i prawdopodobnie do Francji.

Zagwarantowane mieliśmy miejsce do spania i żywność do końca kwietnia, zaś 5-go maja 1918r. była powołana do życia „Prochowolstwienna Milicja”. Muszę zaznaczyć, że walka uliczna która odbywała się w Omsku, też była zażarta, a było kilka zwycięstw jednych i drugich. Partia narodowców straciła jednego członka przy moście Omki, która jest dopływem Irtyszu, wystawiono mu pomnik, lecz po następnej bitwie zwyciężyli bolszewicy, znieśli ów pomnik i pochowali bohatera narodowców 30 metrów od ulicy, zaś na to miejsce skła-

dali swego bohatera i tak trwało 3-4 razy. O potworności zbrodni bolszewickich niech świadczy taki fakt, że gdy schwytali szpiega kontra bolszewickiego, za karę pochowali go żywcem przy wejściu na cmentarz, razem z jego kochanką, która nie chciała go opuścić. Grób ten znajduje się przed cmentarzem Omskiem ze strony północnej, gdzie leżą też pochowani rewolucjoniści z roku 1905-go, za rewolucję w Kongresówce.

Ludność Syberii nie mogła znieść rządów Lenina i Trockiego i przypuszczano, że wnet coś wybuchnie i tak też się stało. Oto na skutek porozumienia pana Sokołowskiego i innych obywateli, została utworzona milicja, która miała czuwać nad wywozieniem produkcji spożywczej ze Syberii, wtedy wszyscy legionści zostali wcieleni do tejże; granice były rozległe, od Uralu do Bajkału i na najdalszych przystaniach dróg wodnych.

Rozproszenie nas było bardzo duże, ale zapewnienie bytu było jedynym dobrem, gdyż termin przewrotu był krótki 5-ty maj, a początek czerwca, to też niejedni nawet nie dojechawszy na miejsce przeznaczenia, zawracali z drogi z powrotem.

Przypadła mi i kuzynowi, którego spotkałem w Omsku, służba wartownicza transportu z Omska do stacji Czującym, w odległości ok. 200-250 km; lecz aby stamtąd powrócić, trzeba było odczekać 2 tygodnie. Szmugiel towarami szedł ogromny, wywożono całe wagony masła, sera, wędlin, ryb suszonych. Wkrótce to ustało, gdyż wszystko zostało konfiskowane, a bolszewicy zaczęli obrastać tłuszczem, lecz na krótko.

Rozmawiałem wtedy z jednym Czechem, Franciszkiem, który mi napomknął, że wkrótce coś się wydarzy; ja ze strażą naszą oddaliśmy broń Czechom na stacji Czującym. Byliśmy swobodni, bo skończyła się nasza służba, lecz powrotu do Omska nie można było podjąć, gdyż silniejsze miejsca bolszewickie stawiały opór jeszcze kilka dni.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że Czesi nie mieli broni pod dostatkiem, a zdobywali ją łopatkami, toporami, bombami itp. Tu można sobie wyobrazić rozmach i spoistość Armii Czeskiej. Że cała sprawa była dobrze obmyślana i dobrze ujęta świadczy to, że po kilku dniach bitwy, Czesi opanowali linię kolejową na olbrzymiej przestrzeni i nie spoczęli tak długo, aż został oczyszczony z bolszewików cały teren ich posiadania.

Armia Czeska, która to niby w zamiarze przejazdu do Władywostoku, a stamtąd do Francji, stanęła na torach od Samary do Władywostoku, a była to siła żołnierzy w ilości 80 tysięcy, bez broni wprawdzie, bo bolszewicy zażądali zdania broni, lecz na każdy eszelon pozostawało dużo broni ukrytej lub legalnie zostawionej dla obrony; ta rozlokowana Armia Czeska zrobiła przy pomocy Rosjan, Polaków i Serbów wyłom, który udał się tak znakomicie, że jednego dnia, hurmem, zabrano tę całą linię od Władywostoku aż po Samarę i Kazań - zdobyto całą transsyberyjską linię kolejową, a to było najważniejsze. Miało to miejsce coś około 10-go czerwca 1918 roku.

Wiele epizodów mógłbym przytoczyć, lecz o sprycie Czechów niech świadczy choćby to, jak łapano całe pociągi bolszewików na stacji w Omsku; pozapychano wagonami wszystkie tory, zaś jeden pozostawiono wolny dla przejazdu, a oba boczne tory zostały obsadzone przez żołnierzy Czeskich zamkniętych w wagonach pozorując, że Czesi się wycofali z Omska. W ślad za nimi postępują bolszewicy, wjechało kilka pociągów, a tu Czesi wypadają

z wagonów, wybijają ich i zdobywają broń i pociągi. Reszta bolszewików, która chciała się cofnąć przez most zatłoczyła go tak, że w panice wielka część utonęła w Irtyszu, resztę wybito. Obsadzenie Omska było dobrze ukartowane przez Czechów. Czechów witano wszędzie jak zwycięzców, kwiatami obsypywano i wszystko było dla nich. Bili się dzielnie, lecz topnieli, bo z 80-ciu tysięcy zrobiło się w końcu 40 tysięcy, ale wypędzili bolszewików z Syberii poza Ural, aż za Samarę. Zdeprawowana armia bolszewicka nie była zdolna do walki i tam zatrzymała się przez kilka tygodni.

### **Wstąpienie do V-tej Dywizji Strzelców Polskich na Syberii**

Dnia 18-go czerwca 1918 r. przybyłem do Omska, zapisany zostałem jako 18-ty żołnierz ochotniczy. Kolegów moich także tam spotkałem. Kuzyn mój już nie chciał wstąpić do wojska i to mnie trochę wstrzymało w decyzji gdyż chciałem, abyśmy wstąpili razem. Rozpoczęła się organizacja 5-tej Dywizji Syberyjskiej, Hallerowskiej. 1-szy Pułk Strzelców im. Tadeusza Kościuszki organizował podpułkownik Krupski, 1-szy Pułk Ułanów Syberyjskich por. Olechowicz i Grinn (Grenon?), a po paru dniach przybył płk Konrad Piekarski i wtedy organizacja V-tej Dywizji ruszyła na dobre. Ja wstąpiłem do 1-go Szwadronu Ułanów. Już po 4-5-ciu tygodniach wyjechaliśmy jako pierwsze kadry bliżej frontu, a bojowe na front. I tak: 1-szy i 2-gi Batalion Strzelców odjechały na front dla pomocy Czechom na Jekaterynburg, a 1-szy Szwadron Ułanów i reszta do Ufy.

Jekaterynburg był miejscem więzienia cara Mikołaja II. Na skutek spiesznego uderzenia polskich i czeskich żołnierzy, bolszewicy nie byli w stanie się obronić, to też przy opuszczaniu Jekaterynburga kaci bolszewicy Wojków, Krylenko, Dzierżyński i inni, dali rozporządzenie wymordowania uwięzionej tam całej rodziny carskiej. Twierdzenia jakie obecnie panują uważam za bezpodstawne, gdyż rozmawiałem z różnymi żołnierzami, którzy byli w Jekaterynburgu i mówili, że tamtejsza ludność nawet wskazywała miejsce, kiedy bolszewicy po dokonaniu zbrodni chcieli wywieźć ciała, lecz na skutek osaczenia było to już niemożliwe, a wtedy oblali ciała płynem i spalili doszczętnie. Interwencja Czechów i Polaków była o 2-3 dni spóźniona, inaczej byłyby satrapy bolszewickie same nie uszły z życiem – takie są twierdzenia tych, z którymi osobiście rozmawiałem po pobicie bolszewików w Jekaterynburgu.

Kiedy dalszy werbunek do Armii Polskiej odbywał się w Ufie, to stamtąd wyszły już następne oddziały na front i tak 1-szy Szwadron Ułanów stale był w wywiadzie w stronę Orenburga, gdyż już w sierpniu 1918 roku, zaczęły się buntować wsie okoliczne przeciw tzw. „białej armii”. Po kilku tygodniach w Ufie wyjechaliśmy do Bugurusłana, tam nastąpiło wysłanie na front dalszych formacji, bo front był blisko.

Zbyt powolna pomoc czeska spowodowała rozrost i dyscyplinę armii bolszewickiej. Jeżeli tu nastąpiłoby przyspieszenie uderzenia, dałoby to możliwość przejścia przez Moskwę Armii Czeskiej i Polskiej, lecz brak dostatecznej orientacji z naszej strony spowodował później straszny cios, a losu, jaki nas spotkał, nawet psu nie można zgotować.

Tu w Bugurusłanie doszła nas wieść, iż wieś buntuje się na dobre, to też wysłana ekspedycja karna do owej Uzieli, spaliła całą wieś za zamordowanie

żołnierza Feliksa Woźniaka. Żołnierz ów zabłąkał się jako śmiałek i został zestrzelony z konia, a następnie poćwiartowany i wrzucony do strumyka. Za czyn ten spalono całą wieś mającą 54 domostwa; można było słyszeć rozpacz i skargi.

Na froncie bardzo wielu żołnierzy przechodziło na stronę bolszewików i tak raz pewnego przeszło 30-tu kawalerzystów z Mazowieckiego Pułku z całym umundurowaniem, lecz jak to bywa, odebrano potem konie dla oficerów, co spowodowało duży wybuch niezadowolenia w szwadronie, ale przybywające ciągle nowe siły niwelowały wszystkie ujemne strony, to też nasze zuchy rosły w dumę, bo gdzie pojawili się bolszewicy, to rozkurz; za to nazywani byli przez bolszewików „ptasiem odriadem”, bo przesuwanie na froncie było tak szybkie, że nie mogli sobie dać rady.

Wprawdzie później zastosowano pewne manipulacje bolszewickie, bo trzeba było wprowadzić w armii dyscyplinę i karność. Rozporządzeniem Lenina za grę w karty, upicie się i rabunek groziło rozstrzelanie każdego żołnierza. W ten sposób przeprowadzono reformę armii bolszewickiej. Czasu trwania tej reformy nie umiała wyzyskać armia syberyjska i to później zemściło się. Ta cała sprawa winna była iść forsownie by nie dać czasu na pobranie nowych sił i uzdrowienie żołnierza bolszewickiego, który wtedy był niezdolny do walki. Kiedy już bolszewicy dokonali tego „uzdrowienia armii” oddziały bolszewickie przeszły do ofensywy i zaczęły powoli, ale bez przerwy pchać wojsko czechosłowackie i „białych” spod Kazania i Samary na linię Ufa.

Tu przetrzymano zimę z 1918-go na 1919-ty rok, lecz nie pomogły już żadne próby, gdyż potężne połączenie zezwalają na okrążanie i zabieganie zupełnie na tyły.

Pierwsze walki były okropne. U Kołczaka jako ochotnicy była wybrana, inteligentna młodzież; walczyli jak najlepiej lecz stopnieli, gdyż przez agitację bolszewicką część żołnierzy przechodziła do innych formacji, gdzie ich zdradzano, a nawet z tyłu atakowano i wystrzelano, a całe kompanie i pułki zdawały się dobrowolnie bolszewikom. Spowodowało to wyłomy i nieufność innych wojsk do oddziałów Kołczakowskich.

Z Bugurusłana wyjechaliśmy do Nowonikołajewska, tam mieścił się nasz garnizon, a formacja szła dalej. Były też zmiany, bo szwadrony na zmiany wychodziły na front. Tu rozpoczęła się dopiero na dobre praca przez całą zimę, aż do wiosny; wprawdzie na froncie było zawsze jeszcze trochę Czechów i naszych żołnierzy lecz reszta została z wojskami Kołczaka. Czesi stopnieli, usunęli się uwożąc naprzód co mogli do Mandżurii, jednak jeszcze wiele czeskich pociągów zostało przed pociągami polskimi. Polacy trzymali ariergardę, co było szkodliwe i zgubne dla całości transportu, bo stracili zaufanie do swych sprzymierzeńców Czechów. Dalekie przestrzenie Syberii, umożliwiały i ułatwiały zabiegi okrążające oddziałom powstańczym Syberii, co bardzo utrudniało nam walkę. We wrześniu 1918 roku otrzymaliśmy, jako stały już garnizon wojsk polskich, Nowonikołajewsk, jest to centrum Syberii, stąd łatwo na wszystkie strony operować. Teraz nastąpiło forsowne organizowanie V-tej Dywizji Strzelców Polskich tzw. Hallerowskiej lub Syberyjskiej; skład oddziałów był następujący:

- ❖ I-szy Pułk Strzelców im. Tadeusza Kościuszki oraz pułki II-gi i III-ci pułk,
- ❖ Batalion Szturmowy czyli „Udarnyj”,
- ❖ Batalion Wojsk Inżynieryjnych
- ❖ Artyleria lekka i ciężka.

❖ Ułani: I-szy Pułk Ułanów walczący, dwa szwadrony od początku stale na froncie, na zmiany, po uzupełnieniu 3-ciego szwadronu oraz kompanii za frontowej tegoż oddziału Kawalerii.

Dywizja Syberyjska składała się z 15000 żołnierzy – wojska doborowego przeważnie z jeńców austriackich i pruskich oraz wielkiej liczby obywateli Królestwa, a osobliwie polskiej inteligencji i młodzieży z Dalekiego Wschodu.

Niejedynemu może by zapytał, co za cel miała owa armia tak daleko od Ojczyzny i czy ona chociaż częściowo mogła coś uczynić dla wskrzeszenia Polski – lecz dla lepszego uwypuklenia całej sprawy podam przy końcu opisu o jej działalności.

Wojska polskie walczyły z bolszewikami od Samary aż do Tajgi, a oprócz tych walk, uśmierzały bunt powstań odległe od traktu kolejowego do stu kilometrów i więcej. Walki z powstańcami w różnych odległościach od kolei były bardzo utrudnione, gdyż oddziały powstańcze operowały i blisko i daleko tak, że wszystko musiało być ubezpieczone od nagłych napadów; mniejsze oddziały psociły się przy wysadzaniu w powietrze małych mostów i niszczyły tory, gdy w dość odległych okolicach działała duża siła powstańcza. Oddziały band Krylenki, operowały w całej Syberii i na taki oddział natknęła się jedna z kompanii, 1-go Pułku Strzelców (kościuszkowców) tak, że musiała się okopać w czworobok i tak walcząc przez dwie doby położyła 600 ludzi przed okopami. Była to banda z fuzjami, pikami i toporami, lecz pod gradem kul karabinów maszynowych została zniszczona, a ostatecznie granaty ręczne uratowały kompanię. Nie szła tam wprawdzie jedna kompania lecz cały batalion, ale rozpostarty w wielkiej odległości tak, że jedni o drugich nie wiedzieli, dopiero odgłosy strzałów ich ściągały i wskazywały walkę, dlatego już po zwycięstwie obie kompanie zeszyły się razem do powrotu.

Wiele było takich wypraw skąd przywieziono zabitych tak Polaków jak i Czechów i Serbów, gdzie na cmentarzu w Nowonikołajewsku mają swój spoczynek, gdzie z wszelkimi honorami, na lawetach, odwożono bohaterów wśród dźwięków marszu Chopina na wieczny spoczynek.

Wyekwipowanie polskiego wojska przez Japonię było doskonałe. Jednego, czego brakowało tej dzielnej dywizji, to dobrego wodza. Był wprawdzie generał Żeligowski, lecz ten już wcześniej opuścił Syberię, bo w styczniu 1919 roku. Naczelnym dowódcą był płk Czuma, zaś wodzem frontu płk Rumsza, który uwijając się na swym pancernym pociągu, we wszystkich kierunkach, prażył bolszewików. Tu muszę zaznaczyć, że mieliśmy dwa takie pancerniki zbudowane przez Batalion Inżynieryjny, nazywały się „Kraków” i „Warszawa”. Tępiłono też agitatorów bolszewickich i nie szczędzono koni, rozstrzeliwano bez pardonu tego kto był schwytyany, jednak to nie pomogło i wojska bolszewickie postępowały coraz dalej.

Był też przegląd wojska w lutym 1919-tym roku przez przedstawiciela amerykańskiego, który wpłynął dodatnio na opinię koalicji; ukazały się potem plakaty i orędzie marszałka Piłsudskiego, lecz o wodzu mowy nie było i każdy robił jak uważał, jeden Rumsza chciał bronić sytuację, natomiast Czuma, człowiek miękkiej ręki i charakteru, ustępował.

Planowano rozpoczęcie ewakuacji wojsk w sierpniu lub wrześniu, zaś przygotowania przeciągnęły się do grudnia 1919 roku; mówiono też o generale

Baranowskim, że jest wysłany z kraju, lecz tam nie przybył, a sytuacja stawała się coraz trudniejsza.

Ewakuacja Dywizji Syberyjskiej z Nowonikołajewska na Daleki Wschód rozpoczęła się dopiero 5-go grudnia 1919 roku. Przygotowanie ewakuacyjne było doskonałe, bo całe formacje były ruchome, w pociągach wszystko było zarządzane, a więc przygotowanie na przejazd do kraju na pół roku i wszelka żywność dla całej dywizji.

Jechała również cała masa cywilnych rodzin żołnierskich i oficerskich, co było kulą u nogi tej ewakuacji, lecz nie chciano zostawić owych rodzin na pastwę losu bolszewickiego, a trzeba było to uskutecznić wprawdzie osobną wysyłką na Daleki Wschód.

Pociągi były ruchome, każdy; miały swe kuchnie, sypialnie, piekarnie, zbrojownie i wszystko co było trzeba mieć dla walczącej armii. Szedł więc pociąg za pociągiem na przestrzeni 150km, jeden od drugiego oddalony o 200-500 metrów. Każdy pociąg składający się z 50-80 wagonów miał jedną lub dwie lokomotywy.

Lokomotywy były nie najgorsze, lecz wymagały częstego remontu, a więc gdzie była jedna to była dobra, lecz gdzie dwie to częsta była naprawa jednej lub drugiej. Największym nieszczęściem był brak węgla lub drzewa opałowego i wody, bo pompy na stacjach były zdewastowane. Te trudności opałowe i braki wody, choć były dużym ciężarem, były do pokonania, bo obfitość lasów pozwalała zdobyć opał, to też rąbano drzewo w lesie i znoszono do parowozów i wagonów, a obfitość śniegu pozwalała na dostarczanie wody. Więc jechaliśmy, lecz dokąd wiedział tylko Bóg. Zależało to od waleczności żołnierza, który zasłaniał tyły przed bolszewikami.

Jednak posuwanie się żółwim krokiem owe 150 km przestrzeni naszej ruchomej armii, nie dało się na długą metę utrzymać.

---

---

STANISŁAW FUDALI

## „SIÓDME – NIE KRADNIJ”, A JAK UCZCIWIE ŻYĆ?

Sforsowała Morze Czerwone i przez pustynię szła rzesza izraelskich uciekinierów z Egiptu. Szła długo – biblia opowiada, że 40 lat, ale w czasach biblijnych „czterdzieści” było synonimem „wiele”. W czasie trwania wędrówki ludzie, oderwani od stałych zajęć i z niecierpliwością wyglądający Ziemi Obiecanej, demoralizowali się, a Mojżesz musiał nie tylko prowadzić tę rzeszę, ale i zaprowadzić w niej jakiś społeczny porządek. Perswazje słowne nie odnosiły skutku, więc pozostało uciec się do pomocy boskiej. Mojżesz przemyślał rzecz całą i oddalił się w góry, tam odłupał dwie kamienne tablice i wykuł na nich (z pomocą boską) reguły duchowego życia bogobojnego ludu i współżycia między sobą. Reguły te, powszechnie nazywane *przykazaniami bożymi*, okazały się niezwykle trafne, ponadczasowe, i po dziś dzień obowiązują we wszystkich monoteistycznych religiach świata.

Siódma reguła w zestawie przykazań stanowi: **Nie kradnij**, i ona była najbardziej dokuczliwym przykazaniem dla ogromnej rzeszy polskich zesłańców wyrwanych z kresowych małych ojczyzn i rzuconych w bezmiar Sybiru<sup>1</sup>, od przyoneżskich lasów, poprzez zauralskie lasy Północy, stepy Kazachstanu, tajgi Syberii, aż do gór Zabajkalia. Z innymi przykazaniami kłopot raczej był niewielki, a nie przestrzeganie trzech pierwszych dotyczących obowiązków wobec Boga było usprawiedliwione – czynnych kościołów w całym Sybirze nie było ani na lekarstwo, a czynnych cerkwi prawosławnych szukać należało z przysłowiową świeczką. Dopóki był kontakt z jeszcze nie wywiezionymi rodzinami (tzn. przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 r.), na Sybir płynęły pieniądze, a nawet paczki (które na pocztę nadać można było nie zawsze i nie wszędzie), i wtedy mało kto z nas odczuwał konflikt z siódmym przykazaniem.

Sytuacja radykalnie zmieniła się po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Linia frontu oddzieliła nas od bliskich na Kresach, przestały przychodzić nie tylko listy od rodziny, ale i pieniądze oraz paczki. Po trzech miesiącach, gdy niemal wszystkich zdrowych mężczyzn wcielono do Armii Czerwonej, przedpoborową młodzież powołano do *Трудовой Армии* (coś w rodzaju obowiązkowych Hufców Pracy), a młodszą do *ФЗО (Фабрично-Заводское Обучение* – ówczesne Przysposobienie Przemysłowe), chętniej korzystano

---

<sup>1</sup> Przez Sybir rozumiemy wszystkie miejsca w głębi Rosji, dokąd zsyłano Polaków, zarówno za czasów carskich, jak i radzieckich; jednym z tych miejsc była Syberia – kraina geograficzna w północnej Azji między Uralem, Leną i Pogórzem Kazachskim.



z zesłańczej siły roboczej. W tym czasie, prawie niezauważenie, pieniądze przestały pełnić swoją rolę – coraz trudniej było za nie coś kupić. Do wiejskich sklepików (*лавочек*) przestano dowozić takie atrakcyjne towary jak: cukier, cukierki, herbatę prasowaną (*кирпичный чай*), zapaliki, wódkę, naftę, zeszyty itp., a półki, podobnie jak u nas w stanie wojennym, zapełniały nie butelki z octem, ale przez mało kogo kupowane prymitywne zabawki, tandetne damskie upiększenia i agro-hodowlana literatura, od lat tam leżące. Bazary, wcześniej funkcjonujące tylko w niedziele, na których kołchoźnicy sprzedawali nadwyżki swoich ogródkowych płodów, by zdobyć pieniądze na opłacenie podatku i inne niezbędne wydatki, teraz świeciły pustką – nikt niczego się nie pozbywał, zwłaszcza artykułów spożywczych. Miejscowi ludzie byli zaniepokojeni: kołchozowe magazyny zostały wyczyszczone: **Wszystko na front!** – zostawiono w nich tylko tyle ziarna, ile było trzeba na wiosenny siew, za pracę w kołchozie płacono nie normalnym ziarnem, ale pośladem, i to w skromnej ilości, a zapasów żywności mało kto miał.

Polscy zesłańcy byli w gorszej sytuacji. Miejscowi byli jako tako zagospodarowani: każdy kołchoźnik miał jakieś domostwo, przy nim jakiś ogródek (maksimum 8 arów), krowę i kilka sztuk owiec (mógł jeszcze mieć 10 kur i 1 świnie, ale tych w czasie wojny nie było czym karmić), a Polacy tego nie mieli. Na dodatek złego za pieniądze (gdy ktoś je jeszcze miał!) niczego do jedzenia kupić nie było można, więcej nawet: rzeczy (pościel, odzież) przywiezione przez zesłańców, do niedawna jeszcze bez trudu wymieniane na żywność, przestały zupełnie interesować miejscowych – jednym słowem: – *Rozpacz!, tylko siadaj i płacz!* .Widmo niedojadania nie opuszczało polskich zesłańców do końca wojny, uczucie łaknienia towarzyszyło im w każdej porze dnia, a w niektórych okresach (zwłaszcza na przednówku 1943 r.) uczucie już nie łaknienia, ale dającego się we znaki głodu, czyli bolesnego skurczu wnętrzości w procesie samotrawienia, kiedy do ust pcha się wszystko, co pogryźć się daje. Na szczęście dla zesłańców kołchozy chętnie teraz przyjmowały ich do pracy, bo cierpiały na brak siły roboczej. Wcześniej kołchozy nie przyjmowały Polaków do pracy (tak na pewno było w presnogorkowskim rajonie Kustanajskiego obwodu, i chyba nie był to wyjątek) – oto obok kopia dokumentu odmawiającego przyjęcia do pracy w kołchozie. Możliwość pracy w kołchozie niosła ze sobą dwie korzystne sytuacje: posiłki w pracy polowej i jakieś wynagrodzenie w jesieni za pracę. Pracujących w polu karmiono bowiem: 3 razy dziennie dostawali litr niezbyt gęstej *болтушки*, czyli zarobionej wodą mąki zarzuconej na wrzątek, a w jesieni po zbiorach za pracę wydawano ziarno, pozostałe po odstawieniu kontyngentu, funduszu wojennego i przeznaczonego na siew wiosenny; w czasie wojny kołchoźnicy zamiast ziarna dostawali poślad, i to w niewielkiej ilości – 200-300 g na truddzień (czyli dniówkę obrachunkową).

Praca w kołchozie niosła też ze sobą pokusę, której realizacja była w jawnym konflikcie z siódmym przykazaniem. Niektóre kołchozowe prace wymagały bowiem bezpośredniej styczności ze zbożem: w czasie siewów – z ziarnem siewnym, w czasie plewienia (w Kazachstanie trzeba było usuwać piołun i oset z rosnącego zboża) – z „nalewającymi się” kłoskami, a przy żniwach i omłotach – z dojrzałym ziarnem. Głodny człowiek, bez względu na to, czy miejscowy, czy zesłaniec, nawet nie zdawał sobie sprawy z tego kiedy i w jaki sposób ziarnem lub wygniecionymi niedojrzałymi ziarenkami napełnia-

ły się jego kieszenie bądź trafiały za koszulę. Czasem tylko błysnęła w mózgu myśl, że ziarno jest kołchozowe, a kieszenie jego, i że to może kolidować z siódmym przykazaniem. Później dopiero dochodziło do niego, co się stało, ale było za późno, by odwrócić bieg wydarzeń, bo to, co było w jego kieszeniach, to **było już jego**, on tego potrzebował, a teraz kombinował tylko jak niezauważenie przejść w sobie tylko znane miejsce z tymi wypchanymi kieszeniami i je opróżnić. Przeważnie się to udawało, a gdy się nie udało, to rzadko się kończyło wysypaniem ziarna na miejsce – ciąg dalszy zależał od tego, kto przeszkodził w ukryciu „zdobyczy”; czasami kończyło się to paroma latami lagru.

Президе  
отказа застав  
Президе  
Колхоза М. С.

Заявление

От Трандана Парскайн Ханей от Слуд-  
-ли Парса у которой перебувает двое детей  
Станислав 10 года и Эльк 4 года на счету  
в т.ч. один ребенок дог. Тотт м.г.  
Слудан Парса мать их просит  
пробизнесе Колхоза Шиннаме мене  
в преду стора Колхоза мат. как в  
исалато биме в колхозе и вимпанати  
вее возмощене мене работи.  
Прому не отказати мосту / прозети.  
Слудан Парса  
Антоновна

май 19/4 940

Podanie o pracę w kołchozie, z adnotacją odmowną: Просьбе отказать

Po pomyślnym opróżnieniu kieszeni następowała znaczna psychiczna ulga z towarzyszącym jej wewnętrznym okrzykiem: – **Udało się!**, a do głowy waliły praktyczne myśli, jak najlepiej wykorzystać „zdobycz”. Dopiero po należyтым wykorzystaniu „zdobyczy”, gdy już marsza kiszki nie grały, następował moment moralnej refleksji, nie zawsze i nie u każdego: – *Przecież ja ukradłem!* A Anioł Stróż zawodził: – *Popetnitesz grzech! Musisz się z tego wypowiadać!*

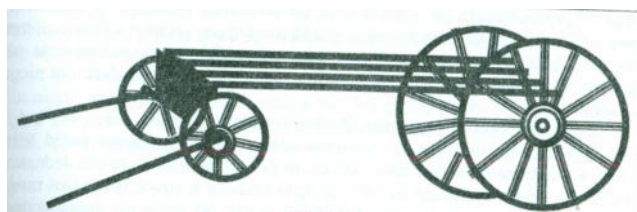
Początkujący amator kołchozowej własności był w rozterce – *Przecież byłem głodny! Kiszki marsza mi grały! Nie miałem sił do roboty!* I tu w sukurs przychodził mu diabeł: – *Nie ukradłeś, bo to kołchozowe, czyli niczyje!* Zdezorientowany człowiek nabiera pewności, że nie zgrzeszył, a Anioł wyjaśnia: – *Ukradłeś, bo to kołchozowe, czyli wspólne! Należy do wszystkich kołchoźników!* Zaś diabeł kracze: – *Nie bądź głupi! Wziąłeś tylko część swojej części!*

Początkujący amator dóbr kołchozowych nie chciał być głupi i nie wysłuchiwał dalszych swarów anioła z diabłem, bo wydało mu się, że obaj mają rację i żaden z nich nie może podzielić jego sytuacji, gdyż każdy jest wytworem wyobraźni, a on – z krwi i kości – jest głodny i chce jeść. Wie dobrze, iż kradnąc cokolwiek nadające się do jedzenia. sprzeniewierzał się siódmemu przykazaniu, ale nie kradnąc, żyłby uczciwie, skazując się na śmierć głodową, czyli na samobójstwo, co z kolei kolidowałoby z piątym przykazaniem; w jednym przypadku źle, a w drugim niedobrze – łatwiej było jednak kraść niż umierać z głodu. I poczuł się rozgrzeszony. Żył przecież w takim kraju i w takich czasach, że uczciwą pracą trudno było nie tylko czegokolwiek się dorobić, ale nawet wyżyć. Każdy więc, miejscowy czy przybłęda, **musiał kraść** wszystko, co w tamtejszych warunkach i w tamtych czasach było niezbędne, aby przeżyć. Więc nie tylko kradł to, co nadawało się do jedzenia – **musiał** także kraść drzewo z lasu, bo lasy rosły, ale drewna nie sprzedawano, **musiał** kraść naftę, bo nie dostarczano jej do wiejskich sklepików, a tylko dla traktorów. Kradzież nafty do *контилка*<sup>2</sup> była przestępstwem „zbiorowym”, bo nie każdy miał dostęp do traktorów – trzeba było zaprzyjaźnić się z kimś, co miał dostęp: wtedy on kradł i przekazywał potrzebującemu: po przyjacielsku, albo w zamian za coś. Człowiek miejscowy lub zesłaniec nie musiał kraść tylko powietrza i pitnej wody z jeziora, bo ze „słonego” jeziora czerpać wody nie było wolno.

Ciekawa, oraz w pewnym stopniu i sensie charakterystyczna, była „instytucja” (jeżeli tak to można nazwać) ochrony mienia kołchozowego i państwowego. Pomijając to, że prawie każdy Rosjanin z mlekiem matki wysysa większą lub mniejszą skłonność do donosicielstwa, w kołchozach organizowano grupę *объезчиков* (ochrona konna), których zadaniem było objeżdżać wierzchem kołchozowe pola i odstraszać potencjalnych złodziei, a w wypadku przyłapania na gorącym uczynku – doprowadzić do kołchozowej *канторы* lub zameldować o kradzieży. *Объезчики* na ogół nie zasadzali się na potencjalnych złodziei, raczej swoją obecnością odstraszaali, ale od czasu do czasu przydarzało się im wpaść na amatorów kołchozowej własności – np., wczesną wiosną zbierających kłosa na polu, pogubione podczas ubiegłorocznych zniw, lub zmrożone nie wybierane w jesieni ziemniaki; oczywiście, zmrożone ziemniaki mogły stanowić paszę dla kołchozowych świń, a przezimowane pod śniegiem kłosa – dla kur, ale w czasie wojny kołchozy hodowały minimalną liczbę świń i kur, aby gatunek nie zaginął; kołchoźnicy nie trzymali wcale – nie było czym karmić. W takim wypadku, gdy *объезчик* natknął się na zbierającego kłosa lub

<sup>2</sup> *Контилка* – powszechne tam wówczas urządzenie przypominające lampę naftową. Składała się z niewielkiej blaszanki, nakrytej przepołowionym kartoflem z wydrążonym pośrodku otworem, w który przeciskało się kawałek mocno skręconej szmatki, jako knot; po nalaniu nafty do blaszanki i zapaleniu knota *контилка* dawała trochę światła, sporo dymu i kopcium.

kartofle, to mogło się potoczyć różnie, w zależności od charakteru *объежчика*: ciągnął złapanego nieboraka do kantory, bądź kazał wyrzucić zebrane kłosa lub kartofle, stratował je koniem, a nieborakowi kazał iść precz, albo kazał szybko wracać do domu, nie odbierając niczego. Pod koniec wojny coraz częściej zdarzali się „litościwi” *объежчику* – wszyscy cierpieli niedostatek, i dla bliźnich stawali się bardziej wyrozumiali.



„Drażki” – *ходок*

Do ochrony lasów też byli powołani *объежчики*, lecz nie jeździli wierzchem na koniach, ale na „drażkach” (na *ходке* – zob. rysunek wyżej). Nie zapuszczali się w głąb lasu, ale poruszając się po międzywioskowych drogach obserwowali przyleśny step, a gdy pojawił się na nim jakiś wóz z chrustem leśnym, *объежчик* momentalnie skręcał z drogi i na przełaj pędził do wozu, by się przekonać, czy pod chrustem nie ma ściętego drzewa. Gdy nie było, zamieniał parę zdań z nieco wystrachanym nieborakiem (bo nigdy nie wiadomo, jak się takie spotkanie skończy – chociaż chrust można było z lasu wywozić) i odjeżdżał w swoją stronę. Gdy natomiast znalazł pod chrustem kawałki świeżo ściętego drzewa, to z pechowcem, który wiozł, było źle – konwojowany przez *объежчика* musiał jechać do kołchozowej kantory, zwalić tam drewno (chrust mógł zabrać) i zapłacić dość wysoki mandat. Zwykle taka sprawa kończyła się tym, że za cichym późniejszym przyzwoleniem władz kołchozu (może nie tylko po słownej argumentacji poszkodowanego) pechowiec nocą spod kantory przewoził „swoje” drewno do siebie i starannie ukrywał. Aby takich sytuacji uniknąć ludzie w dzień wyprawiali się do lasu, ścinali drzewo lub dwa i przygotowywali do transportu, a potem pod osłoną nocy przywozili do siebie; ryzyko spotkania *объежчика* było wtedy mniejsze. Zdarzały się jednak wypadki, że dobrze ukryte drewno *объежчик* znajdował (dzięki sąsiedzkiej donosicielskiej uprzejmości); powtarzała się wówczas procedura jak po „nakryciu” złodzieja na przyleśnym stepie.

\*

Doprawdy, bardzo dziwnym krajem było to radzieckie mocarstwo, pierwsze na świecie państwo socjalistycznej demokracji, państwo prawa i porządku, i sprawiedliwości oczywistej, w którym ogromna większość obywateli **musiała** żyć w ustawicznej kolizji z siódmym przykazaniem, aby móc egzystować. I nie jest istotne, czy to przykazanie jest boże, możeszowe, czy Bilalamy<sup>3</sup>,

<sup>3</sup> Bilalama – władca (ok. 1970 r. p.n.e.) i prawodawca niewielkiego państwa-miasta Esznunna w Mezopotamii. (Dla porównania: Hammurapi panował w Babilonii w latach 1728-1686 p.n.e., a Mojżesz ok. 1280 r. p.n.e. wyprowadził Żydów z Egiptu.)

bo jest jedną ze sprawdzonych zasad życia społecznego – nie może być normalne (nie mówiąc o szczęśliwym!) społeczeństwo składające się z samych złodziei. A wystarczyło rankiem lub wczesnym przedpołudniem zimowego dzionka zatrzymać sanie przed jakąkolwiek radziecką wioską, położoną niedaleko lasu, i spojrzeć w niebo nad nią: z każdego komina snuł się dym – mniejszy lub większy. Dla każdego było jasne: w chacie w piecu paliło się drewno, **kradzione drewno**, bo tylko nikłą część zasobów leśnych wycinano (i sprzedawano) z przeznaczeniem na opał. Wszyscy o tym wiedzieli, także ci, co mieli pieczę nad zasobami leśnymi, ale nikt się tym nie przejmował, że ludzie **kradną** drzewo z lasu, każdy był wyrozumiały: co zrobić? Ludzie nie mogą zamarzać.

O zmroku przynajmniej w oknach jednej izby w każdej chałupie rozbłyskiwało światełko i paliło się przez kilka godzin – ludzie musieli przygotować wieczerzę, spożyć ją i ułożyć do snu. Aby to wykonać, trzeba było zapalić *контилку* i przy jej mdłym świetle wykonać te wszystkie czynności; kto niczego nie miał do nalania do *контилки*, musiał na przypiecku palić korę brzożową. Dla nikogo nie było tajemnicą, że ogromną większość wioskowych okien rozświetlały *контилки*, a tylko nieliczne – kora, bo światło *контилок*, chociaż chybotałowe, było bardziej stabilne od światła, jakie dawała spalana kora brzożowa. Stąd prosty wniosek: w większości oświetlonych okien w *контилках* paliła się nafta, **kradziona nafta**, bo od wybuchu wojny z Niemcami nie było jej w sprzedaży. Wystarczyłoby przejść się od chaty do chaty i zapytać o pochodzenie nafty w *контилке*, a następnie sporządzać akty oskarżenia o kradzież nafty. Nikt tego jednak nie robił, chociaż każdy o tym wiedział, i władza też, bo wskutek masowych aresztowań wyludniłyby się wioski, osłabłoby zaplecze frontu. A poza tym, między Bogiem i prawdą: czy można ludzi karać za to, że w ciężkich czasach jakoś dają sobie radę?

**A zatem: czy kradzież w każdych warunkach jest grzechem? Czy w pewnych okolicznościach można liczyć na «dyspensę» od niej?**

\*

Za pan brat obcując z nieprzestrzeganiem siódmego przykazania w czasach wojennego zesłania istniała realna przesłanka, że to nieprzestrzeganie przejdzie w nawyk, że z Sybiru do kraju przyjedzie banda złodziei, bo w myśl porzekadła: *czym skorupka za młodu nasiąknie, tym...* Jednak w zasadzie tak się nie stało – ogromna większość sybiraków, gdy ustały ekstremalne warunki bytowania i można było w uczciwy sposób zdobyć pożywienie i inne rzeczy niezbędne do życia, przestała ukradkiem dzielić się wspólnym dobrem. I chyba nie z bojaźni bożej, lecz z powodu brzydzenia się takim procederem. Oczywiście, nie przyszło to od razu – stąpanie po polskiej ziemi nie miało takiej mocy sprawczej, by zawoszonych łachmaniarzy przemienić od razu, jak za pomocą czarodziejskiej różdżki, w uczciwych, porządnych ludzi. Jeszcze przez pewien czas po powrocie – u jednych dłuższy, u innych krótszy – swędziała ręka i miało się chęć sięgnąć po to lub owo i schować do swojej kieszeni, bo to *niczyje*, spółdzielcze bądź państwowe, i chowało się jak niegdyś w kołchozie czy radzieckiej fabryce. Z czasem jednak następowała refleksja: przecież za te kawałki mięsa sunące na taśmie w zakładzie przetwórczym, pozornie *niczyje*, a schowane do własnej kieszeni, jak i za detale przywłaszczone sobie z taśmy monta-

zowej w jakiejś fabryce, pozornie *bez właściciela* – ktoś jednak odpowiada finansowo, opinia o nim wystawiona jest na szwank, cierpi jego honor, a wreszcie pojawiało się pytanie do samego siebie: czy ten kawałek mięsa lub ten detal z taśmy montażowej jest dla mnie *niezbędny*, czy nie mogę tego nabyć w uczciwy sposób? lub bez niego się obyć? Z biegiem czasu ręka coraz rzadziej swędziała i jeszcze rzadziej wyciągała się po *niczyje*. Niewątpliwie w procesie tym bezwiednie pomagało otoczenie, które w ogromnej swej większości nie było zmuszone do drobnych kradzieży pożywienia, aby przetrwać, a także Kościół przez napomnienia przy konfesjonale; sybiracy bowiem nie zatracili wiary w Boga, mimo, że Bóg ich ciężko doświadczył.

Nie wszyscy sybiracy, przez lata żyjący w kolizji z siódmym przykazaniem, stali się ze wszech miar porządnymi obywatelami po powrocie do Kraju. Niektórzy jeszcze długo po powrocie odczuwali swędzenie ręki, gdy zauważali niestrzeżony *niczyj* drobiazg.

Siódma reguła w zestawie przykazań stanowi: **Nie kradnij**, i ona była najbardziej wystawiona na pokusę w totalitarnym systemie odczłowieczającym. Alternatywą do tej reguły była piąta: **Nie zabijaj**, której ignorowanie jest chyba jeszcze większym grzechem niż ignorowanie siódmej. Dyskusję nad tym, co jest większym grzechem, pozostawmy jednak specjalistom, zaś ja pozostaję przy prymitywnym stwierdzeniu: **gdybym nie kradł, aby przeżyć, ten artykuł nie zostałby napisany.**

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

**Tadeusz Konopacki – Wspomnienie o Witoldzie  
lub Wiktorze Skwarczewskim, synu ziemi podlaskiej,  
ur. w 1870 r., który za działalność patriotyczną w 1902 r.  
został skazany na katorgę i zesłany na Sybir  
bez prawa powrotu do Ojczyzny**

Po zawarciu umowy między emigracyjnym rządem gen. Władysława Sikorskiego, a rządem Związku Radzieckiego w 1941 r. Polacy – zesłańcy Sybiru otrzymali zezwolenie na opuszczenie Syberii, prawo do wstępowania do tworzącej się armii gen. W. Andersa, a tym samym na wyjazd do azjatyckich republik Związku Radzieckiego, gdzie istniały znośniejsze warunki do poprawy nędznego bytu. Na południu było cieplej, a natura mogła sprzyjać w zdobywaniu żywności na rozległych stepach.

Syberyjski posiołek<sup>1</sup> (osadę) o nazwie Južno Wagriński Wostok 98 w obłasti<sup>2</sup> Swierdłowski po 2 latach pobytu, opuściliśmy pod koniec lutego w 1942 r. Pociągiem towarowym (już bez straży NKWD) przejechaliśmy kilkutyśięcną trasę wiodącą przez: Swierdłowski, Czelabiński, Karagandę, Ałma Ate,

---

<sup>1</sup> Ros. *поселок* – osada, osiedle.

<sup>2</sup> Ros. *область* – obwód (jednostka podziału administracyjnego, odpowiednik województwa).

Frunze<sup>3</sup>, Taszkent, Ferganę, Samarkandę i Bucharę dojechaliśmy do Aszchabadu. Następnie już wozami dowieziono nas do stepowej osady oddalonej od Aszchabadu ponad 70 kilometrów, a leżącej blisko granicy z Iranem. Po upływie 10 dni powróciliśmy do Aszchabadu i pociągiem przez kilka dni jechaliśmy na wschód i o poranku dojechaliśmy do Frunze stolicy Kirgizji.

Na stepowym placu przylegającym do kolejowego dworca stały 4 grupy jedno i dwuosiowych wozów zaprzężonych w woły, wielbłądy i konie oraz luźno stojące osły i wielbłądy. Z bratem Józkiem, wiedzeni chłopięcą ciekawości weszliśmy w te grupy ludzi, wozów i zwierząt. Tu z narastającą obawą zauważyliśmy, że Kirgizi spoglądają na nas z pogardą, niektórzy z nich mówili do nas „Urs jaman”<sup>4</sup>. Dopiero po upływie kilku tygodni dowiedzieliśmy się, że te słowa znaczą: Rosjanin jest złym człowiekiem, a nawet wrednym.

Po skromnym posiłku wydanym przez Polską Służbę Sanitarną odbyło się spotkanie przedstawicieli każdego wagonu z urzędnikiem polskiego konsulatu, których poinformowano o dalszej podróży. Około 1500 Polaków podzielono na 4 grupy i kolejno kierowano do już [k. 1] gotowych do drogi zaprzęgów i zwierząt. Nasi rodzice i liczne grono znajomych i sąsiadów z Polski zostali przydzieleni do pierwszej grupy tego dziwnego stepowego transportu. Naszych rodziców i 6 starszych osób posadzono na dwuosiowym wozie zaprzężonym w dwa młode woły, natomiast bracia Paweł i Staszek dosiedli garbatego wielbłąda, a Józio i ja otrzymaliśmy piękne osiołki, które nie posiadały siodeł, a tylko małe kawałki wołtoku. Przed południem długi „wąż” wozów i zwierząt ruszył w drogę wiodącą przez bezkresny step. Nasze osiołki dreptały tuż za przewodnikiem, który jechał na pięknym i dobrze utrzymanym koniu, a nas poniosła ułańska fantazja znana nam z żołnierskich piosenek. Osiołki również okazywały nam zwierzęcą uległość, gdyż ich grzbiety już dawno nie wiozły tak lekkich, bo wychudzonych i bardzo łagodnych jeźdźców. Byliśmy tam bardzo mile zaskoczenie, bo tak przewodnik i woźnice, jak i poganiacze, nas Polaków darzyli życzliwością i chętnie pomagali osobom chorym i starszym.

Po trzech jednogodzinnych nocnych popasach, rano spostrzegliśmy, że na stepowej drodze już pozostała tylko nasza pierwsza grupa. W południe zarządzono popas, co nas „ułańów” bardzo ucieszyło, gdyż odczuwaliśmy już ból odparzonych pośladków spowodowany długą jazdą na oślich grzbietach. Tu od naszej grupy odłączono połowę wozów i skierowano je na w lewo ku widniejącej na rozległej dolinie osadzie. Teraz pomniejszony pierwszy człon naszej grupy, już jako ostatni, ruszył ku dolinie, która leżała u podnóża wysokich i ośnieżonych gór. Nasze osiołki szły obok siebie i tuż za jadącym na ładnym koniu przewodniku. Przewodnik, pięknym głosem zaczął śpiewać bardzo dziwną, bo jak gdyby wyjąca, a przy tym i skoczną melodię. Słuchaliśmy go z uwagą, gdyż jego miły głos śpiewanej stepowej piosence wskazywał na to, że jest mu wesoło.

Po pochyłej drodze w dół, kolumna przyspieszyła dotąd monotonne tempo jazdy, tylko wozy ciągnięte przez woły, wyraźnie pozostawały z tyłu. Nagle nasz przewodnik ruszył galopem, a nasze osiołki truchcikiem poszły za nim, więc całą uwagę skupiliśmy na tym, żeby nie spaść z ich grzbietów. Przed nami

<sup>3</sup> Nazwa Biszkeku w latach 1926-1991 nazwanego tak na cześć komunisty Michaiła Frunzego urodzonego w tym mieście w 1885 roku.

<sup>4</sup> Z kirgiskiego *орус жаман* dosł. Rosjanin jest zły.



ukazała się grupa jeźdźców na koniach, wśród których dreptały trzy objuczone osiołki. Zbliżaliśmy się do nich w dużym tempie i spotkaliśmy się z nimi w odległości około dwóch kilometrów [k.2] od osady. Jeźdźcy hałaśliwie przywitani się z przewodnikiem, a następnie rozdzielili się i pogalopowali do wolno jadącej kolumny. Nas powitał Kirgiz w średnim wieku, ale nie jego mowa łamanym rosyjskim językiem, lecz trzymany w ręku placek skupił na sobie naszą całą uwagę. Kirgiz spojrział na nas dobrotliwie, wyciągnął ku nam rękę z trzymanym plackiem i powiedział:

– Na, twaja bieri. Nu, bieri i twaja kuszaj. Wy malczyki, wy bieri i kuszaj lepioszku. Lepioszka charoszaja, nu bieri<sup>5</sup>.

Józio pierwszy wziął do ręki zarumieniony krążek dziwnego placuszka, którego wielkość dorównywała powierzchni dwóch złączonych dłoni dorosłego człowieka. Teraz ja łakomie spoglądałem na to, co w ręce trzymał braciszek, ale dobry Kirgiz zaraz trącił mnie w ramię i z pełnym szczeroci uśmiechem, ofiarował mi taki sam krążek stepowego chleba. Chwyliłem podany mi placek i z grzecznym pokłonem, po rosyjsku wypowiedziałem słowa podziękowań, a następnie z niedowierzaniem patrzyłem na tak smakowicie pachnący krążek. Placek wyglądał jak ten obwarzanek z odpustowego kramu w Polsce, tylko że jego środek wypełniała cienka warstwa pikowanego ciasta.

– Nu, kuszaj, ty Malczyk lepioszku kuszaj, eto charoszaja, nu ty poruszaj wsjo<sup>6</sup> – życzliwie zachęcał dobrotliwy Kirgiz.

Drżącymi z wrażenia palcami przełamane krążek i ugryzłem duży kęs, a rozdrabniany w ustach, jego wspaniały smak i zapach stałe się potęgowały. Boże drogi! Jak to fajnie smakuje, a ten smak przypomina mi mamafęgę z drobno zmielonej kukurydzy oraz pyszności zawarte we wszystkich kaszach i mące. Kirgiz widząc nasz podziw dla ich smakowitego pieczywa, mile do nas się uśmiechnął i jeszcze obdarował nas po gałce suszonego sera o wielkości gęsiego jaja, po czym wsiadł na konia i odjechał do zbliżającej się kolumny wozów. My, radosnym spojrzeniem porozumieliśmy się bez wypowiedzenia nawet jednego słowa i nie korzystając z osiołków, pobiegliśmy do wozu, na którym jechali nasi rodzice.

Mama nas już wypatrywała i nawoływała, żeby dać nam po kawałku lepioszki, a te jej kochane i zawsze głodne urwisy, jakoś się zagubiły w tej rozwlekłej karawanie. Tym, że od niej niczego nie chcemy, a jeszcze dajemy duże kawałki [k.3] lepioszki i dwie gałki suszonego sera, była bardzo zaskoczona i wzruszona. W oczach mamy pokazały się łzy szczęścia, gdyż dopiero tu, na tym obcym i gołym stepie, jej dzieci miały dosyć chleba. Takim okruczem ludzkiej życzliwości został dokonany wspaniały gest przez mieszkańców kołchozowej osady, która nazywa się Majdamtał<sup>7</sup>. Tu, na tym tułaczym i zagubionym w stepie szlaku, witali nas życzliwi oraz gościnni ludzie. Ci, jeszcze nieznanymi nam ludźmi, każdą Polską rodzinę obdarowali stepowym chlebem, trzema gałkami suszonego owczego sera i czterema kilogramami pszennej mąki.

<sup>5</sup> Tekst wpisany błędnie w języku rosyjskim tu: „No bierz to twoje, bierz i jedz swoje. Chłopcy bierzcie i jedzcie lepioszkę (rodzaj chleba wypiekanego z mąki, wody i tłuszczu bez dodatku drożdży). Lepioszka jest smaczna, bierzcie”.

<sup>6</sup> Jw. „No, jedź chłopcze lepioszkę! To dobre! Zjedź wszystko!”.

<sup>7</sup> Dzisiejsza nazwa ani położenie wspomnianej miejscowości nie zostało ustalone.

Do gościnnej osady przyjechaliśmy po trzydziestogodzinnej podróży i tu wszystkim tułaczom zapewniono dach nad głową. Naszej rodzinie przydzielono małą lepiankę, za którą przepływał płytki rów nawadniający pola i dostarczał pitną wodę. Lepianka była zbudowana z kamieni i glinianej mieszanki ze stepową roślinnością. Jednoizbowa lepianka, swoją powierzchnią nie przekraczała 12 metrów kwadratowych, a jej wysokość nie przekraczała 180 cm. Do wnętrza lepianki prowadziły małe sztachetowe drzwiczki o wymiarach 60 x 130 cm. Po prawej stronie na wysokości drzwiczek był mały otwór, który spełniał rolę okna i wywietrznika, przez który podczas dnia słoneczne promienie ogrzewały jego wnętrze. Podłoga składała się z glinianego podłoża i kilku warstw równo rozprowadzonego i wyschniętego krowiego łajna. Tak nałożone warstwy naturalnego surowca, po wyschnięciu stanowiły doskonałą izolację od podłoża i nie wydzielaly już żadnej przykrej woni, więc dało się żyć. Jak wstępnie ocenił nasz ojciec: „w Polsce, takie dziwo kompromitowałyby nawet skrzywdzonego przez los pogorzela, a tu zapewniało schronienie i spokój”. Z tej sytuacji najbardziej zadowolona była nasza mama, bo nareszcie skończyła się męcząca jazda na podskakującym na stepowych wertepach wozie, a jej dzieci już nie musiały odparzać chudych tyłków na oślich i wielbłądzich grzbietach. Cieszyło ją również i to, że ta mała lepianka była starannie pobielona prawdziwym wapnem, co zapewniało czystość i brak robactwa. O połowę mniejszą lepiankę dano starym i schorowanym Żydom, którzy teraz byli naszymi sąsiadami. Korzystając z bliskości i zasobności strumyka, Paweł sprawnie zorganizował nam polowy system kąpeli oraz trzepanie odzieży.

Po godzinnym pobycie w lepiance, odwiedził nas Kirgiz, ten sam, który na drodze częstował nas lepioską. Kirgiz, pozdrowiwszy tatę, przedstawił się jako prjedsjedatel<sup>8</sup> (zarządca) kołchozu a mówiąc stale świdrował wzrokiem nasze tobołki i skromny dobytek. Jego uwagę [k.4] skupiło blaszane wiaderko, które wskazując nam ręką, powiedział:

– Nu, wot da. Wy malczyki bieri etoja i poszoł za mnoj, mają wam łapszu<sup>9</sup> dam. Wy budjetje kuszał. Ponimajesz?

Prjedsjedatel wypowiadając „kuszał”<sup>10</sup>, otwierał usta, a następnie głośno siorbał. Staszek w mig pojął, co on chce nam przekazać, a także do czego zaprasza prjedsjedatelj kołchozu. Wziął wiaderko i poszedł do strumyka, by go starannie wypłukać. W tym samym czasie, Kirgiz wskazując na Józia i mnie wyprowadził nas z lepianki, my od Staszka wzięliśmy wiaderko i posłusznie poszliśmy za władzą kołchozu. Kirgiz prowadził nas na północny skraj osady, więc mijaliśmy chałupinki bardzo podobne do naszej lepianki, a także i to, co wzbudzało nasz podziw po wjeździe na step, a teraz mogliśmy je nawet dotykać, okrągłe jurty. Przy lepiankach i jurtach płonęły ogniska, na których Kirgizki gotowały strawę. Paleniska były zbudowane z pomysłowo ułożonych kamienie, a nad płomieniem zwisały lub leżały na kamieniach, różnej wielkości naczynia podobne do garów i mis.

<sup>8</sup> Ros. *председатель* – przewodniczący.

<sup>9</sup> Ros. *лапша* – dosł. makaron lub zupa z makaronem.

<sup>10</sup> „Tak to. Chłopcy weźcie to i chodźcie za mną. Dam wam łapszy. Będziecieje-dli. Rozumiesz?”.

Zatrzymaliśmy się obok okazałej lepianki, przy której płonęło ognisko z wiszącym nad nim dużym kotłem. Ognisko doglądały trzy młode kobiety, które były odziane w pasiaste okrycia i długie kwieciste spodnie, a spod okrągłych czapeczek zwisały im na plecy, czarne, grube i bardzo długie pojedyncze warkocze.

Kobiety wokół Kirgiza zachowywały się z szacunkiem i starannie mieszały gotującą się oraz pachnącą zawartość kotła. Wkrótce za nami ustawiła się długa kolejka rodaków, którzy byli systematycznie doprowadzanie przez miejscowych wyrostków. Kirgizi, między sobą prowadzili rozmowy w niezrozumiałym dla nas języku, ale z ich tonu, zachowania i spojrzeń, odczuwaliśmy okazywaną nam życzliwość i współczucie.

Jedna z kobiet podeszła do nas, wzięła wiaderko, do którego przy pomocy drugiej kucharki naląła pachnącej i gęstej stawy. Kiedy wiaderko znalazło się w naszym posiadaniu, Kirgiz wskazał nam kierunek do naszej lepianki, a my z pokłonem spełniliśmy jego gest. Mama z radością rozdzielała przyniesioną strawę tutejszych ludzi, którzy nazywali ją „łapsza”. Według oceny naszej mamy, ci gościnni Kirgizi obdarzyli nas ponad czterema litrami pysznej i pożywnej stawy. Ta azjatycka stawa składała się z cienko rozwałkowanego i pokrojonego w kwadraciki ciasta, ugotowanego w tłuszczu razem z rozdrobnionym baraniną mięsem.

Rano, wszyscy dorośli Polacy zostali zwołani na zebranie, które [k. 5] odbyło się na wolnym powietrzu, a właściwie na równo wyłożonym glinianym placyku. Cała powierzchnia tego placyku przypominała nam gospodarskie klepisko w Polsce. W pobliżu i wokół tego placyku znajdowały się liczne kopczyki butwiejących plew i odpadów polowych upraw. Na pięknym osiodłanym koniu przyjechał zarządca kołchozu, który po zejściu z konia i przekazania go młodemu Kirgizowi zbliżył się do zebranych i przez krótki czas przyglądał się stojącym Polakom, a następnie rozpoczął swoje przemówienie. Jego słaba znajomość języka rosyjskiego, była znacznie bogatsza od wiedzy prezentowanej w Aszchabadzie przez Turkmenów i dzięki temu, każdy w miarę dobrze zrozumiał to, co Kirgiz do nich mówił:

– Ja jestem zarządcą tego kołchozu, nazywam się Cygandyk, a nasz kołchoz Majdamtał. Naszym najbliższym sąsiadem jest kołchoz o nazwie Italia. Do tego kołchozu jest 6 kilometrów, a w odległości następnych 10 kilometrów znajduje się duży kołchoz, który nazywa się Sauron. Tam w kołchozie Sauron jest poczta, jak będą jakieś pisma albo listy, to listonosz szybko przywiezie na wielbłądzie. Nasz oraz inne sąsiadujące z nami kołchozy podlegają władzy rejonu i obwodu, a siedzibą tych władz jest miasto Frunze. Jak już wiecie do Frunze prowadzi ta droga przez pagórki i step, a jej długość wynosi 81 kilometrów. Nasz kołchoz jest ostatnią miejscowością leżącą przed tymi wysokimi górami, które graniczą z Chinami. Do zadań naszego kołchozu należą: uprawa pszenicy, kukurydzy, jęczmienia, bawełny, kawonów<sup>11</sup>, melonów i tytoniu oraz wypas dużych tabunów koni i wielbłądów, a także stad owiec. Wszystkie pola są uprawiane systemem nawadniania i w związku z tym, wszyscy mieszkańcy

---

<sup>11</sup> Kawon – arbuz, słowo charakterystyczne dla przedwojennej polszczyzny Małopolski i Kresów Wschodnich, od tureckiego *kawun* – melon.

są zobowiązani do wykazywania troski o stałe funkcjonowanie głównych kanałów i rowów doprowadzających wodę do pól. W tych górach i nad strumieniem rosną krzewy i kilkadziesiąt drzew, których nikomu nie wolno łamać lub ścinać. Gałęzie z krzewów i drzew są używane tylko jako materiał do budowy tam, które spiętrzają wodę i doprowadzają tam, gdzie jest potrzeba. Wszyscy przybyli do nas ludzie będą zatrudnieni przy kopaniu nowych kanałów i rowów oraz przy pogłębianiu i poszerzaniu tych, które już są. Za swoją dobrze wykonaną pracę, każdy otrzyma taką samą zapłatę jak moi kołchoźnicy, ale pod warunkiem, że pracę wykona zgodnie z obowiązującą normą. Oddane wam w użytkowanie lepianki w naszym języku nazywają się kibitkami i są własnością tych pasterzy w górach i na stepie, więc o te kibitki należy dbać. [k. 6] Już wkrótce będziecie mogli zbudować własne kibitki, a moi ludzie pomogą wam i nauczą jak zdobywać opał, jak należy posługiwać się w stepie ogniem i jak należy zachowywać się w stepie i w górach. My Kirgizi już wiemy, że wy nie jesteście Rosjanami, również wiedzą i to, że przybywacie z dalekiego kraju. W naszym kołchozie jest jeden grażdanin (obywatel), który to niby jest ruski, a ruski nie jest, bo jak mówi nam o sobie, to on należy do waszego narodu. Tego grażdani-na każdy tutejszy człowiek dobrze zna i poważa go jak swojego. Ten nasz i wasz grażdanin już wkrótce powróci z gór, to wami się zajmie i na pewno dużo wam pomoże.

Zaraz po przemówieniu zarządcy nastąpił podział ludzi na brygady, ale dopiero po dokonaniu wstępnej oceny wyglądu i kondycji fizycznej. Zapadał kolejny azjatycki wieczór. W małej lepiance, bez ławki, stołu, pryczy, łóżka i jakiegokolwiek półki, jak w bez meblowej klatce siedzieliśmy w kucki, albo leżeliśmy na boku na badyłach bawełny i z uwagą słuchaliśmy tego co mówił nam ojciec.

– Jak już wiecie, moi synkowie, nędza ma swoje liczne rodzeństwo. Nędza syberyjska jest bardzo zimna, zachłanna i bezlitosna. Natomiast nędza azjatycka musi być jej młodszą siostrą. Tutejsza nędza też jest okrutna, a od syberyjskiej różni się tym, że ona jest cieplejsza, ale my jeszcze nie wiemy jaka okaże się gorąca. Jednak najważniejsze, że ona jeszcze nie zdążyła popsuć tych dobrych ludzi i pozbawić ich wrażliwości na naszą niedolę. Więc, moje dzieci, już od dzisiaj będziemy Pana Boga gorąco prosić, żeby ta, azjatycka nędza pozostała taką, jaką jest. Sami widzicie, że już po trzech minionych dniach pobytu w tym kołchozie, wszyscy poczuliśmy ludzką życzliwość i ofiarność tych ludzi w niesieniu nam pomocy. Toteż powinniśmy o tym pamiętać, że oprócz otrzymanej tu pomocy, zawsze i wszędzie będziemy sami sobie pomagać, tak zwyczajnie, jak brat bratu, jak Polak, Polakowi.

Tę, tak interesującą wypowiedź taty, nagle przerwały dolatujące odgłosy kaszlu i szmery, a już po chwili wszedł nasz sąsiad, stary Żyd. Zasapany starszek chciał tacie coś powiedzieć, ale był tak zmęczony i czymś mocno wzruszonym, że nie mógł nic powiedzieć. W tym samym czasie przez mały otwór, do wnętrza lepianki wcisnęła się mocno pochylona postać olbrzyma. Olbrzym kucną i korzystając ze światła lampy naftowej przez chwilę bacznie przyglądał się naszemu tacie. [k.7]

Przybysz był bardzo wzruszony, więc wolno i drżącym głosem zaczął mówić po polsku.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dobry wieczór wam, moi drodzy, moi polscy bracia.

Przybysz z trudem powstrzymywał wzruszenie, ale łzy i tak obficie spływały po jego starczej twarzy. Ojciec przesunął się bliżej przybysza i zapytał.

– Człowieku! Kto ty jesteś i dlaczego płaczesz?

Przybysz wcale nie wstydził się swoich łez, a patrząc na tatę głośno i wyraźnie powtarzał.

– Bracie! Ja też jestem Polakiem! Ja jestem takim samym Polakiem jak ty, mój bracie! Ja z krwi i kości jestem Polakiem, jak i wy, moi drodzy rodacy! Moi kochani bracia!

Najpierw podali sobie dłonie, a już po chwili, siedząc w kucki, bo ze względu na niską kibitkę, nie mogli stanąć na nogach, trzymali się w objęciach. Tak los połączył dwa strapione polskie serca i dusze, które okrutnie doświadczone przez los, teraz się odnalazły, aż na stepie dalekiej Kirgizji. Ze względu na panującą w lepiance ciasnotę, wzruszony tym niezwykłym wydarzeniem stary Żyd wyszedł i razem ze starym współlokatorem poszli do swojej kibitki. Natomiast uszczęśliwiony spotkaniem z rodakami przybysz, zaczął szczerze i wylewnie mówić o sobie.

– Ja nazywam się Skwarczewski<sup>12</sup>, urodziłem się koło Białegostoku w 1870 roku i mam już 70 lat. 40 lat temu, bo w 1902 roku zostałem aresztowany i skazany na katorgę. Byłem bardzo daleko na wschodzie, i chociaż tam w kopalni było mi bardzo ciężko, to dzięki Panu Bogu, jakoś zostałem przy żywych. Potem, zaraz po wybuchu wojny z Japończykami był nabór do wojska, więc zgłosiłem się na ochotnika. Tamta wojna była bardzo ciężka i krwawa, ale za odwagę, celne oko i silne ręce zostałem ulaskawiony, a potem skierowano mnie do Taszkontu. Rewolucja bolszewicka, też nie była dla mnie łaskawa, bo aż dwa razy prowadzili mnie na rozstrzelanie, ale łaska Pana Boga zawsze była przy mnie, więc dzięki temu ocalałem. Już od dziesięciu lat ja jestem w tym kołchozie. Moja żona z pochodzenia jest Rosjanką, mamy jedyną córkę i kochanego wnuka, taki sam jak o ten – wskazał na mnie. – Moja żona pracuje przy hodowli kołchozowych świń, a ja poluję tam w tych wysokich górach, a upolowane mięso dostarczam dla władzy rejonu we Frunze. W tych wysokich i rozległych górach jest dużo dzikich świń i innej zwierzyny, a do polowania mam strzelbę i dwa konie. [k. 8] Teraz wam powiem, że tutejsi ludzie nie lubią Rosjan, ale oni z natury są dobrzy, tylko ich wiara jest inna niż nasza. Ich wiara dla nas ma wiele bardzo trudnych do zrozumienia praw oraz obyczajów. Mnie i moją żonę oni nawet lubią, ba nawet szanują. Tylko nikt z tych ludzi nam nie poda ręki. Ta sytuacja nie wynika z jakiś tam zawiści, czy obrazy, a tylko z ich religii, która surowo zabrania jeść wieprzowinę, jak również dotykać tego, kto je lub dotyka świnie. Oni również cenią nas za to, że my tych świń doglądamy, a tym samym wyręczamy ich od obowiązku, który stoi w sprzeczności z wiarą.

---

<sup>12</sup> Nazwisko Skwarczewski nie występuje obecnie w pobliżu Białegostoku. Według objaśnień zawartych w pracy Jana Bystronia, a dotyczących się nazwiska „Skwarczewski” jest ono spolonizowanym nazwiskiem ruskim „Skwarczenko”. Można choćby na tej podstawie domniemywać, iż bohater powyższej opowieści urodził się na obszarze pozostającym obecnie poza granicami Polski, a jednocześnie w pobliżu Białegostoku np. na Grodzieńszczyźnie; J. S. Bystron, *Nazwiska polskie*, Warszawa 1993, s. 139

Bo jak widzisz mój bracie, tak czy inaczej, ten kołchoz musi hodować świnie i rocznie odstawać do rejonu około tony żywca, bo taki jest deputat. Jak wam już mówiłem, ci ludzie są dobrzy i gościnni, ale niechaj Bóg broni tego, kto Kirgizowi wejdzie w drogę. Najbardziej są wrażliwi na stare obyczaje obchodzenia się z kobietami, potem są sprawy religijne, a dalej, to oni nie mają żadnej litości dla złodzieja. Oni, zanim komuś zaufają, przedtem wystawią go na próbę, a robią to bardzo chytrze i po kilka razy. Kirgizi swoich kibitek ani jurt nigdy nie zamykają, a każdego przybysza przyjmują i ugoszczą.

Rodak na chwilę przerwał swoją wypowiedź i głęboko się zamyślił, a po chwili mówił dalej.

– Ja wam już tyle nagadałem, a teraz proszę powiedzcie wy. Mówcie mi dużo o sobie, mówcie mi o mojej ukochanej Polsce i tak mojemu sercu bliskiej ojczyźnie. Jak już wiecie, ja jej lat 40 nie widziałem, a moje serce i dusza są tak bardzo stęsknione, że w środku boli i mocno ściska, a w gardle tak dławi. Oj tak ściska i dławi.

Po tej wypowiedzi rodaka Skwarczewskiego, zaczął mówić nasz ojciec. Mówił o sobie, a następnie o ziemi i kraju ojczystym, który przez lat 20 był wolny, syty i pełen nadziei na przyszłość. Teraz nasza ojczyzna jest zboczona krwią bohaterskich Polaków, cierpi niewolę, ale wytrwale znosi obce kajdany, a nasz polski żołnierz znowu przystępuje do walki o jej niepodległość.

Opowiadanie taty było barwne i rzeczowe, ale ostrożne, bo kto może wiedzieć, co mówić żeby nie popełnić błędu, który może drogo kosztować. Jednak przybysz okazał się uważnym i wrażliwym słuchaczem, więc wszystko dokładnie zrozumiał. Pan Skwarczewski serdecznie dziękując, wyraził przekonanie, że jeszcze nie raz będzie prosić o dalsze i tak jego sercu miłe rozmowy. Teraz rodak zwrócił się do naszej mamy.

– Siostró. Na nasze pierwsze i tak miłe spotkanie, ja tobie w [k. 9] podzięczę przyniosłem mały poczęstunek, ot taki z gór.

Rodak nie wstając przesunął się bliżej drzwi, a po ich otwarciu ręką sięgnął po coś, co leżało na zewnątrz, tuż przy ścianie lepianki. W taki oto, niespodziewany sposób staliśmy się posiadaczami prawie trzech kilogramów świeżych wnętrzości i czterech nóżek z upolowanej w górach dzikiej zwierzyny. Rodak opuszczając lepiankę, jeszcze raz rodzicom serdecznie podziękował, a na nas chłopaczków mile spojrział. Pan Skwarczewski wyszedł w towarzystwie taty, z którym jeszcze przez kilkanaście minut rozmawiał na osobności.

Nasz wspaniały rodak Skwarczewski, swoim autorytetem sprawił, że Kirgizi z tego kołchozu i innych osiedli, dla nas Polaków stali się przyjaźni, a nawet bardzo pomocni w znoszeniu bólu tułaczkiej niedoli. Ci, zniewoleni przez imperium carów, a teraz przez bolszewizm Azjaci nie stracili uczucia niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Natomiast tą osobą, która zrozumienie i zgodne współdziałanie miejscowych Azjatów – islamistów z Europejczykami – chrześcijanami z powodzeniem rozwijał i utrzymywał. Jednak rzadko, ale powstające nieporozumienia na styku obyczajów i religii, skutecznie łagodził. Nam, polskim dzieciom kazał zwracać się do siebie dziadku, co go bardzo cieszyło i łagodziło tęsknotę za rodzinną ziemią i za ojczyzną.

Nasz rodak Skwarczewski uratował życie naszemu ojcu i bratu oraz kilkudziesięciorgu Polaków, którzy odmówili podpisania obywatelstwa radziec-

kiego zaraz po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez ZSRR z polskim rządem na emigracji. Ci, którzy posłuchali rady rodaka Skwarczewskiego – przeżyli, a następnie już w szeregach 1. Dywizji gen. Zygmunta Berlinga przeszli szlak bojowy od Lenino do Berlina. Natomiast osoby w starszym wieku, kobiety i dzieci w 1946 roku powrócili do ojczyzny, a obecnie należą i aktywnie uczestniczą w Związku Sybiraków.

Po wielu latach w rozmowie z ojcem dowiedziałem się, że nasz wspomniały „dziadek” i rodak Skwarczewski zginął tragicznie na polowaniu w Górach Kirgiskich w 1945 roku.

Szanowni Państwo, mieszkańcy Białegostoku i okolic. My bracia Józef (ur. 1930) i Tadeusz (1932) Konopacy spełniamy obowiązek poinformowania Państwa o tragicznych losach zesłańca Sybiru, katorżnika, człowieka o zwyczajnie ludzkim sercu, o Polaku i patriotcie.

\*\*\*

**Tadeusz Konopacki**, syn osadnika wojskowego, ur. 1932 roku w Żelechowie k. Kamionki Strumiłowej w woj. tarnopolskim. Deportowany wraz z rodziną 10 lutego 1940 roku do rejonu sierowskiego w obwodzie swierdłowskim. Na mocy umowy Sikorski-Majski podobnie jak tysiące Polaków znajdujących się na terytorium ZSRS, objęty „amnestią” i zwolniony ze ścieposielenija. Rodzina Konopackich przeniosła się wówczas do Kirgizji, a w lipcu 1942 roku wraz z armią gen. W. Andersa ewakuowała się do Persji. Tadeusz Konopacki podjął tam naukę w szkole junackiej. Wiosną 1943 roku trafił do Obozu Cywilnego w Oudtshoorn w Południowej Afryce, gdzie przebywał do 1948 roku, następnie powrócił do Polski. W powojennej Polsce podjął służbę w Marynarce Wojennej awansując ostatecznie do stopnia komandora. Obecnie mieszka w Ustce.

Maszynopis relacji pochodzi ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru,  
O. Muzeum Wojska w Białymstoku; oryginał sygn. DBZiD/W/47

\*

### **Edward Poważynski – *Z zapisków Sybiraka, żołnierza Brygady Karpackiej***

Zostałem aresztowany w nocy 24 marca 1940 roku i osadzony w więzieniu w Słonimie, jak wielu moich kolegów licealistów. Byłem tam do 10 lipca tegoż roku, następnie przewieziono mnie do Orszy w ZSRR, gdzie w trzech celach spędziłem około 7 miesięcy, aby w początkach lutego 1941 usłyszeć wyrok: pięć lat ciężkich robót w obozie. Mnie i moich towarzyszy zawieziono około 300 km za Wołgę. Tam dostałem się do dość dobrego, jeśli chodzi o warunki, obozu i pracowałem przy wyrębie lasów. Praca, jeśli się zważy moje 19 lat i roczny pobyt w więzieniu, była ciężka dla mnie. W maju zachorowałem na zapalenie jelit, z którego wyszedłem prawie cudem. Stało się to tylko dzięki pielęgniarce, Rosjance z Moskwy, która nie wiem skąd przynosiła mi świeże mleko i, co ciekawe ... mandarynki.

Tak oto dzięki tej Rosjance wyszedłem ręką Opatrznościową stamtąd, skąd się nigdy nie wraca. Przeleżałem w obozowym lazarecie okrągły miesiąc. W dwa dni po wypisaniu mnie ze szpitala wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka,

a 14 lipca była już wiadomość o naszej amnestii, chociaż smaku tego owocu nie mogliśmy jeszcze spróbować. Dopiero 28 sierpnia pierwszych 92, wśród nich i mnie, wypuszczono za bramę. Opisać tego wzruszenia nie jestem w stanie. Setki razy przechodziłem przez tę bramę, ale tym razem czułem, że jest ze mną Anioł Stróż.

W połowie września, po długiej wędrówce przez całą Rosję, przywędrowałem do kolchozu w Kazachstanie, gdzie była cała moja rodzina. Tam spędziłem zaledwie trzy miesiące, bo na cztery dni przed Bożym Narodzeniem wyruszyłem do formującej się w ZSRR Armii Polskiej, tworzonej przez generała Władysława Andersa. Niestety, nie był to czas odpowiedni na wędrówkę. Szedłem piechotą przez pusty step w czasie szalejącego buranu, czyli burzy śnieżnej. Do stacji miałem 60 wiorst. I znowu dzięki Opatrzności cudem uniknąłem śmierci. Dobrnąłem do stacji siny i skostniały, ale odniosłem zwycięstwo. Zwycięstwo woli, wysiłku i stanowczości.

Po kolejnej długiej wędrówce na południe Rosji, do Uzbekistanu, a było to 11 lutego 1942 roku, zostałem wcielony do wojska i przydzielony do artylerii przeciwlotniczej. Znalazłem się w obozie Guzał. Tam nieomal cudem udało mi się uniknąć epidemii tyfusu, która dziesiątkowała nasze szeregi. Wreszcie w marcu opuściliśmy Guzał, a 2 kwietnia wysiedliśmy na perski brzeg w porcie Pahlewi. Stąd wyruszyliśmy w kierunku Teheranu.

Przejazd przez niebotyczne perskie góry wbił mi się w moją wyobraźnię. Jechaliśmy w wozach ciężarowych, którymi kierowali Persowie, bo tylko oni byli zdolni przejechać tę karkołomną drogą. Świtało, a myśmy się wspinali coraz wyżej i wyżej. Ostre zakręty i niekończące się serpentyny były nieodstępnymi towarzyszami naszej podróży.

Czasami na postoju patrzyłem w dół, ku przepaści, ku zboczom górskim, ze strumieniami na skalistych kataraktach. Brzegi strumieni porastały sady owocowe, bieleły się wśród nich dachy chat tubylczych. W górze ponad nami piętrzyły się zwietrzałe skały, które, zda się, czekały tylko, by stoczyć się i zgnieść taką małą kruszynę jak nasz samochód. A jednak fortuna nam sprzyjała, bo los zaoszczędził nam takich niespodzianek. Czasami, gdy zmęczony samochód pił chciwie wodę i benzynę na postoju, rozmawiałem po rosyjsku z Persami o ich życiu i obyczajach.

Coraz bliżej Teheranu zaczęliśmy zjeżdżać w dół, by po pewnym czasie ujrzeć, w kotlinie między dwoma szczytami, skąpane w słońcu i zieleni miasto. Tu otrzymałem swój pierwszy żołd (15 tumanów). Oglądaliśmy miasto, objadaliśmy się owocami, ach, jakże nam smakowały po czarnym chlebie obozowym. Staliśmy w Teheranie około miesiąca. Było coraz cieplej. Zmieniliśmy ciepłe ubrania na drelichowe.

Potem przenieśliśmy się do Avhosu, małego perskiego miasteczka, i tam dopiero poznałem, co to znaczy upał! Temperatura dochodziła do 70 stopni Celsjusza, powietrze paliło jak ogniem. Dopiero po godzinie 6. wieczorem rozpoczął się ruch. W Avhosie po raz pierwszy widziałem rzekę Tygrys, jej żółte, muliste wody leniwie zmierzające do Zatoki Perskiej.



Gdy opuściliśmy Ahvos, nad Zatoką Perską zostaliśmy załadowani na duży okręt i wypłynęliśmy na Ocean Indyjski. Na okręcie zachowywano środki ostrożności w obawie przed nieprzyjacielskimi łodziami podwodnymi. Każdy z nas dostał pływaki ratunkowe. Po kilku dniach przyплыliśmy do portu Aden u wejścia do Morza Czerwonego. Po naszej lewej burcie widniał na horyzoncie brzeg afrykański. Po parogodzinnym postoju wplyliśmy na Morze Czerwone, które tak naprawdę jest szafirowe. W miarę zbliżania się do Kanału Sueskiego środki ostrożności zaostrzały się, Niemcy bowiem stali niedaleko Aleksandrii, ale jakoś szczęśliwie dobrnęliśmy do Suez. Była to Afryka, ziemia egipska, królestwo piramid i sfinksów...

Po wylądowaniu się z okrętu w Egipcie przesiedliśmy się na samochody ciężarowe. Ze swoim skromnym plecakiem usadowiłem się na przodzie, by móc podziwiać krajobraz. Ale mogłem podziwiać tylko ciemną egipską noc. I ciemne pasy po obu stronach, w których domyślałem się lasów palmowych.

Po odpoczynku w obozie przejściowym, gdzie dostaliśmy ciepły posiłek (ja odpoczywałem tylko w połowie, na mnie bowiem wypadło pełnienie służby) wyruszyliśmy do Palestyny. Olbrzymia karawana wozów ciągnęła się czarną asfaltową szosą wśród rozpalonej, żółtej pustyni. Jak okiem sięgnąć, lotne piaski, wysokie wydmy, które wiatr rzeźbił swym dłutem. Gdziegdzie samotne palmy ze spiekłymi od żaru liśćmi. Mijaliśmy tylko długie karawany wielbłądów, powiązanych sznurami za uzdy, idących wolno i kołyszących się jak okręty. Od czasu do czasu siedzący na grzbiecie zwierzęcia Arab nucił monotonną melodię Wschodu i znów cicho, i znów tylko pustynia... Ciało zraszał obfity pot, na głowach mieliśmy tropikalne hełmy, chroniące nas przed udarem słonecznym, a na twarzach, kompozycję pyłu pustynnego i wilgoci...

Jedną noc przebywaliśmy w szczerzej pustyni. Zmarłem wówczas straszliwie, mimo okrycia się dwoma kocami i płaszczem, jak za dobrych syberyjskich czasów. Noc była pełna gwiazd, słyszało się wycie szakali, które podeszły dość blisko, jakby chcąc uprzyjemnić nam sen pod gołym niebem, sen na pustyni. Przypomniał mi się wówczas *Ojciec zadżumionych* Słowackiego. Niedaleko stąd, koło miasteczka Gaza, Słowacki odbywał swoją kwarantannę i tam usłyszał dzieje ojca zadżumionych.

Następnego dnia, zabrawszy zapas wody z pobliskiej miejscowości do worków brezentowych (mają one tę właściwość, że nasiąkają, dzięki czemu woda w nich, poddana działaniu pędu powietrza, staje się zimna jak lód), dobiliśmy do obozu Chil w Palestynie. Rozlokowaliśmy się pod namiotami. Życie tu było naprawdę żołnierskie. Poza szkoleniem, pełniliśmy warty, chodziliśmy do kina obozowego, piliśmy mnóstwo wody sodowej i zjadali sterty pomarańczy i winogron. Ledwie mi na to starczał mój skromny żołd. Wkrótce zostałem wcielony do Brygady Karpackiej, do Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, który rezydował w obozie Bejdzirdzice.

Znalazłszy się w Egipcie, nie sposób było nie zobaczyć piramid. Wyjechaliśmy rano. Słońce właśnie wychylało się zza połączonych kopuł minaretów, a muezzin rozpoczynał nawoływanie do modlitwy, gdy wsiadaliśmy do wozów. Nasz dowódca usiłował dobić targu z przewodnikiem arabskim, ale uznaliśmy, że nie będzie on nam potrzebny. Po chwili nasz wóz jak wąż zaczął się przeciskać przez wąskie i zgiełkliwe ulice Kairu, przy akompaniamencie błagalnych

i agresywnych okrzyków umorusanych dzieci arabskich: sahib, bakszysz! Rzucaliśmy im biskwity i papierosy. Okrzyk „sahib, bakszysz” jest nieodłącznym towarzyszem każdego cudzoziemca nie tylko w Egipcie, ale i na całym Bliskim Wschodzie.

Przecisnąwszy się jakoś na szerszą ulicę, spostrzegliśmy, że przejeżdżamy koło pałacu królewskiego. Odbywała się właśnie zmiana warty. Ten widok tak nas zafascynował, że chwilę zatrzymaliśmy się, patrząc na to. Gdy ruszyliśmy i wyjechaliśmy z miasta, ujrzeliśmy na horyzoncie piramidy w całej ich krasię... Samochód się zatrzymał, a ja pierwszy dobiegłem do nich. Wzniesione z granitowych bloków, aż znad jeziora Wiktoria transportowanych Nilem, są dziełem wielu tysięcy niewolników. Ile istnień ludzkich padło, by mogły tu stać, przez 4 tysiące lat zadziwiając swoją monumentalnością.

Próbowałem wejść na piramidę Cheopsa. Udało mi się to. Jak na dłoni było stąd widać cały Kair w swym przepychu i majestacie. I rzekę Nil, po której płynęły żaglowe barki, jedyny i pewny środek lokomocji tubylczej ludności. Oczarowany tym widokiem, patrzyłem rozszerzonymi oczami, dopóki nawoływania kolegów nie zmusiły mnie do zejścia.

Zgodziliśmy jednego Araba na przewodnika, dając mu po piastrze od każdego z nas, by zaprowadził nas do wnętrza piramidy. Ruszyliśmy za nim wolno, gęsiego. Arab oświetlał drogę za pomocą palącej się magnezji. W jej świetle patrzyliśmy na olbrzymie kamienne sarkofagi, podziwiając precyzję połączeń bloków oraz całą strukturę piramidy. Po wyjściu, ruszyliśmy do sfinksa, który niczym strażnik stał dużo niżej od piramid z twarzą zwróconą na wschód. Patrzyliśmy na niego zdumieni, odbity nos nie odbierał mu majestatu... Chodząc po zabytkowym terenie, oglądaliśmy też rozbite płyty, pochodzące sprzed tysięcy lat, pokryte hieroglifami...

Gdy zbliżaliśmy się do naszych wozów, jakiś natrętny Arab namówił mnie na jazdę wielbłądem. Siadłszy na garbie tego pocziwego zwierzęcia zrobiłem kilka dość okazałych kótek po pustyni, ale muszę przyznać, że przejazdka taka nie przypadła mi do gustu.

Wróciliśmy do Kairu, mając w perspektywie zwiedzenie słynnego egipskiego ZOO, znajdującego się w centrum miasta. Jako żołnierze, nie płaciliśmy za wstęp. Łaziłem po całym terenie, po alejach, między trawnikami, wśród labiryntów żywopłotów, ciągle natykając się na ciekawe, egzotyczne okazy zwierząt. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że został tu zgrupowany cały fascynujący świat fauny. Wrażenia egipskie nie przesłoniły mi jednak rzeczywistości. Wkrótce miałem się znaleźć na froncie, w ogniu walki, i przeżyć wielką bitwę...

\*\*\*

M.p. 18.III.47

Mr. Poważński Edward  
Milfield Camp 3 – Alnwick  
Northumberland – England

Kochana Hanko!

Ażeby nie pozostać w tyle z odpowiedzią, śpieszę się odpisać Ci natychmiast po otrzymaniu Twego drugiego listu, który był adresowany dnia 7.III.47. Szedł on coś zbyt długo, zapewne przyczyną zbyt długiej wędrówki listu są zasypane śnieżne, przez które „biedaczysko liścisko” musiało brnąć w pocie czoła. Jednak-

że dobrnął i przyniósł mi wieści z kraju. Spodziewam się, że następny Twój list będzie musiał przepływać przez nawiedzone powodzią części wyspy. Obawiam się, że nie będzie umiał pływać, a co za tym idzie, będzie się mógł utopić biedaczysko. No, ale żarty na narty!

Zakasuję rękawy i zabieram się do sprawy. Perlisty pot zaczyna zraszać moje czoło, a nerwy skroniowe, od nadmiernego przyływu krwi zaczynają działać na mięśnie, które zaczynają drgać. Tak jak struna napięta, która uderzona palcami muzyka, zaczyna drgać, zaczyna wibrować i wydawać dźwięk, który zależy od duszy i uczucia grajka, śle w przestrzeń odzwierciedlenie duszy.

Cisza zalega nasz skromny pokoik, na kominku dogasają ostatnie węgle. Zegar, uporczywie i znacząco, wybił jedenasty raz. Czas napisać swojej kuzynce coś o swoich przeżyciach, o swoich rejsach poprzez pustynie i morza, o swoich wspinaczkach z oporządzeniem, po górach Apeninach. Jeśli Ty Hanko myślisz, że to było coś przyjemnego, coś wspaniałego, to grubo się mylisz, tak jak ja się myliłem wstępując do wojska. Czas jak pieśń przeszedł i zostawił tylko wspomnienia o tym co było i co się widziało. Czas, ten zabawny pan, pozmięniał wszystko do niepoznania. Pozostaną marzenia.

Otóż w pamiętną noc 24 marca 1940 r. zostałem aresztowany i wsadzony do więzienia w Słonimie (tak samo zresztą jak wielu moich kolegów licealistów). Siedziałem tam do 10 lipca 1940 r. Następnie przywieźli mnie do Orszy do ZSRR, gdzie w trzech celach spędziłem około siedmiu miesięcy, ażeby w początkach lutego 1941 r. usłyszeć swój wyrok pięciu lat ciężkich robót w obozie. Potem zawieziono nas około 300 km za Wołogdę, tj. około 250 km od Leningradu (niedaleko mego miejsca urodzenia). Tam dostałem się do dość dobrego obozu (jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe), gdzie pracowałem przy wyrębie lasów. Praca była dość ciężka dla mnie, jeśli się zważy moje 19 lat, a w tym rok prawie w więzieniu. Gdzieś około 20 maja 1941 r. zachorowałem w obozie na zapalenie jelit, z której to choroby wyszedłem prawie cudem. Tylko dzięki pielęgniarce (Rosjanka z Moskwy), która nie wiem skąd, przynosiła mi świeże mleko i co ciekawsze, mandarynki. Zapewne roześmiejesz się, powiesz: Edzio trochę przewrażliwiony. Ale, niestety, trzeba to przyjąć jako pewnik.

A więc, dzięki tej Rosjance, wyszedłem ręką Opatrznościową stamtąd, skąd nikt nigdy więcej nie wraca. Przeleżałem w obozowym lazarecie okrągły miesiąc. W dwa dni po moim wypisaniu ze szpitala, wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, a 14 lipca była już wiadomość o naszej amnestii, chociaż smaku tego owocu, jeszcze nie mogliśmy spróbować. Dopiero 28 sierpnia 1941 r. zostało tylko 92. wypuszczonych za bramę obozu. Opisać Ci tego wzruszenia nie będę mógł, pomimo tego, po prostu, co się raz w życiu tylko zjawia. A przecież przez tą bramę przechodziłem setki razy, ale wtedy było coś innego, wtedy był poza mną „anioł stróż”.

Około 13 września, po długiej przejażdżce poprzez prawie całą Rosję, zatrzymując się jedynie kilka dni w Jarosławiu nad Wołgą, a potem dzień na Uralu w Hołodowsku, przywędrowałem do kołchozu na Syberii, gdzie była cała moja rodzina. Tam spędziłem zaledwie trzy miesiące, bo cztery dni przed Bożym Narodzeniem wyruszyłem do formującej się Armii Polskiej w ZSSR. Wybrałem czas najbardziej nieodpowiedni. Szedłem piechotą poprzez puściutki step, na którym szalał tzw. „buran”, czyli burza śnieżna. Do stacji miałem 60

wiorst. I tu znowu jakąś ręką opatrnościową uniknąłem cudem śmierci. Dobrnąłem do stacji cały siny i skostniały. To było, jak dotychczas, moje największe zwycięstwo. Zwycięstwo woli, wysiłku i stanowczości. Następnie długa wędrówka na południe Rosji, tzn. do Uzbekistanu, gdzie o mały figiel byłbym się znów znalazł u Abrahama, ale to też jakoś minęło, pomimo głodu i wycieńczenia.

Wreszcie przyszedł dzień naszego powołania do wojska, było to 11 lutego 1942 r. Zostałem przydzielony do Artylerii Przeciwlotniczej i przysłany do obozu Guzar. Tam dopiero zapoznałem się z epidemią tyfusu, która to dziesiątkowała nasze szeregi. Dziennie dochodziło do 70-ciu wypadków śmiertelnych. I tutaj znowu los mi sprzyjał. Wreszcie 28 marca 1942 r. wyjechaliśmy do Krasnowodzka (port na Morzu Kaspijskim). Dnia 2 kwietnia 1942 r. byłem już w porcie Pahlevi (na stronie perskiej). 5 kwietnia, tzn. na Wielkanoc, byłem już w stolicy Persji – Teheranie. Dostaliśmy tam pierwszy żołąd, ja dostałem 15 tumanów (tuman, moneta perska). Było to moc pieniędzy, wtedy dopiero dobrze się upiłem i zalałem swoje troski. Potem zwiedzałem miasto, słynne bazyliki perskie pod ziemią, słynne muzea, słynne dywany perskie, przetykane złotem, po które w dawnych czasach nasi królowie wysyłali swoich gońców. Piękne, egzotyczne, europejsko-tubylcze miasto. Czar, urok, tajemnice, oto co kryją poza sobą mury i parku Teheranu. Tajemnice, które przybysz, Europejczyk, nie jest w stanie uchwycić i zrozumieć. – Dalszy ciąg nastąpi! Na tym kończę te kilka skromnych słów i zasylam Ci moc braterskich pocałunków, zaś ażeby zaspokoić ciekawość tego „twardego orzeszka do zgryzienia”: Napisałem część pierwszą swoich przeżyć oraz posyłam wierszyk skomponowany do swoich, do tych, którzy tak jak ja czują i jak ja kochają.

Jeszcze raz mocno Cię ściskam.

Brat

\*\*\*

A teraz dalszy ciąg moich przeżyć, które zmieniały się tak, jak wzory i obrazy w kalejdoskopie. Umysł i wyobraźnia nadwerężone poprzednimi latami spędzonymi w nienormalnych warunkach, nie były w stanie zreasumować tej potęgi czaru i uroku.

W poprzednim liście nie opisywałem swojej wędrówki poprzez niebotyczne perskie góry, więc dlatego teraz będę się musiał cofnąć nieco wstecz, ażeby uzupełnić to, co wgłębiło się w moją wyobraźnię. W parę dni po naszym wylądowaniu na brzegu perskim, załadowano nas na wozy ciężarowe, którymi kierowali Persowie, ponieważ tylko oni byli zdolni do przebycia tej karkołomnej drogi. Otóż wyruszyliśmy o świcie, zaczęliśmy się wdzierać coraz wyżej i wyżej, droga stała się coraz bardziej uciążliwa, ostre zakręty i niekończące się serpentyny, były nieodstępnymi towarzyszami naszej podróży. Czasami, na postoju, patrzyłem w dół do przepaści, która czerniła się pod moimi stopami, ochocze strumienie pieniły swoje grzywy, mknąc po skalistych kataraktach. Boki strumieni porastały sady owocowe, wśród których najczęściej bieleły się płaskodachy chaty tubylcze. W górze ponad nami piętrzyły się zwietrzałe skały, które zda się czekały momentu, ażeby stoczyć się i zgnieść taką małą kruszynę, jak skromny samochodzik. A jednak fortuna sprzyjała nam, los zaoszczędzał nam niespodzianek. Czasami, gdy „zmęczony” samochód pił chociaż wodę i benzynę, na odpoczynku rozmawiałem z Persami, którzy umieli po rosyjsku,

o ich życiu i obyczajach, ale to wszystko było tak nagłe i krótkie, że nie utrwalilo się w mojej pamięci.

Coraz bliżej Teheranu zaczęliśmy się staczać w dół, ażeby za chwilę ujrzeć w kotlinie, między dwoma potężnymi szczytami, ułożone miasto Teheran, skąpane w kobiercu zieleni – ułożyliśmy się spać. Zmęczeni przeżyciami i wrażeniami słodko usnęliśmy, a do snu przygrywała nam melancholijna muzyka Wschodu. W następnych dniach oglądaliśmy już samo miasto i objadaliśmy się melonami, bananami, ananasami, winogronami i granatami. Wyobraź sobie teraz siostrzyczko, jak nam musiały one smakować, po czarnym chlebie rosyjskim. Nie wiem, czy ty kiedykolwiek będziesz widzieć te owoce, które ja widziałem i niestety zjadłem. No, ale mniejsza o to!

Około miesiąca czasu staliśmy w Teheranie, zaczynało nam być coraz goręcej. Wiosenne słońce zaczęło nam coraz bardziej przypiekać, wobec czego zmieniono nam wełniane ubranie na lekkie ubranie drelichowe. Boże, jak ja wtedy śmiesznie wyglądałem! Wyobraź sobie 22 letni młodzieniec w krótkich (do kolan) spodenkach, no, ja to jeszcze, a wyobraź sobie tych z wąsami i brodami też w krótkich spodenkach. Przedstaw sobie teraz ten widok!

Jakoś uporaliśmy się z gorącym Teheranu, gdy musieliśmy się przenieść do małego miasteczka perskiego Ahvosu. Tam dopiero poznałem, co to znaczy upał. Wyobraź sobie, temperatura dochodziła do 70 C. Było tak gorąco, że paliło jak ogniem. Dyżurny namiotu miał za zadanie oblewać namiot co pół godziny wodą, ażeby w ten sposób bronić się od upału. Cały dzień życie, zdawałoby się, wymarło, dopiero po godzinie 6-tej wieczór rozpoczął się ruch i życie. W Ahvosu po raz pierwszy i ostatni widziałem rzekę Tygrys, której żółte, muliste wody toczyły się wolno i leniwie na południe, ażeby w końcu wpaść do Zatoki Perskiej i w niej zginąć.

Czas spędzony w Ahvosu nie zaliczam do miłych, raczej powiem do upalnych. Wreszcie zaczęły rozchodzić się pogłoski, że wkrótce mamy wyruszyć do Palestyny, ażeby tam połączyć się z Brygadą Karpacką, która po słynnej obronie Tobruku zesłała właśnie na odpoczynek. Pogłoski te coraz bardziej się piętrzyły, aż w końcu zaczęły się powoli urzeczywistniać, aż w końcu nastąpiło przygotowanie do wyjazdu.

Gdzieś około 10 czerwca wyruszyliśmy z Ahvosu do portu Bender-Szach-Pur w Zatoce Perskiej, gdzie zostaliśmy załadowani na duży oceaniczny okręt. Obsługa tego okrętu to Malajczycy, mieszkańcy Archipelagu Malajskiego, okręt natomiast był holenderski pod dowództwem angielskim. Nadszedł moment, gdy okręt podniósł kotwicę, systematycznie oddalał się brzeg, a jego miejsce zajmowała gładka, niczym niezmacona gładź zatoki. Przed nami stada delfinów swawolnie skaczą i zbliżają się z wolna do burt okrętu, wreszcie minąwszy okręt, przeskakują z fali na falę, tak, jakby to było ich radością i młodością. Od czasu do czasu mijaliśmy kutry rybackie, a nawet całe flotylle rybackie, które zastawiały sieci w rybnej zatoce. Zbliżała się noc, okręt jak czarne widmo pruł cicho czerń nocy i głębię Oceanu Indyjskiego. Na okręcie zachowano wszelkie środki ostrożności, związane z napadem lotniczym i ewentualnie atakiem łodzi podwodnych. Każdy z nas dostał pływaki ratunkowe, jak również hamaki i trzy koce do spania.

Na pełnym Oceanie zaczęło dość dobrze kołysać, ażeby więc wyżyć się przykrych następstw wymiotowania, postanowiłem wynieść się z dusznego „looku” spod pokładu, na pokład, gdzie zdrowy, rześki wietrzyk ochładzał i rzeźwił. Ulokowałem się mniej więcej w środku okrętu, tzn. tam, gdzie najmniej buja, wiedziałem o tym jeszcze z dawnych sztubackich czasów. Ułożyłem się na wznak i patrzyłem w niebo. Wreszcie zasnąłem, ażeby nazajutrz zjeść kilka śniadań, tzn. części kolegów, ponieważ ci byli kompletnie wykończeni całonocnym kołysaniem. Mnie również mdło się robiło, ale jakoś przetrwałem ten najgorszy okres, zanim organizm przyzwyczał się do choroby morskiej. Płynęliśmy kilka dni, wreszcie zawitaliśmy do portu Aden, u wejścia do Morza Czerwonego. Po naszej lewej burcie widniał na horyzoncie brzeg afrykański, był to Półwysep Somali, który ostro wcinał się w cieśninę. Po parogodzinnym postoju wpłynęliśmy na Morze Czerwone, które, prawdę powiedziawszy, jest szafirowe, nie ma tam nic z czerwieni, zmieszałem się nieco, wreszcie doszedłem do przekonania, że nazwa ta pochodzi od brunatnego dna morza. No, ale mniejsza o to, zaczęliśmy się zbliżać coraz bardziej do Kanału Sueskiego, środki ostrożności zaostrzyły się, bowiem Niemcy stali niedaleko Aleksandrii, można w każdej chwili spodziewać się nalotu; ale jakoś szczęśliwie, nocą, dobrnęliśmy do Suez. Był to brzeg afrykański, ziemia egipska, królestwo piramid i Sfinksa, kraj zabytków, cudów i mumii, kraj świątyni i minaretów. Dalszy ciąg nastąpi. Na tym kończę swoje opowiadanie, urywając w najciekawszym miejscu. – Całuję mocno Ciocię, Wujka, no i Ciebie przy „Little White Lily”.

Jeszcze raz Wesołego Alleluja

Edek

\*\*\*

Przeżywszy aż tyle, w tak młodym wieku, Edward zachował wrażliwość poety. Swoje uczucia zamykał w wierszach, które były dla niego „małą Ojczyzną”, miejscem schronienia przed nazbyt dotkliwymi realiami życia. Już w więzieniu śledczym w Orszy w 1941 roku napisał słowa będące mottem do tego, co potem tworzył:

Piszę – co serce dyktuje,  
Bo tęsknię za ziemią i krajem  
Co się zielenią i zbożem maluje –  
I modli starym zwyczajem  
Więzienie Śledcze Orsza 1941 rok

\*\*\*

### Lemon

Błogo spałaś Europo  
zasłuchana w szept Lemonu  
nie zbrudzona zbrodni stopą,  
nie złocona w blask pożarów

Czemu nikt cię nie obudził,  
snu nie przerwał ni marzenia,  
czemu żaden z tylu ludzi  
nie otrząsnął z odrętwienia?

Ponad tobą gwiazdy zbladły,  
łan kwiecisty zsychał z wolna,

a gdy pierwsze bomby padły,  
nie wierzyłaś, że to wojna.

Dym pożogi – przykrył blaski,  
krew zmąciła blask szampanu,  
gdy skrzywione ludzkie maski,  
Przeklinały toń Lemonu.

Orsza 10.II.1941 r.

\*\*\*

### Na tułaczym szlaku

Wiem przecież, że jestem tułaczem,  
że nie mam ni kraju, ni domu,  
i choć czasami zapłaczę  
to duszy nie wzruszę nikomu.

Wiem przecież, że sad mój w zieleni,  
że pola pozląca pszenica,  
że wiosna dla obcych rumieni,  
że obcą pieśń nuci „Krynica”

Lecz kiedyś nad głową zawiśnie,  
błękitne, rodzinne sklepienie,  
i kiedyś lzy z oczu wyciśnie  
ojcowskie radosne spojrzenie?

Ach! – kiedyż powitam sad w bieli  
i pola radością rumiane  
i kiedyż dywan rozścieli  
pszenica i żyto zasiane?

O! – Kiedyś wśród leśnej gęstwiny  
usłyszę jak głuszcak tokuje  
i w dzikie popadłszy maliny  
dotkliwie się nimi pokłuję?

Dziś kłuję się jednak drutami,  
„maszynka” czasami tokuje  
i czasem pomyślę ze łzami,  
że dzieciół już próchna nie kuje.

Irak-Habanija 1.VI. 1943 r.

\*\*\*

### Tęsknota do ziemi

Oj! Ziemi ty ziemio zaorana  
spalona wojny pożarem –  
do ciebie się modlę co rana  
znów z myśli dziwnym ciężarem.

Tak kocham te skiby zaorane,  
te lśniące pługów lemieszce,  
te pola pszenicą ubrane,  
gdy wiatr je głaszcze i czesze.

Ech! Kocham ja las mój zielony,  
i cichy szelest mej rzeki –  
i kiedyż ja tułacz zmęczony  
usłyszę szept jej daleki?

Lecz dzisiaj na szlakach wędrówki  
westchnienia płyną z cierpieniem,  
i z dźwiękiem żołnierskiej podkówki  
ku tobie ślę uśmiech z cierpieniem?

Tripoli – Liban 30. XVIII. 1943 r.

\*\*\*

### Ostatnie życzenie

Nie zapłaczą już niwy nade mną,  
wiatr nad mogiłą przestanie wyc  
i tylko serce z siłą tajemną  
zechce raz jeszcze swobodnie żyć.

Kwiat nie zakwitnie różany  
kamień przygniecie mój ślad,  
daleko od grobu przeleca bociany,  
o mnie zapomną, polecą w świat.

Ach... Żeby ptak jaki zmęczony,  
na grobie moim siadł,  
a potem przywiódł w te strony  
kilka bocianich stad.

Żeby choć jedno piórko upadło,  
żeby choć jedna łąza,  
żeby choć moje widziadło  
odczuło jak serce drga.

Przeleca bociany i piór nie rzuca,  
wiatr z grobu zmiecie pył  
szakale pieśni swoje zanuć  
i nikt nie powie, że ja tu był.

Tak chciałbym usłyszeć głos wolny  
i cichy ziemi mej szept,  
i chciałbym by jakiś kwiat polny,  
na moim grobie wszedł.

Niech wiatr przyniesie nasienie  
z wierzby, kąkolu, lnu,  
niech wszędzie ponad kamienie  
i kwitną podczas snu

Egipt 2. XII. 43

\*\*\*

### Ślad

Płytą grobową przygniotą ślad,  
parę kamieni ozdobi grób  
wichry przewieją, zapomni świat –  
sam pozostanie mój nagi trup.

W płycie mi sępy wykują krzyż,  
moich wędrówek i cierpień szlak,  
cicho spytają – Edwardzie, śpisz?  
Ja zaś milczeniem odpowiem: tak.

Ziemia gdzieś znajdzie posłanie mi,  
całun z m muślinu przytaszczy wiatr.



Deszcze mi zrzucą matczyne łzy,  
orzeł przyniesie wspomnienie Tatr.

Komu to wiedzieć i komu znać,  
ludzie zapomną, bo ludzie źli.  
Ziemi najlepiej krew swoją zdać  
ona pokocha – powie: „On śpi”.

Egipt 5. XII. 43

\*\*\*

### Młodości

Tyś uleciała z harfy rozstrojonym dźwiękiem  
z wyciem wichury dzikiej, ze stali nagiej szczękiem,  
w dymnych kurzawach wojny z popiołami życia  
krzycząc wspomnieniem wiosny z każdego ukrycia.  
Różą zostałam zaschlą w pamiętek albumie,  
pieśnią płaczącą, którą ten tylko zrozumie  
kto cię zagubił wśród burz wojny i w jej dumie,  
ten kto tak bardzo ukochał twoje imię.  
Byłaś z nami wszędzie – w postrzępionych szatach,  
prawdzie modliłaś Sike chętnie gdzieś na róży kwiatach,  
potem owiana śpiewem, gonisz w noc pochmurną  
prochy wydzierać grobom, popiół starym urnom.  
Nieczo przybladła, grałaś wciąż na wspomnień harfie.  
Młodości! – Czy cię spotkać kiedyś znów potrafię  
piękną jak ranek, błyszczącą jak gwiazdy nocą,  
silną, niezłomną, walczącą z przemocą.  
Pamiętasz? – Szliśmy ponurą jesienną porą,  
szliśmy bezdomni, ale z uporem,  
z wiarą w przyszłości zwycięskie hymny,  
w nową twórczość, w nowy wiek bezdymny  
I nie to – że róże ścieliły nam drogi  
że gwiazdy zaćmiły pożogi,  
że wieniec cierniowy wił się na głowie –  
to było zdrowie.

Szandur-Egipt 1. XII. 1943 r.

\*\*\*

### Burza nad Monte Cassino

Zerwała się burza – i goni... i goni –  
I goni przed sobą ognisk pioruny,  
I jęczy, i płacze, i wyje, i dzwoni.  
I trąca złośliwie o lutni swej struny.  
Na chwilę przycicha, by głośniejsz wybuchać  
By szarpać i gonić, przewracać kamienie,  
By mocą zniszczenia z podziemi wydmuchać  
Ostatnie oddechy, ostatnie cierpienie.

Zerwała się burza ... i goni... i goni...  
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybuch  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Popatrzcie jak leci szalona i krwawa.  
Jak goni w tysiące pocisków odziana.  
Jak pędzi i pada przykryta kurzawą,  
Jak wzbija się w górę, jak klęka złamana.

Jak wyje najdzikszym, śmiertelnym okrzykiem,  
Stokrotnie echami odbija o głązy,  
A potem wybucha i płonie ognikiem,  
I pełza, i wstaje, i znika sto razy!

Zerwała się burza ... i goni... i goni...  
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybucha  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Wyrzycie ze schronów, witajcie tę burzę  
Popatrzcie jak gonią świetliste pociski.  
Witajcie odłamki, warczące na murze  
Witajcie znad nieba śmiertelne rozpryski.  
Uderzcie palcami w akordy marsowe –  
Niech dźwięczą symfonią stalowych pancerzy,  
Niech w wieńcu się spleć gałązki laurowe,  
I niechaj zwycięstwem ozdobią żołnierzy.

Słyszycie jak goni ... jak goni i dzwoni  
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybucha  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Za burzą ognistą huragan nadchodzi,  
Straszliwym podmuchaem pilboxy rozwala,  
I goni, jak upiór w ognistej powodzi,  
Gdzie przejdzie, tam piekło na ziemi rozpala,  
I siejąc zniszczenie przechodzi przez schrony,  
I wyje, i huczy, i niesie popioły.  
Szyderczo się śmieje w strzaskane betony.  
Jak gdyby na ucztę zwoływał upiory.

Huragan już goni ... i wyje... i dzwoni  
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybucha  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

O skały deszcz dzwoni, deszcz dzwoni pocisków  
I charczy, i warczy, i wyje w agonii;  
Rozsnuły się dymy, wciąż więcej rozprysków,  
Są ranni, zabici, krew spływa po broni  
Ktoś ręce przyciska do piersi rozdartej,  
Ktoś krzyczy – bij Szwaba! – I pada podcięty,  
Ktoś patrzy pośmiertnie, do skały przyparty  
Ktoś zmarł w bezruchu do skoku wygięty.

I w gradzie pocisków mkną ludzie szatani,  
Spieczone ich usta, szerniały ich twarze,  
I głos im się zapiekł, w ochryplej krtani,  
Już krzyceć przestali, w tym strasznym pożarze.

A w oczach płonących zwycięstwo pałało,  
A w wargach spieczonych drżał szept nieustanny,  
I piali się wyżej, już mało zostało –  
A piali się wszyscy i żywy i ranny.  
Huragan wciąż gonił i śpiewał i dzwonił  
I charczał, i warczał, i wrzeszczał w agonii.  
To płakał i prosił, to gniewem wybuchał.  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmuchał.

Przycichła już burza, nie bije o skały,  
Lecz tylko deszcz pada, deszcz pada ulewny.  
Przycichły zupełnie armatnie wystrzały,  
A tylko rykoszet rozpoczął takt śpiewny,

I płacze, i jęczy, i błaga i dzwoni,  
To całkiem złamany do skały się tuli  
To dalej z piechurem, do przodu gdzieś goni  
Lub ryje się miękko w żołnierskiej koszuli.  
A w deszczu pocisków i w dymnym chitonie  
Piechota się wdziera na skalne urwiska  
Swe hełmy stalowe naciska na skronie  
I ostrzem bagnetów w ciemności przebłyska.

I goni i pada ... i znów się podrywa  
I skacze jak zając, jak kozioł się wspina,  
To w skałach z jaszczurką w sąsiedztwie się skrywa  
To kurczem tygrysim do skoku wygina.

A burza wciąż goni... i goni... i dzwoni  
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybucha  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.  
Przycichła już burza, nie bije o skały,  
Lecz tylko deszcz pada, deszcz pada ulewny.  
Przycichły zupełnie armatnie wystrzały,  
A tylko rykoszet rozpoczął takty śpiewny,

I płacze, i jęczy, i błaga i dzwoni,  
To całkiem złamany do skały się tuli  
To dalej z piechurem, do przodu gdzieś goni  
Lub ryje się miękko w żołnierskiej koszuli.

A w deszczu pocisków i w dymnym chitonie  
Piechota się wdziera na skalne urwiska  
Swe hełmy stalowe naciska na skronie  
I ostrzem bagnetów w ciemności przebłyska.  
I goni i pada... i znów się podrywa  
I skacze jak zając, jak kozioł się wspina,  
To w skałach z jaszczurką w sąsiedztwie się skrywa  
To kurczem tygrysim do skoku wygina.

A burza wciąż goni... i goni... i dzwoni  
I charczy, i warczy i krzyczy w agonii.  
To płacze i prosi, to gniewem wybucha  
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Przycichła już burza, lecz deszcz jeszcze dzwoni,  
I płacze i prosi, i łąsi do broni,  
Raz zda się przestaje, to znowu się wzmaga  
I coraz to bardziej piechocie pomaga  
A ona surowa – wpatrzona w ruiny  
Gdzieś goni, jak upiór zakuty w pancerzu.  
I nie zna minuty i nie zna godziny,  
A tylko te metry zdobywa kamienne,

I coraz się wyżej i wyżej się wspina,  
To płaszczy na skale to w kłębek się zwija  
To znowu nad skałą kabłąkiem wygina.  
I żądło bagnetów w germańską pierś wbija.

I wreszcie, już ciszej i ciszej wydaje  
 I coraz to bliżej i bliżej klasztoru  
 I jeden za drugim odważniej powstaje,  
 I ginie szatańska w czeluściach otworów.  
 I nie wstyd wam pieśniarze, z dyplomem... z laurami,  
 Że śpiewak wam nieznanym wydzierać chce lutnię,  
 Że śpiewać będzie skałom, i żyć ze skałami  
 Będzie, jak z zimnym bratem – że śpiewać chce smutnie

I z czołem pomarszczonym chce stanąć przed wami,  
 By rzucić w twarz oskarżenie i zakląć okrutnie!  
 O płazy zimnolice, cuchnące skorupy,  
 Z was już tylko – szkielety i trupy!

I nie żał wam pieśniarze, że groby bez kwiecica  
 Jaśniej zapomnieniem i bieli nagością –  
 Grobowce przy klasztorze przetrwają stulecia  
 I będą żyły w pieśni, młodzieńczą radością  
 I wzlecą tak wysoko, jak orzeł nad skały,  
 By lotem błyskawicy oblecieć świat cały  
 I skarżyć krwi dowodem, że zabrakło wam wiary,  
 Że jesteście narzędziem – że kwiat wasz zbutwiały.

Zabrakło słów zwycięstwa, dlatego śpią usta  
 Skrzywione bezradnością, i dusza zamknięta  
 Na klucz niepewności jak trumna jest pusta,  
 A pusta nie na co dzień – lecz pusta od święta,

I na niej nie ma cierni, a same lśnią lustra –  
 Świecicie nimi w oczy – gdy dusza podcięta  
 Modlitwy szuka cichej, by was wypowiadać,  
 By pióro wam wydzierać, by słowem kłam zadać.  
 Harfiarze! Czy wiecie, że waszymi pieśniami  
 Napęlniały się kotliny? Że drżały na szczytach  
 Apenin górne słowa, że młodymi piersiami  
 Wolności hasła siane – ginęło w zaszczytach,

By wam dać możność śpiewać pełnymi ustami,  
 By dłuto w dłoń wam wcisnąć, by kuć wiersz w granitach  
 Na chwałę wszystkich wieków, na chwałę Ojczyźnie  
 By pamięć pozostawić w bogatej spuściźnie.

Zostały tylko słowa w żołnierskim apelu –  
 Tych parę słów od święta rzucanych na groby  
 W jesiennej barw pozłocie; płonących na ziele  
 Purpury refleksjami i kirem żałoby.  
 Zostały tylko... ja sam nie wiem przyjacielu,  
 Bo może z płyt już starto, te ostatnie ozdoby,  
 Ten krzyż i datę zgonu, wykute przez Włocha,  
 I może nawet słońce już tych płyt nie kocha?

Wydzieram lutnię bogom – w akordy uderzą;  
 Gromami wzrok zapalą – na ustach zawisną  
 Umarłych wydrą grobom, do życia wskreszą,  
 A ślepym wskażą inną odległą Ojczyznę

Pozdrawianą – co rana żołnierskim pacierzem  
 Ja wam skarb wskażę w grobach krwią polską zabłysną,  
 Podniosą w górę żagiew, oświetlą przedpole,  
 Ukażą wam krainę, niezartą przez mole.

Pierś moja znów nabrzmiewa, jak rana na wietrze –  
 Ustami zapiekłymi żrą gniew i skały  
 Płucami chłoną chciwie zwęglone powietrze,  
 W ramionach młodocianych wstrzymują pożary

I wraz wyżej pnę się w górę – metr po metrze  
 Umieram i zmartwychwstaję – pozdrawiam wystrzały  
 Pokłonem orientalnym ślad znacząc różami  
 Krwi sarmackiej, na wzgórzach posrebrzanych łzami.

Zapomniano w mym kraju, o słowie znad Liri  
 O przyjaźni zawartej w pożogach i dymie,  
 Zapomniano o ludziach, co sławą okryli...  
 Nie! O nich pisano na sadzy kominie.  
 Że niby tam Cassino i ... czy Monte – zdobyli,  
 Że nie trza o nich pisać – niech pamięć przemienie  
 O plewach wiatrem zwianych z ojczystego ziarna,  
 Niech ta pamięć się zatrze ta stronica czarna!

Włochy – Lareto – 20. VII. 1944 r.

\*\*\*

### Życzenie prochom ojca

Śpij ojcze...  
 bo ziemia tam polska  
 i polski mech  
 bo pieśń tam beztroska  
 i polski śmiech.

Tam wierzba schylona,  
 zgrzybiały dąb,  
 kochana ta strona  
 miłości głąb.

\*\*\*

**Edward Poważynski** urodził się 18 grudnia 1920 r. w Petersburgu, w rodzinie polskich emigrantów. Gdy miał zaledwie rok rodzina powróciła do Polski i osiedliła się w Słonimie w województwie nowogródzkim. Ojciec, Jakub Poważynski, został przyjęty do wojska i objął stanowisko kapelmistrza orkiestry 79 pp. w Słonimie. Edward, po ukończeniu Państwowego Gimnazjum im. T. Kościuszki, uzyskał małą maturę i kontynuował naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Trokach koło Wilna.

Gdy 17 września 1939 r. wojska sowieckie wkroczyły na wschodnie tereny polskie, liceum zostało zamknięte a uczniowie wrócili do domów. 23 marca 1940 r. został aresztowany przez NKWD w Słonimie. Miał wówczas 19 lat. Skazano go na 5 lat pobytu w łagrach o zaostrożnym rygorze i przydzielono do pracy przy karczowaniu lasów w miejscowości Osinówka (Centralne Łagry Archangielskie). 30 sierpnia 1941 r. został zwolniony na mocy amnestii, a w styczniu 1942 r. wstąpił ochotniczo do organizowanej na terenie Związku Sowieckiego Polskiej Armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa, otrzymując przydział do artylerii przeciwlotniczej. W marcu tego roku wraz z 9 Dywizją wyjechał do Persji, następnie po ćwiczeniach w Persji, Palestynie, Iraku, Egipcie, Syrii i Libanie, brał udział w obronie przeciwlotniczej Kanału Sueskiego. Na front wyjechał w grudniu 1943 r. walczył w Apeninach, pod Monte Cassino, nad Adriatykiem, nad rzeką Genli i pod Bolonią.

Po wojnie, będąc kapralem podchorążym artylerii przeciwlotniczej, uzyskał świadectwo dojrzałości na kursach w Alessaro we Włoszech. 15 sierpnia 1947 r. wrócił z Anglii do kraju i zamieszkał w Szczecinie. Zmarł tamże po ciężkiej chorobie w czerwcu 1969 r. Osierocił dwoje dzieci. Za działalność bojową został odznaczony medalem „Monte Cassino”, Medalem „Ot Itali” oraz Krzyżem Grunwaldzkim.

*Olgierd Poważynski*

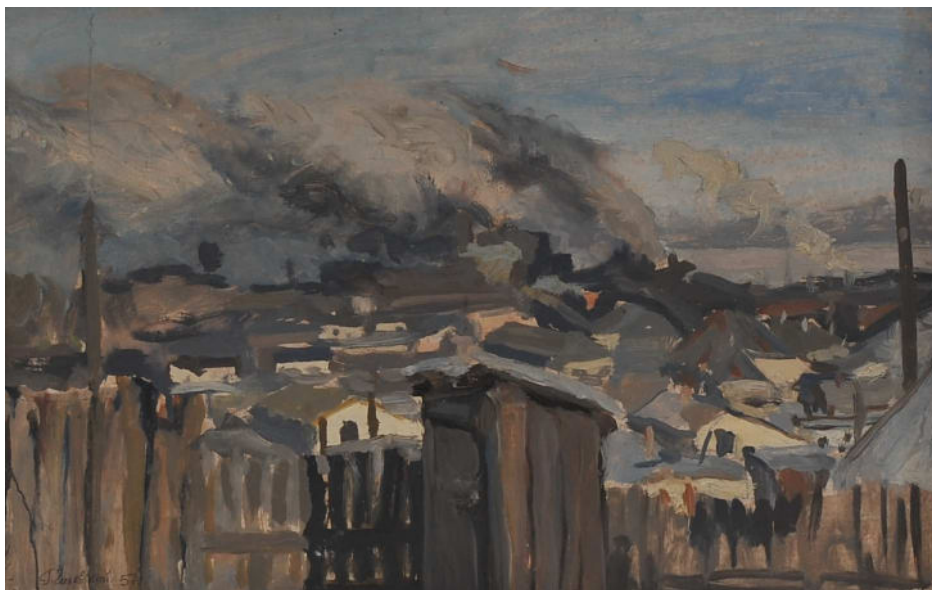
---

---

## KRONIKA

- **O WYSTAWIE HILAREGO GILEWSKIEGO  
W MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W RADOMIU**

O życiu i twórczości Hilarego Gilewskiego, malarza i repatrianta z Kazachstanu, pisałem już w „Zesłańcu” (*Hilary Gilewski. W Karagandzie i Radomiu*, nr 43, r. 2010, s. 71-74); teraz piszę raz jeszcze, szerzej, w związku z wystawą w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu. Była czynna od 15.12.2013. do 19.01.2014. r. 20 lat po pierwszej prezentacji malarstwa Hilarego Gilewskiego w Muzeum Sztuki Współczesnej (na wystawie „Z Kazachstanu do Polski”, 1993) Muzeum pokazało jego indywidualną wystawę – 110 obrazów. Przypomniało, że mieszka w Radomiu malarz-repatriant z Kazachstanu, o niezwyklej biografii i ciekawej – realistycznej! – twórczości. Jego sztukę ukształtowała inna – niż polskich malarzy – artystyczna tradycja.



Rzeński wiatr, 1954, olej, płyta, 29,5 x 45 cm, kolekcja  
Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, dar autora.  
Fot. Sebastian Fituch

### Przypomnijmy biografę. Pierwszych 30 lat

Urodził się w 1932 r. w miejscowości Burtyn koło Kamieńca Podolskiego, w polskiej rodzinie na ziemiach Ukrainy (które już w okresie międzywojennym należały do Związku Radzieckiego). W 1936 r. rodzina została deportowana na Syberię, tam – jeszcze dziecko – w latach 1939-1945 pracował w łagrze, który nazywano oficjalnie sowchozem. Od 1946 r. mieszkał w Karagandzie, gdzie został zesłany ojciec i od 1941 r. pracował w kopalni węgla (nie pozwolono mu wstąpić do armii generała Andersa). W końcu matce udało się zyskać zgodę na przeniesienie się i połączenie rodziny. Mieszkali – jak inni – najpierw w ziemiance, później ojciec postawił obok „mazankę”, czyli podobnie prymitywny dom, ale na powierzchni...



Portret Szabanina, 1973, olej, tektura, 99 x 79 cm,  
kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, dar autora.  
Fot. Sebastian Fituch

Karaganda była miejscem niezwykłym; w miejscu, gdzie zaczęto wydobywać węgiel, powstało w stepie miasto; do „Karłagu” (karagandzki łagier) zsyłano ludzi; wśród nich było wielu ludzi wybitnych ze środowiska inteligencji moskiewskiej, artystów, naukowców. (Hilary Gilewski opowiada, że do „sow-

chozu nr 1”, jak w czasach Stalina nazywało się oficjalnie to miejsce, zesłano np. całą moskiewską akademię rolniczą; naukowcy – pracując w Karagandzie – zamieniali step w ogród). Zesłańcy budowali nowe miasto, a w nim powstawały też instytucje kultury. (Zesłańcy-architekci zbudowali teatr, w którym pracowali i występowali zesłańcy-artyści i – oczywiście – Kazachowie; Gilewski zapamiętał, jak śpiewali i wjeżdżali na scenę na koniach).



Apa. Matka stepu, 1979, olej, płótno, 95,5 x 55,5 cm,  
kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, dar autora.

Fot. Sebastian Fituch

Hilary Gilewski już w wieku szkolnym poznał wybitnych artystów, którzy uczyli go rysunku i malarstwa. Pierwszym nauczycielem plastyki był Leonid Hamburger (1889-1984), ojciec szkolnego kolegi, Wiktora, z którym razem chodzili do teatru, pomagać ojcu Wiktora tworzyć dekoracje. Leonid Hamburger był wcześniej scenografem Teatru Bolszoi w Moskwie.

To on dostrzegł talent Gilewskiego i skierował go do domu kultury, czyli „klubu”, gdzie przyszły malarz spotkał swojego najważniejszego nauczyciela malarstwa, Władimira Eiferta. Eifert (1884-1960), malarz i historyk sztuki,



przed zesłaniem był dyrektorem Muzeum Puszkina w Moskwie (w latach 1936-1939), a jeszcze wcześniej, mieszkał w zachodniej Europie (Paryż, Monachium, Berlin), gdzie jako ekspert antykwaryczny handlował obrazami z radzieckich zbiorów (państwo radzieckie potrzebowało pieniędzy). W 1941 r. Eifert (jako Niemiec) został zesłany do sowchozu Puszkina, niedaleko Karagandy. Spotkanie z Eifertem zaważyło na życiu przyszłego artysty.

Gilewski w Karagandzie uczęszczał też do Centrum Lotniczego, a potem, gdy dostał powołanie do wojska, uczył się w Wyższej Szkole Lotniczej w mieście Arzamas. Służbę w wojskach lotniczych na Wyspach Kurylskich (był pilotem odrzutowców) przerwał w 1956 r. wypadek. Na moment utracił świadomość podczas lotu, co groziło katastrofą – Gilewski był oskarżany o sabotaż...

Wrócił do malarstwa. Studiował w Wyższej Szkole Plastycznej w mieście Penza w Rosji (1957-62); w latach 1965-67 kontynuował studia w moskiewskim Instytucie Sztuk Pięknych im. Surikowa u profesorów Siemiona Czujkowa (1902-1980) i Aleksieja Gricaja (1914-1998).



Wieś Czarna Kościelna, 1995, olej, płótno, 38 x 55 cm,  
własność prywatna, fot. archiwum

Przez 30 lat pracował w Karagandzie; malował obrazy, ale wykonywał też monumentalne malarstwo ścienne, mozaiki – w fabrykach, sowchozach i domach kultury. W krajowych wystawach uczestniczył od 1963 r. Był artystą cenionym nie tylko w Karagandzie, pokazywał obrazy na wystawach w Moskwie, uczestniczył w plenerach w innych rejonach Związku Radzieckiego. Poznał wielkie tereny Azji Środkowej; znał kilka języków, którymi mówią ludzie na tym obszarze. Swobodnie się porozumiewał i zdobywał w ten sposób zaufanie. Jego emocjonalna natura zdecydowała o wyborze tematu wielu obrazów malowanych dla siebie. Malował starą Karagandę, miejsce zesłania ludzi

różnych (naliczono osiemdziesiąt dziewięć!) narodowości, portrety ludzi, których spotykał, zesłańców, Kazachów.

W 1982 r. z okazji jubileuszu 50. urodzin i 20-lecia twórczości w Muzeum Sztuki w Karagandzie zorganizowano jego retrospektywną wystawę malarstwa i grafiki. Ukazał się wtedy katalog w języku rosyjskim, opracowany przez Larisę Wiktorowną Zorienko, z obszernym wstępem poświęconym jego twórczości, spisem wszystkich prac, także realizacji monumentalnych.

W Karagandzie był znanym artystą w środowisku i mieście. Tam zostało wiele jego obrazów i tam jego sztuka nadal jest – i będzie – obecna. Obrazy stały się ważnym dokumentem historii miasta i ludzi. W 1994 r., z okazji jubileuszu 60-lecia wyrosłego w stepie miasta, w Muzeum Sztuki w Karagandzie odbyła się wystawa, na której pokazano wiele jego obrazów i w gazecie „Piatnica” ukazał się artykuł poświęcony jego twórczości (w związku z wystawą), którego autorką jest Natalia Iwanina, wówczas dyrektor Muzeum Sztuki w Karagandzie. Gilewski był świadkiem rozrastania się Karagandy; już w latach 1950. zaczął malować stare fragmenty miasta (które z czasem zaczęły znikać i prawie nic ze starej Karagandy nie zostało).



Łąka. Szczebrzeszyn, 1996, olej, płótno, 38,5 x 65 cm,  
kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, dar autora.  
Fot. Sebastian Fituch

W Związku Radzieckim musiał podejmować się trudnych zadań, nawet takich, jak monumentalne realizacje we wnętrzu budynku, czy na zewnątrz, które wydawały się niewykonalne w tak krótkim, wyznaczonym przez władze terminie, albo zimą... – ale zyskał pozycję cenionego twórcy. Na przykład jako reprezentant Kazachstanu był w 1984 r. członkiem delegacji radzieckich artystów do Meksyku. W Polsce znalazł się na wiele lat poza środowiskiem artystycznym.

### **W Radomiu**

W 1992 r. przyjechała do Karagandy wystawa zorganizowana przez dwa muzea radomskie, Muzeum Wsi i Okręgowe – i dyrektor Muzeum Okręgowe-

go, Janusz Pulnar, zaproponował zorganizowanie w Radomiu wystawy artystów Karagandy. Hilary Gilewski po raz pierwszy przyjechał do Radomia w 1992 r., a w 1993 po raz drugi; wtedy pokazał obrazy w Muzeum Sztuki Współczesnej na wspomnianej już wystawie „Z Kazachstanu do Polski. Malarstwo Karagandy”. Od tego momentu związał się z Radomiem, przebywa tu od 1994 r. Mieszkał i pracował w muzeum. Polskie obywatelstwo otrzymał po długich staraniach, w 2002 r. Dopiero wtedy mógł otrzymać mieszkanie.

Niewiele obrazów udało mu się przewieźć z Kazachstanu do Polski; ogromny dorobek artystyczny, biblioteka i rzeczy osobiste pozostały w Karagandzie. Z obrazów, które znamy, największe zainteresowanie budzą te, które nie tylko świadczą o dobrym przygotowaniu akademickim; są dokumentem dalekiej i egzotycznej rzeczywistości. W Polsce maluje przede wszystkim pejzaże, pola i łąki, rzadziej portrety. Pracując dla radomskiego Muzeum, malował też kopie obrazów, np. Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej na wystawę „Epoka Pana Tadeusza” w 1998 r., a portrety polskich badaczy Syberii z fotografii namalował na wystawę „Promethidion”, organizowaną w 2001 r.

Miał kilka wystaw indywidualnych, najważniejszą w 2004 r. w Łazienkach Królewskich, czyli w Muzeum I. J. Paderewskiego i Wychodźstwa Polskiego w Warszawie. To była wspólna wystawa z innym repatriantem z Kazachstanu, Alfonsem Kułakowskim. Ale były też inne, w kilku i instytucjach i miastach, np. w radomskiej Bibliotece Pedagogicznej (2009), czy w Domu Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (2010).

### **O wystawie w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu**

Prezentowała 110 obrazów – z trzech kolekcji muzealnych: Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie – a także kilku kolekcji prywatnych i zbiorów artysty. Były na wystawie prace, które malarz przywiózł ze sobą z Karagandy (25 obrazów, nie wszystkie z przywiezionych udało się teraz odnaleźć i pokazać na wystawie, m.in. drugiego portretu ojca) – jak i te, które namalował już w Polsce.

Wystawę zatytułowaliśmy tak samo, jak kiedyś zatytułowałem artykuł o artyście, pisany dla „Zesłańca”. W pierwszej sali były obrazy przywiezione z Kazachstanu. Zestaw widoków Karagandy, Kazachstanu, Azji Środkowej (Chiwa) i jeden z Rosji (Penza). Szczególne znaczenie mają widoki Karagandy, które znalazły się w Polsce: „Rzeński wiatr” (1954), „Smog w Karagandzie” (1956), „Górnice osiedle 8-9” (1960), „Padający śnieg. Stara Karaganda: (1966), „Kopalnia nr 1” (1967), „Odwilż w Karagandzie” (1969), „Świąteczny dzień w Karagandzie” (1969), „Hałdy” (1970) i „Nowa Kopalnia” (1966).

Rozpoczął wystawę portret ojca, dalej wisiły portrety mieszkańców Karagandy, Kazachów i Rosjan, a właściwie Europejczyków (rodzice lub dziadkowie należeli do różnych narodowości). Znalazły się na wystawie portrety trzech mężczyzn należących do kolejnego po zesłańcach pokolenia, ludzi o powikłanych losach, którzy gubili się w tej rzeczywistości (i trafiali do więzienia). Dwa portrety jeszcze młodych, a mroczne; „Młodzieńca z podmiejskiej ulicy” (1970) malował Hilary Gilewski, gdy przeciw portretowanemu toczyło się już śledztwo – zarys klap grubego płaszcza przypomina kształtem pętlę (kil-

ka miesiący później znalazł się w więzieniu). Decyzję o namalowaniu portretu często dyktowało współzucie.

Na wystawie wisiały także trzy portrety Kazachów. Gilewski znał kazachski, tatarski, turkmeński, uzbecki, trochę czeczeński, swobodnie rozmawiał, zdobywał zaufanie, był zapraszany do domów. Spośród wielu malowanych tam martwych natur na wystawie były dwie. Jedną z tych najprostszych, realistycznych – mały obrazek z 1965 r. pt. „Buty robocze”. I obraz z bukietem suchych stepowych kwiatów. „Autoportret” z 1983 r., to portret mężczyzny pewnego siebie, malarza, który odniósł sukces. Obok wisiały plansze z fotografiami innych prac stworzonych w Kazachstanie, sztalugowych i monumentalnych. Zwracała uwagę fotografia długiego malowidła „Złota nić”, w dużym zakładzie, produkującym pończochy – długości 12 m, wykonanego w technologii ikon (na deskach, gruntem był lewkas).



Nad Radomką, 2001, olej, płótno, 53,5 x 67 cm,  
kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, depozyt autora,  
fot. Sebastian Fituch

W kolejnych wnętrzach – obrazy malowane w Polsce. Większość to pejzaże z różnych stron kraju, ale także portrety. Dwa reprezentacyjne: „Portret senatora Ryszarda Sławińskiego”, perfekcyjnie iluzyjny w przedstawieniu materii tkanin, futra i „Portret Borysa Woźnickiego”, wieloletniego dyrektora Lwowskiej Galerii Obrazów – głębszy psychologicznie. Także portrety pracowników radomskiego muzeum, malowane bardziej swobodnie. Również dekoracyjne martwe natury, najczęściej z bukietami kwiatów.



Od przeszło 10 lat pracuje malarz nad symbolicznym obrazem, dużego formatu, pt. „Modlitwa”, z grupą osób (dorośli, dzieci) zgromadzonych pod przydrożnym krzyżem. Ekspresyjnie namalowany, ukrzyżowany Chrystus oderwał ręce od krzyża, prawą rękę kieruje do góry, ku Bogu, lewą wskazuje ludzi zgromadzonych pod krzyżem. Pierwotna wersja obrazu (jak szkic) zatytułowana jest „Nabożeństwo majowe w Lipcach Reymontowskich” (z 2001 r., tu wszyscy w strojach ludowych).

### **Miejsce tej twórczości w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu i w polskiej kulturze**

Jego sztuka jest teraz w Polsce zjawiskiem odrębnym, zaskakującym. Obrazy przywiezione z Karagandy przedstawiają egzotyczny dla nas świat, a i stylistyka jest nam obca... Dziwią też te malowane w różnych zakątkach Polski (przez pierwsze lata malarz dużo wyjeżdżał w plener i pracował w wielu miejscach, na Podlasiu i w górach, w okolicach Radomia i na Mazowszu). W Polsce takie malarstwo pejzażowe powstawało sto lat temu i wydaje się już anachroniczne. Najczęściej malują tak amatorzy. I gdyby nie to, że odczuwamy zapisane w obrazach silne emocje i dostrzegamy świetny warsztat (w wielu, ale są też słabsze) – trudno byłoby zaakceptować tę twórczość. Patrzy teraz na polskie pejzaże ktoś, kto przybył z daleka, gdzie są inne krajobrazy, kto widział wielkie przestrzenie – i te pejzaże stają się dla niego symbolami polskości.

Radomskie Muzeum Sztuki Współczesnej pokazuje jego obrazy na różnych wystawach tematycznych, najczęściej portretów – zwykle dwa. Najwspanialszy z przywiezionych do Polski obrazów i zdeponowany w Muzeum, zatytułowany „Dombrysta Kacie-Żan” z 1966 r. – przedstawia muzyka grającego na narodowym, kazachskim instrumencie strunowym. Równie ważny jest podarowany do zbiorów obraz pt. „Mój ojciec” z 1964 r. Portret ojca, zesłańca, górnik, a także pejzaż górniczej Karagandy, zatytułowany „Hałdy” z 1970 r., pokazane zostały w 2010 r. w Częstochowie, na wielkiej wystawie z cyklu „Dom w sztuce współczesnej” – zatytułowanej „Dom zredukowany, bezdomność”. W programie intelektualnym radomskiego Muzeum Sztuki Współczesnej jednym z wyznaczonych celów jest gromadzenie dzieł dokumentujących osobiste doświadczenia uczestników historycznych wydarzeń.

Jego obrazy z lat 1960. mogą nam w Polsce służyć jako przykłady sztuki realistycznej. Malując ojca, zesłańca, wiedział, że przedstawienie realistyczne będzie miało największą siłę. Postawa realisty, tak widoczna w jego sztuce z lat 60., zadanie, jakie stawiał przed sobą: – utrwać w malarstwie obraz rzeczywistości, służyć swoją twórczością prawdzie (w obrazach malowanych z własnego wyboru, bo nie mógł uniknąć prac propagandowych) – na pewno zostaną kiedyś opisane.

Obrazy przywiezione z Kazachstanu do Polski: „Mój ojciec” (i drugi „Portret ojca”, którego miejsce przechowywania jest mi nieznane), portrety Kazachów i innych mieszkańców miasta, widoki Karagandy z lat 50., 60. i 70. – to dzieła, w których wysoko oceniamy prostotę, realizm. Ilustrują losy tysięcy Polaków, wywiezionych na Sybir i do Kazachstanu. Obraz „Mój ojciec” – umieszczony na zaproszeniu na wystawę – swoją prostotą, prawdą, odrębnością zwrócił uwagę kilku adresatów. Wydał im się manifestem realizmu. W wielu późniejszych obrazach Hilary Gilewski odstępował od realistycznych wzorców, stylizując albo upraszczając formy, deformując przestrzeń. W obrazach malowanych w Polsce –

w pejzażach, a szczególnie w kilku scenach symbolicznych – zapisał emocje i wizję repatrianta, który przyjechał do kraju przodków i patrzy na Polaków.

Biografia Hilarego Gilewskiego, jego wykształcenie (w artystycznych uczelniach radzieckich uczono i wymagano dobrego rzemiosła), talent i osobowość – sprawiły, paradoksalnie, że pojawił się w polskiej kulturze twórca odrębny, niezwykły. Warto jednak pamiętać o znaczeniu jego malarstwa jako dokumentu z historii Karagandy (miasta liczącego teraz blisko pół miliona mieszkańców), a więc dla kultury Kazachstanu. W 2014 r. Karaganda będzie obchodzić kolejną rocznicę uzyskania praw miejskich – i zapewne znów obrazy Hilarego Gilewskiego znajdą się na jubileuszowej wystawie.

*Mieczysław Szewczuk*

#### • MOJE WSPOMNIENIA Z KARAGANDY

Kiedy oglądałam wystawę obrazów Hilarego Gilewskiego w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, szczególną uwagę zwróciłam na obrazy z Karagandy. Wróciły do mnie wspomnienia a właściwie migawki pamięci wywołane oglądanymi obrazami.

W Karagandzie byłam w 1992 roku. Wyjazd był zorganizowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Uczestniczyli w nim głównie muzealnicy z radomskich muzeów: obecnego Muzeum im. Jacka Malczewskiego i Muzeum Wsi Radomskiej, z którym byłam wtedy związana. Celem wyjazdu było rozpoznanie środowiska artystów polskiego pochodzenia oraz zorganizowanie wystawy etnograficznej o polskich świętach i zwyczajach dorocznych, której byłam autorką. Wystawa była adresowana głównie do środowisk polonijnych. Wieźliśmy też polskie książki. Wtedy poznałam Pana Hilarego Gilewskiego, ale wspomnienia te nie dotyczyły autora obrazów a miasta i ziemi, na której powstały.

Pejzaże i ludzie przedstawieni na obrazach przywołały takie oto skojarzenia: Stara Karaganda – niskie, odrapane domy, szary, pusty, ponury pejzaż. Dalej, wielkie, zaniedbane blokowiska, gdzie wchodząc do klatki schodowej, należało uważać na oberwane kable elektryczne, żeby nie zahaczyć i nie zostać porażonym prądem. Ludzie mówili, że gdy kopano doły pod ich budowę, to znajdowano mnóstwo kości – ludzkich szczątków. Było ich tyle, że nikt ich nie zbierał, nie prznosił. Po prostu na tych kościach budowano bloki. Zresztą na całej tej ziemi nie było miejsca, gdzie by tych kości nie było.

Idąc chodnikiem należało patrzeć pod nogi, żeby nie wpaść do studzienki kanalizacyjnej, bo klapy poginęły – pokradli. Wizyta w Instytucie Archeologii, żeby zobaczyć ostatnie znaleziska. Podobno rewelacyjne, bo jedne z najstarszych na świecie. Problem polegał tylko na tym, że świat nie miał się jak o nich dowiedzieć, bo publikować na zachód pozwalano tylko wybranym, a Emma – archeolożka do nich nie należała. Sam Instytut okazały, w stylu socpałacu, ale w środku wilgoć i pleśń, bo była awaria wody a od dłuższego czasu nie miał się kto tym zająć.

Wyjazd do Karkaralińska – miejsca, przez które przebiegał Jedwabny Szlak – przez step, na którym się zatrzymaliśmy. Mój szok i myśl, że zaraz zwariuję. Płaska jak stół, spalona na popiół ziemia, nad nią monotonna błękitne niebo i na nim, na środku żółte, świecące jak żarówka słońce. Żadnego żdźbła

trawy, chmurki, podmuchu wiatru, najmniejszego nawet żyjątko, odgłosu. Nic na czym można by skupić wzrok lub słuch, tylko bezkresna, spalona ziemia, błękit, prażąca kula słońca i cisza.



Muzeum w Karagandzie. Fragment wystawy „Polski Rok Obrzędowy”.

Jak na obrazach, tak i w mojej pamięci – miejsca i ludzie: Polacy, Rosjanie, Niemcy, Kazachowie, Mongołowie. Połączeni tym, że żaden z nich nie znalazł się tam z własnej woli. Zesłańcy lub ich potomkowie. Ci, którzy sami przeżyli transporty, głód, choroby, ziemianki, zimno, ponadludzką pracę w kopalniach, śmierć z głodu i wycieńczenia osób im najbliższych i ci, którzy znali to z opowieści i traum rodzinnych. Wszyscy jednak wspaniali, dumni, gościnni. Pamiętam dwie siostry – Polki, które zaprosiły nas do domu, ale pod warunkiem, że nie będziemy pytać ich ojca o przeszłość, bo każde takie wspomnienie kończyło się wzywaniem karetki pogotowia i pobytem w szpitalu psychiatrycznym.

Otwarcie wystawy – tłum ludzi, ich wzruszenie a nawet łzy. Przypomnienie opowieści, jak się w domu obchodziło Wigilię, Wielkanoc i inne święta. Sami tego nie znali, bo nie wolno im było tak świętować. Za polskie tradycje, za religię można było iść do łagru. Opowiadali mi, że dzieci chrzczono w największej konspiracji. Raz na kilka lat przyjeżdżał ksiądz. Zbierano się nocą w jakimś pewnym, bezpiecznym domu i tam po cichu, skromnie odbywały się chrzciny.

Żal do rządu polskiego, że nie robi nic, aby ułatwić im powrót do Polski, do domu i obawy, czy znowu w tym domu nie będą obcy. Zazdrościli Niemcom, że jak tylko zaczęła się pierjestrojka, rząd niemiecki natychmiast podjął działania umożliwiające powrót swoim dawnym obywatelom. Wielu Niemców już wyjechało, a wielu miało wyjechać wkrótce.

Obraz przedstawiający Kazacha grającego na instrumencie muzycznym (dombra) – wspomnienie poznanych tam Kazachów, rdzennych mieszkańców tej ziemi. Oni również przeżyli tragedię. Od wieków byli nomadami. Przemierzali

stepy ze stadami zwierząt: owiec, kóz, koni, wielbłądów. To one ich żywiły, ubierały, zapewniały byt i kształtowały kulturę.



Karaganda. W pracowni Hilarego Gilewskiego (pierwszy z lewej).

Stalin postanowił jednak zrobić z nich rolników uprawiających tę jałową ziemię. Nie wiedzieli, jak to robić, bo nikt ich nie nauczył, nie dał narzędzi. Zamknięci w kolchozach masowo umierali z głodu i od nieznanym im dotąd chorób. Podobnie jak zamknięci w rezerwatach Indianie z Ameryki Północnej. Jako etnografa interesowały mnie ich stroje i biżuteria, ale nie zostało im już nic. Wszystko, co było, ich rodzice wymienili na chleb – żeby przeżyć.

Ogólne wspomnienie, to tragizm tej ziemi i żyjących na niej ludzi, który odczuwaliśmy tam i teraz kiedy to wszystko wspominam.

*Małgorzata Jurecka*

#### • WIECZÓR KAZACHSTAŃSKI Z ADOLFEM JANUSZKIEWICZEM

Pod koniec 2013 roku Polskie Towarzystwo Ludoznawcze wydało w serii „Biblioteka Zesłańca” kolejne wspomnienia, a raczej relacje w formie listów do najbliższych z zesłania carskiego w głąb Rosji. Są to *Listy ze stepów kirgiskich i dziennik podróży Adolfa Januszkiewicza*. Autor listów –poeta, po kądzieli wnuk Tadeusza Kościuszki, przyjaciel Adama Mickiewicza, prototyp postaci Adolfa, występującej w III części *Dziadów*, uczestnik powstania listopadowego, zesłaniec, który 24 lata (1832-1956) spędził w różnych miejscach Syberii i Kazachstanu. Od stycznia 1842 roku pracował w kancelarii Pogranicznego Naczelnika Sybirskich Kirgizów, był sekretarzem komitetu do projektu praw kirgiskich. W 1846 roku odbył podróż w stepy Kazachstanu,



gdzie w ramach zlecenia władz carskich uczestniczył w spisie ludności zamieszkującej te tereny. Wrażenia z tej podróży opisywał w formie listów do najbliższych: matki Tekli z Sokołowskich, brata Januarego, przyjaciela Gustawa Zielińskiego, prowadził też dokładny dziennik. Ułaskawiony w 1856 roku powrócił do kraju i na krótko przed śmiercią osiadł w majątku w Dziahylnie (woj. mińskie), na terenie dzisiejszej Białorusi, tam też został pochowany.

10 marca 2014 roku w Muzeum Niepodległości w Warszawie odbyła się promocja nowego wydawnictwa. Wstępny referat *Król iluzji – Adolf Januszkiewicz* wygłosiła dr Anna Milewska-Młynik z Muzeum Niepodległości. Przedstawiła w nim autora listów i dziennika podróży, który opisywał przemierzane tereny Syberii i Kazachstanu, żyjących tam ludzi, ich obyczaje i prawa zwyczajowe z punktu widzenia romantyka. Próbowała wytyczyć cienką granicę, jaka istniała pomiędzy romantycznym postrzeganiem autora, a ówczesną rzeczywistością. Honorowym gośćmi byli: Hanna Geber – autorka opracowania listów oraz prof. Janusz Odrowąż-Pieniążek – autor wstępu do omawianego wydania. Oboje od wielu już lat pracują nad listami i dziennikiem podróży Adolfa Januszkiewicza oraz ich pierwszymi opracowaniami. W 2003 roku „Czytelnik” wydał *Listy z Syberii*, nad którym pracował ten sam zespół naukowców. Niestety, na spotkanie nie mogli przybyć z Poznania prof. Jerzy Fiećko – znawca epoki romantyzmu, autor posłowania do ostatniej edycji listów oraz z Wrocławia prof. Antoni Kuczyński, inicjator tej edycji i reaktor naukowy dzieła. W prezentowanym wydawnictwie znalazły się też fragmenty nieznannej dotychczas poezji miłosnej Januszkiewicza. Twórczość ta ujrzała światło dzienne dzięki przesłanym do redakcji czasopisma popularnonaukowego „Spotkania z zabytkami” przez Janusza Gdowskiego – kolekcjonera z Jawora kserokopiom rękopisów Januszkiewicza. Jest to pięć kartek, zawierających poetyckie listy miłosne do byłej narzeczonej Stefani Ginowskiej (Nelusi) oraz poemat „Pokutnica”. Jednym z zaproszonych do Muzeum gości był redaktor naczelny *Spotkań z zabytkami* Wojciech Przybyszewski. Razem z Hanną Geber opowiedzieli o podejmowanych przez białoruską polonię działaniach mających na celu przywrócenie pamięci o Adolfe Januszkiewiczu. Wśród Polaków mieszkających są matka i córka: Hanna Matuszewicz i Weronika Ściepulonak z Dzierżyńska (dawne Kajdanowo), położonego zaledwie 3 km od Dziahylni – miejscowości, w której znajdują się pozostałości majątku Januszkiewiczów. W latach 2006-2007 przy współpracy z Fundacją Dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego podjęły wraz z archeologiem Mikołajem Krywalcewiczem prace badawcze i porządkowe na terenie pozostałego cmentarza w Dziahylnie, na którym znaleziono szczątki grobów: matki – Tekli z Sokołowskich Januszkiewiczowej, Maryli z Bułharynow Januszkiewiczowej, żony Januarego oraz ich syna Michała.

Zachowane płyty odrestaurowano i ponownie umieszczono na mogiłach. Niestety po grobie Adolfa Januszkiewicza pozostał jedynie ślad, dlatego ustawiono tam nowy kamień z plakietką, na której rzeźbiarz Walerian Januszkiewicz umieścił popiersie Adolfa, herb Januszkiewiczów oraz tekst A. E. Odyńca znajdujący się na starym nagrobku. 9 czerwca 2013 roku w 210 rocznicę urodzin Adolfa Januszkiewicza odbyły się w Dziahylnie uroczystości, podczas których odsłonięto wyremontowane i zrekonstruowane nagrobki.



Głaz poświęcony Adolfowi Januskiewiczowi na cmentarzu w Dziahylnie

Ufundowano też tablicę pamiątkową, którą umieszczono na ścianie dawnego spichlerza, jedyne go budynku zachowanego z majątku Januskiewiczów i uroczystie odsłonięto 2 października 2013 roku. Niestety, z powodu trudności administracyjnych, Fundacja otrzymała nakaz zdjęcia jej z obiektu. Pani Hanna Matusiewicz przetłumaczyła na język litewski książkę *Żywot Adolfa Januskiewicza i jego Listy ze stepów kirgiskich* (z wydań 1861, 1875) i wzbogaciła jej treść o informacje dotyczące działań związanych z upamiętnieniem postaci Adolfa Januskiewicza.



Tablica upamiętniająca 210. rocznicę urodzin Adolfa Junuszkiewicza

Podczas dyskusji okazało się, że na sali jest osoba, której mąż pochodzi z rodziny Januszkiewiczów, a jego pradziad nosił imię Michał. Czy mógłby to być synowiec Adolfa, syn Januarego? Obecny na spotkaniu Wiesław Osuchowski – Konsul Generalny RP w Ałmaty w latach 2009-20013, zwrócił uwagę na zmniejszającą się wśród mieszkańców Kazachstanu wiedzę o Po-



lakah zasłużonych dla badań historii, obyczajów i prawa kazachskiego. Jeszcze w 2. połowie XX wieku wielu mieszkańców Ałmaty doskonale wiedziało kim był patron ulicy nazwanej imieniem Adolfa Januszkiewicza w tym mieście, dziś wiedzą to tylko nieliczni. Konieczne jest zatem podjęcie starań w kierunku popularyzacji wiedzy w tym zakresie. Promowane na spotkaniu wydawnictwo, może być pomocne w takich działaniach.

*Regina Madej-Janiszek*

## • PAMIĘĆ NIE ZNA GRANIC

### ❖ Kontakty – od wirtualnych do osobistych

Mieszkańcy Jareńska, miejscowości o długiej historii znajdującej się na krańcu obwodu archangielskiego, na długo zapamiętają wrzesień 2013 roku. Po raz pierwszy w jej długiej swej historii gościli zagraniczną delegację – przyjechali tu bowiem uczniowie z Bystrzycy Kłodzkiej, miasta na południu Polski. Obie miejscowości łączy już od kilku lat przyjaźń, są też praktycznie rówieśnikami: Jareńsk, wzmiankowany jest w czternastowiecznych kronikach, młodszy jest od Bystrzycy Kłodzkiej tylko o sto lat.

Jednak łączy je nie tylko historia dawnych wieków. Na początku lat 40. XX wieku w rejonie lenskim (którego siedzibą jest Jareńsk) przebywało ponad dwa tysiące obywateli polskich, deportowanych tu z polskich Kresów Wschodnich po zajęciu ich przez Związek Radziecki po 17 września 1939 roku. Oprócz nich wzięto tu tysiąc żołnierzy Wojska Polskiego, którzy dostali się wówczas do niewoli i zostali wywiezieni w głąb ZSRR gdzie pracowali przy budowie Peczerskiej (Północnej) Linii Kolejowej Kotłas-Workuta.

Tym trudnym zagadnieniom naszej historii poświęca się dużo uwagi zarówno w Jareńsku, jak i w Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie dla zachowania pamięci o tych latach niewoli aktywnie działa Koło Związku Sybiraków publikujące wspomnienia zesłańców. Z kolei zaś w Jareńsku wydano książkę pt. *Ból pamięci*, poświęconą polskim zesłańcom przebywającym w rejonie lenskim. W mieście tym znajduje się Pomnik Ofiar Represji Politycznych, upamiętniający wydarzenia i czasy represji stalinowskich, natomiast w sierpniu 2012 roku uroczystie odsłonięto tam czczący pamięć nazwiska Polaków<sup>1</sup>, którzy zmarli w trakcie budowy wspomnianej już linii kolejowej. W uroczystości odsłonięcia pomnika uczestniczył Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Sankt Petersburgu Piotr Marciniak.

Umacniają się także kontakty kulturalne w relacji Jareńsk – Bystrzycka Kłodzka, których pokłosiem była wystawa fotografii autora tego tekstu, nosząca nazwę „Zima. Nadmiar bieli”, prezentowana w Polsce, natomiast dwugodzinna

---

<sup>1</sup> Na pomniku widnieje 12 nazwisk, natomiast w książce autorstwa W. Flisińskiego zatytułowanej *Od łagrów Komi do winnic Italii*, (Lublin 1992) znajduje się informacja o 14 ofiarach. Przed wzniesieniem pomnika pełna lista ofiar tej budowy była przekazana Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie jak i wykonawcom tego monumentu. Na pomniku nie wspomniano też o współwięźniach innych narodowości budujących razem z Polakami tę linię kolejową, którzy także tam umierali. (Przyp. tłum.)

wideokonferencja pomiędzy Bystrzycą Kłodzką a Jareńskiem towarzyszyła otwarciu wystawy fotografii Barbary Pawłowskiej i Janusza Kobrynia zatytułowanej „Bystrzyca Kłodzka – miasto średniowiecza”.

Naturalne więc okazało się, że od tych kontaktów wirtualnych trzeba było przejść do spotkań osobistych utrwalających pamięć o tamtych latach pogardy. Wiosną 2013 roku Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Bystrzycy Kłodzkiej uzyskało grant Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w Warszawie na zorganizowanie polsko-rosyjskiej wymiany młodzieżowej.



Młodzież z Polski i Rosji ustawia znak pamięci w miejscu pochówku zesłańców.  
Osada Witunino, rejon lenski, obwód archangielski.  
Archiwum Stowarzyszenia Absolwentów ZSO w Bystrzycy Kłodzkiej.

Partnerem po stronie rosyjskiej zostały Biblioteka Rejonowa i Centrum Edukacyjna w Jareńsku. Duże wsparcie dla tego przedsięwzięcia okazał Piotr Marciniak, Konsul Generalny RP w Sankt Petersburgu, natomiast pomoc merytoryczną udzieliło Centrum Naukowo-Informacyjne „Memoriał” w Sankt Petersburgu, zaś program młodzieżowego spotkania opracowały i realizowały Irina Flige, Tatiana Morgacziowa i Tatiana Pritykina. We wrześniu 2013 roku dwunastu uczniów z Bystrzycy Kłodzkiej oraz trzej towarzyszących im nauczycieli przebywało w Jareńsku.

#### ❖ „Wsio super!...”

Program spotkania przewidywał, że dla zacieśnienia kontaktów między uczestnikami wymiany (a także w celu zmniejszenia jej kosztów) uczniowie mieszkać będą nie w hotelach lecz w domach swoich rówieśników. Ich rodziny bardzo się starały i zadały sobie wiele trudu, aby godnie przyjąć gości.

I oto w przepelnionej czytelnicy jareńskiej biblioteki spotkali się uczestnicy tej wymiany. Przybrała ona charakter wzajemnej prezentacji polegająca na tym, że osoba z Polski przedstawiała się i mówiła kilka słów o sobie. Wówczas po tej

krótkiej prezentacji któryś z jareńskich uczniów (na spotkanie przyszli wszyscy z rodzicami) mówił np. „Ewa, ja mam na imię Karina. Zapraszamy Cię, abyś przez ten tydzień zamieszkała w naszej rodzinie...”.

Po tym krótkim spotkaniu w bibliotece wszyscy pośpiesznie rozeszli się do domów – kontynuować znajomość w rodzinnym kręgu. I jednocześnie uczyć się polskiego i rosyjskiego.

– Co słyszać? – tym pytaniem rosyjscy i polscy opiekunowie witali raniem następnego dnia pary uczestników.

– Wsio super! – brzmiała odpowiedź.



Młodzież z Polski i Rosji zwiedziła także Muzeum obozu w Gross Rosen na Dolnym Śląsku. Archiwum Stowarzyszenia Absolwentów ZSO w Bystrzycy Kłodzkiej.

#### ❖ Czerwone goździki na zapomnianych grobach

Następnego dnia polscy i rosyjscy uczniowie pojechali do miejscowości, w których ponad 70. lat temu mieszkali polscy zesłańcy „specpieresieleńcy”. W każdej z nich zaplanowano bowiem ustawienie tablic pamięci (w języku rosyjskim i polskim) utrwalających ten trudny okres pobytu na zesłaniu. Wieziono z sobą sadzonki cedrów, kwiaty – czerwone goździki i sprzęt do wkopania w ziemię wspomnianych tablic, posadzenia drzew i kwiatów.

Początek – najbardziej odległa osada w rejonie lenskim miejscowość Witiunino. Starsi mieszkańcy pamiętają, że na jej skraju, jeszcze w latach 50. XX wieku, znajdował się polski cmentarz. Z biegiem lat mogiły zrównały się z ziemią, jeszcze później w pobliżu zbudowano dom. Jego właściciele wspominali, że podczas prac budowlanych na niewielkiej głębokości natknęli się na ludzkie szczątki. I właśnie w tym miejscu, przy ogrodzeniu otaczającym dom, uczniowie ustawili znak pamięci w formie tablicy memorialnej, posadzili dwa cedry i złożyli kwiaty. Towarzyszyła temu niewielka uroczystość z udziałem mieszkańców osady, którzy zaprosili nas do miejscowego klubu, gdzie czekał stół zastawiony ciastem i gorącą herbatą.

Równie ciepło przyjmowano polsko-rosyjską delegację w Niandzie, gdzie kadeci szkoły w Urdomie zaciągnęli wartę honorową przy pomniku Polaków – jeńców wojennych, którzy zginęli tu w podczas budowy linii kolejowej ponad 70. lat temu. Ciepło i serdecznie przyjmowano nas również w osadzie Słobodczikowo i w Jarendze.

Dziękujemy wam – zwracał się do mieszkańców jeden z opiekunów polskiej grupy Janusz Kobryń – za zachowanie pamięci o naszych rodakach. Jesteśmy wdzięczni waszym matkom, za to że w tak trudnych czasach ratowały tych, którzy znaleźli się tu na zesłaniu. Ratowały ich czy to kawałkiem chleba, czy to dzieląc się kartoflem, czy też pomagając dobrą radą. Wielu z tych, którzy byli na zesłaniu, serdecznym słowem wspomina tutejszych mieszkańców.

Program tygodniowej wizyty naszych gości był bardzo intensywny i obejmował: wyjazd do Syktywkaru, uroczystość przy Pomniku Ofiar Represji Politycznych na cmentarzu w Jareńsku, wycieczkę po starym Jareńsku, biwak nad Jeziorem Siebentij, wieczorne spotkanie w Centrum Edukacyjnym.

Jeden dzień poświęcony był na pobyt w szkole. Goście z Bystrzycy Kłodzkiej uczestniczyli w lekcjach, wzięli również udział w konferencji prasowej. Zdążyli też wytańczyć się na szkolnej dyskotecie i zawrzeć tam nowe znajomości.

#### ❖ **Reportaż z Warszawy**

Natalia Griebniewa we wrześniu została mamą pięciorga dzieci (do jej własnej trójki doszły jeszcze dwie polskie uczestniczki) i wszyscy zmieścili się w małym jareńskim domku. Mimo pewnego ścisku nikt nie poczuł się urażony i wdzięczni rodzice Agaty Kowalczewskiej zaprosili na przyjacielską kolację „rosyjską mamę swojej córki”. A jednocześnie i nas – opiekunów obu grup.

Przy stole rozmawialiśmy o swoich wrażeniach z pobytu w Polsce, o tym co przeżywali rodzice, którzy we wrześniu wyprawiali swoje dzieci w podróż do Rosji. Rozmawialiśmy o szkolnych sprawach – rodzice Agaty są nauczycielami. A na ekranie telewizora widać było rozgorączkowany tłum wymachujący pałkami, przez plac przebiegały oddziały policji w kaskach.

– To pewnie jakaś stara kronika? – zapytałem cichutko naszego polskiego koordynatora, Janusza Kobrynia.

– Nie – odpowiada, tak samo cicho – to transmisja na żywo. Z Warszawy.

Tato Agaty obejrzał się i wyłączył telewizor. Przeszkadza w rozmowie.

Nie odczuwaliśmy nie tylko strachu, ale nawet niepokoju, mimo iż przed odjazdem nie raz próbowano nas ostrzec. Przypominano o zeszłorocznych (2012) mistrzostwach piłkarskich, w trakcie których w centrum Warszawy doszło do starć kibiców. Mówiono o napięciu politycznym, jakie panuje między naszymi państwami.

Mieliśmy swoje doświadczenia w kontaktach, choćby i poprzez internet. Ale to zawsze były kontakty przyjacielskie. I na telefony zaniepokojonych rodziców odpowiadaliśmy ciągle tak samo: u nas wszystko w porządku.

#### ❖ **Wieniec z *Giorgijewskimi Lentoczkami*<sup>2</sup>**

Ogromny Cmentarz Żołnierzy Armii Radzieckiej we Wrocławiu zaskoczył nas – jest bardzo zadbane. Cały teren uporządkowany bardzo starannie, co

<sup>2</sup> *Giorgijewskaja Lentoczka* – wstążka nawiązująca do wstęgi Orderu św. Jerzego. Od roku 2005 noszona jest w Rosji i innych państwach, dla uczczenia Dnia Zwycięstwa 9 maja 1945 roku, w okresie od 24 kwietnia do 12 maja. (Przypis tłumacza).

u nas w Rosji spotyka się niezbyt często. Płyty nagrobne, na których wyryto nazwiska, otoczone są starannie przyciętym żywopłotem, trawa wykoszona, na niektórych grobach stały znicze. Przy znajdującym się w centrum cmentarza pomniku też były kwiaty i znicze.

Zebrałiśmy się pod pomnikiem, by uczcić pamięć poległych. Dwoje uczniów złożyło wieniec, do którego pozostali uczestnicy przywiązywali wstążki, przekazane nam w Jareńsku przez weteranów. Ogłaszamy minutę milczenia.

Idziemy w stronę autobusu, którym jechaliśmy tu dwie godziny. Beata Kobryń gestem dłoni zatrzymuje nas! Nie spieszcie się. Mamy czas. Skoro przebyliście te trzy tysiące kilometrów, żeby móc być tutaj, nie trzeba się spieszyć.

Na płytach rosyjskie nazwiska. Daty urodzenia są różne, ale daty śmierci prawie nie do odróżnienia: wiosna 1945 roku. Breslau (taką nazwę nosił Wrocław do czasu konferencji poczdamskiej, kiedy wszedł w skład Polski), był jednym z nielicznych miast, które wiosną 1945 roku uporczywie się broniły przed nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej. Kapitulacja Breslau została ogłoszona dopiero szóstego maja, w czasie walk zginęło tu około dziewięciu tysięcy naszych rodaków.

#### ❖ **Dziękuję, Polsko!**

W czasie wymiany powstała nowa tradycja: wszystkim, którzy pomagali nam w podróżach po Rosji i po Polsce dziękowaliśmy: najpierw po polsku: „dziękujemy!”, a następnie po rosyjsku: „spasiba!”.

Często brzmiały te słowa wdzięczności w dwóch różnych językach. Nasi polscy organizatorzy przygotowali na każdy dzień wspaniały program: po zapierającej dech wycieczce do Jaskini Niedźwiedziej udaliśmy się w góry. Zwiedzaliśmy jeszcze wrocławską starówkę z pięknymi kościołami, których wieże kończą się gdzieś tam – na wysokości wywołującej zawrót głowy; kręte i wąskie uliczki Bystrzycy Kłodzkiej, drewniany Kościół Pokoju w Świdnicy, umieszczony na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Mieliśmy także spotkania w szkołach Bystrzycy Kłodzkiej i nieodległym Kłodzku. Byliśmy także w Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy, a wizyta ta wywarła ogromne wrażenie na uczniach, którzy po raz pierwszy zobaczyli dawny nazistowski obóz koncentracyjny.

Nadeszła pora pożegnania. Były i łzy, i słowa smutku, wypowiedane już przez zamknięte drzwi autobusu, który odwoził nas na lotnisko: „Dziękuję Polsko!”

Wymiana międzynarodowa skończyła się, ale nasza wspólna praca trwa. W rejonie lenskim (którego siedzibą jest Jareńsk) jest ponad dziesięć miejsc, w których w połowie lat 40. XX wieku znajdowali się obywatele polscy – osiedleńcy specjali i jeńcy wojenni. Większość tych miejsc położonych jest daleko w tajdze. Począwszy od tego roku jareńscy uczniowie będą brać udział w ekspedycjach badawczych połączonych z ustawieniem znaków pamięci<sup>3</sup>.

*Oleg Ugriumow*

#### ❖ **Garść szczegółów**

Zorganizowanie opisanej wyżej wymiany stało się możliwe dzięki dofinansowaniu otrzymanym z Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w Warszawie oraz z Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Sankt Petersburgu. Wymianę prowadziło Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Bystrzycy Kłodzkiej oraz Cen-

---

<sup>3</sup> Tłumaczył Janusz Kobryń.



trum Edukacyjnego w Jareńsku w partnerstwie z petersburskim „Memoriałem” i Kołem Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej. Duże wsparcie zapewniły nam także władze Jareńska, Urdomy, Gmina Bystrzyca Kłodzka i Powiat w Kłodzku jako jednostki samorządu terytorialnego. Osobne słowa podziękowania należą się tym, bez których projekt ten nie byłby możliwy – rodzicom uczniów. Zgodzili się na przyjęcie uczestników w swoich domach, traktując ich jak członków rodziny. Nasi uczniowie często mówią „moja rosyjska mama”.

Temat wiodący wymiany „Małe Ojczyzny. Lokalni bohaterowie. Z kogo jesteśmy dumni” pozwolił na podjęcie dialogu. Jest to temat ważny i trudny. Młodzież w Jareńsku odkrywała tamtejszych bohaterów: zesłańców z lat 30-tych – rozkułaczanych chłopów, żołnierzy biorących udział w II wojnie światowej, ich dzieci i wnuki. Młodzież rosyjska podczas swojego pobytu w Bystrzycy Kłodzkiej (listopad 2013) poznała osoby ważne w naszej lokalnej społeczności: Sybiraków, więźniów obozów koncentracyjnych, deportowanych do pracy w III Rzeszy.

W oparciu o Indeks Represjonowanych stworzony przez Ośrodek KARTA udało się ustalić nazwiska 36 pochowanych tam osób różnych narodowości, w tym Polaków (zmarłych do jesieni 1941 roku). We wszystkich tych miejscach młodzież z Polski i Rosji wspólnie posadziła drzewa pamięci – cedry syberyjskie, które dożywają do 800 lat. Planowaliśmy umieszczenie pamiątkowej tablicy w nieistniejącej już osadzie Pantyj, niestety droga okazała się nieprzejezdna. Naszym przyjaciółom zostawiliśmy tablicę, która przy najbliższej sposobności zostanie tam ustawiona. Ustawione przez nas tablice są dwujęzyczne, z napisem o treści:

**В ПАМЯТЬ О ПОЛЬСКИХ СПЕЩЕРЕСЕЛЕНЦАХ,  
НАСИЛЬСТВЕННО ВЫСЛАННЫХ В НАЧАЛЕ 1940-Х ГОДОВ  
В СЕЛО СЛОБОДЧИКОВО И ПЕРЕЖИВШИХ ЗДЕСЬ  
ВЕСЬ УЖАС ПОЛИТИЧЕСКОЙ ССЫЛКИ  
МОЛОДЕЖЬ ПОЛЬШИ И РОССИИ.  
СЕНТЯБРЬ 2013 ГОДА**

**ПАМЯЦИ ПОЛАКÓW – ОСИДЛЕЊСÓW СПЕЦЈАЛНЫХ  
ДЕПОРТОВАНЫХ В ЛАТАХ 40. XX ВІЕКУ  
ДО ОСАДЫ СЛОБОДЧИКОВО,  
КТÓРZY ДОШЉАДЦЫЛІ ТУ ОКРУЦІЊСТЉ  
ЗЕСЛАНІА ПАЛІТЫЧНАГО  
МЛОДЗІЕЖ З ПОЛСКИ І РОСЈІ.  
ВРЗЕСІЊ 2013 РОКУ**

Napis na tablicy na dawnym cmentarzu w Witiunino:

**ПАМЯТИ БЕЗВИННЫХ: ПОЛЯКОВ, РУССКИХ, БЕЛОРУСОВ,  
УКРАИНЦЕВ, ЕВРЕЕВ И ЛЮДЕЙ ДРУГИХ НАЦИОНАЛЬНОСТЕЙ –  
ЖЕРТВ РАСКУЛАЧИВАНИЯ И ДЕПОРТАЦИЙ  
30-Х И 40-Х ГГ. XX ВЕКА,  
КОТОРЫЕ ПОКОЯТСЯ НА ЭТОМ КЛАДБИЩЕ  
МОЛОДЕЖЬ ПОЛЬШИ И РОССИИ.  
СЕНТЯБРЬ 2013 ГОДА**

**ПАМЯЦИ НЕВІННЫХ: ПОЛАКÓW, РОСЈАН, БІАЉОРУСІЊÓW,  
УКРАІНЦÓW, ЖЫДÓW І ЛУДЗІ ІННЫХ НАРОДОВОСЦІ –  
ОФІАР РОЗКУЉАЧАНІА І ДЕПОРТАЦЈІ ЛАТ 30. І 40. XX ВІЕКУ,  
СПОЧЫВАЈАЦЫХ НА ТЫМ СМЕНТАРЗУ  
МЛОДЗІЕЖ З ПОЛСКИ І РОСЈІ,  
ВРЗЕСІЊ 2013 РОКУ**

Nasze wspólne działania dotyczyły także ustawienia znaków pamięci w dawnych osiedlach specjalnych rejonu lenskiego. Były to Nianda (obecnie w obrębie Urdomy), Słobodczikowo, Jarenga. W miejscowości Witiunino ustawiliśmy tablicę upamiętniającą osiedleńców specjalnych pochowanych na tamtejszym cmentarzu. Nie zachował się on do chwili obecnej. Jednak dzięki mieszkańcom możliwe było dokładne zlokalizowanie tego miejsca.

W trakcie pobytu w dawnych osiedlach specjalnych uczniowie wypełniali kwestionariusze opracowane przez Centrum Naukowo-Informacyjne „Memorial” w Sankt Petersburgu. Zebrana w ten sposób dokumentacja dostępna jest na stronach Wirtualnego Muzeum Gułagu: [www.gulagmuseum.org](http://www.gulagmuseum.org) oraz na stronie Koła Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej: [www.sybiracy.bystrzyca.pl](http://www.sybiracy.bystrzyca.pl)

Udało się nam dotrzeć do kilku wspomnień osób zesłanych do rejonu lenskiego, ich relacje zesłańcze nie wyjaśniają jednak wszystkich wątpliwości np. co do lokalizacji i ilości miejsc pochówków na odcinkach leśnych (tzw. uczastkach). Jest to ważne, gdyż planujemy kilka ekspedycji do nieistniejących już osad, w których przebywali osiedleńcy specjalni, w tym także Polacy.<sup>4</sup> Prosimy zatem Czytelników „Zesłańca”, którzy dysponują informacjami na ten temat o kontakt: tel. 606-205-489, e-mail: [sybiracy@interia.pl](mailto:sybiracy@interia.pl)

*Oleg Ugriumow, Janusz Kobryń*

---

<sup>4</sup> Oleg Ugriumow, dziennikarz, działacz społeczny, koordynator wymiany ze strony rosyjskiej. Autor książek i publikacji dotyczących historii regionu. W roku 2013 za zasługi dla dokumentowania historii represji Polaków przez totalitaryzm sowiecki otrzymał z rąk Piotra Marciniaka, Konsula Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Sankt Petersburgu Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Janusz Kobryń, koordynator wymiany ze strony polskiej, działacz społeczny, współredaktor „Wspomnień Sybiraków” serii wydawanej przez Koło Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej.

---

---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Stanisława-Sabine Chobian-Chéron, *Les Coquelicots de L'espérance, ou la lettre a Staline d'une jeune Polonaise*; Paris, L'Harmattan 2013; Stanisława Chobian-Cheron, *Wędrownie Maki*, Warszawa, PIW 2007, s. 391.**

Na rynku francuskim pojawiła się w końcu 2013 r. unikalna biografia młodej Polki, próbującej żyć godnie i przetrwać w sowieckim, totalitarnym systemie w latach powojennych (1945-1955). Historia Polaków i ich losy z okresu II wojny światowej oraz sowieckiej dominacji nie są na Zachodzie znane, tym bardziej więc należy docenić trud przygotowania tej książki dla frankojęzycznego czytelnika. Warto też przy tej okazji przypomnieć polskim czytelnikom tę piękną pod każdym względem książkę, wydaną wcześniej w kraju.

Mottem wspomnień Stanisławy Chobian-Cheron mogłyby być jej własne słowa zaczerpnięte ze wspomnień, gdy zdeterminowana w walce o przyjęcie jej na ostatnie dwa lata studiów medycznych napisała „Nie mam prawa wątpić w wygraną. Wiedziałam, że nie wolno mi okazywać słabości, a wichura życia nie może załamać ducha nadziei, bo wraz z utratą nadziei człowiek ginie. Muszę walczyć i wierzyć w gwiazdę Opatrzności” (s. 216). Rzeczywiście cała książka jest dowodem na tę odwagę i wiarę w możliwość osiągnięcia wytyczonych celów, choć droga do nich była zawsze wyjątkowo wyboista i niebezpieczna. Słowa „z uporem i odwagą iść” w jej perypetiach życiowych były stale obecne, podobnie jak „Oda do młodości” i natchnione wiersze innych romantyków.

Kim jest Stanisława Chobian-Cheron? Współcześnie mieszkanką Nancy i emerytowanym lekarzem oraz matką i babcią. Urodziła się w 1928 r. w Polsce w Iwiu w woj. nowogródzkim (obecnie Białoruś) jako piąte dziecko Stanisława i Wiktorii Chobian. Rodzice posiadali pod Iwiem majątek ziemski, który po zajęciu Polski wschodniej przez Armię Czerwoną w 1939 r., przez stalinowski reżim uznany został za „kułacki”. Ojciec autorki zmarł w 1938 r. a matka, aby podjąć zadaniom gospodarskim, zatrudniała chętnych do pracy, których było wielu, ale najemna praca w ZSRR była zakazana i karana. Pragnieniem młodej Stanisławy po zdaniu matury w 1947 r. było zostać lekarzem. Aby studiować upragnioną medycynę w Wilnie musiała ukrywać nie tylko swoje „kułackie” pochodzenie społeczne, także narodowe – była Polką. Studia jednakże były potrzebne i warte wyrzeczeń. Mieszkała więc kątem u krewnych w Wilnie, nie przyznawała się do majątku, który już od 1948 r. obserwowało NKWD a brak pieniędzy na utrzymanie siebie, ukrywającej się matki i młodszego brata zmusił ją do walki o stypendium i do pracy. Jako studentka trzeciego roku podjęła ją w wileńskim pogotowiu i nie dojadając i nie dosypiając opatrywała rannych w wypadkach, była dyspozytorem i wreszcie felczerem.

Życie postawiło ją jednak przed znacznie większymi wyzwaniami. W 1949 r. ujawniono chorobę matki. To był rak. Po agresywnej terapii „promieniami X” lekarze dawali jej rok, najwyżej dwa lata życia. Przeżyła jeszcze 31 lat a autorka skomentowała to słowami „jeśli lekarz jest zbyt wielkim pesymistą – należy udać się do innego”, gdyż wola wyzdrowienia i chęć życia są decydujące. Rak matki nie okazał się najgorszą z możliwych przeciwności losu. W 1950 r. ukochana mama została aresztowana po raz pierwszy, jednakże usilne starania wielu osób i pośrednictwo posiadanych carskich złotych rubli, doprowadziły po 4 miesiącach do jej uwolnienia – do czasu procesu. Nastąpił on w 1952 r. 59-letnią Wiktorię Chobian skazano na 7 lat więzienia „za kułactwo”. Przeciętnie zasądzało za to przewinienie 15 lat, ale matka – wdowa miała bardzo dobrą opinię wśród mieszkańców swojej wsi. Kolejnym wstrząsem, który nastąpił kilka tygodni później był łomot do drzwi w nocy z 13 na 14 kwietnia 1952 r.

NKWD zarządziło deportację Stanisławy i jej młodszego brata Janka, ucznia 10 klasy szkoły średniej do Kazachstanu. Podróż, tak jak miało to miejsce w latach 1940 i 1941 podczas masowych deportacji Polaków z ziem wschodnich, odbyła się w bydłowych wagonach, bez podstawowych wygod i trwała kilka tygodni. Kolejną, ciężarówkami i pieszo dotarli wraz z innymi Polakami przez zakurzony step i pola maków do kołchozu Dymitrowa niedaleko Abaj Bazaru w Kazachstanie, blisko uzbeckiej granicy. Do Taszkientu – stolicy Uzbekistanu było w prostej linii 30 kilometrów.

Pustynia Kyzyl-Kum pokryta łąkami maków zainspirowała zgnębioną dziewczynę do pozytywnego myślenia a maki kwitnące w tak niesprzyjających warunkach dodały nadziei... W kołchozie, jako absolwentka trzech lat studiów medycznych mogła przyjąć posadę felczera, co było najszcześniejszym w tym wypadku wyjściem. Pracując w okolicznych osiedlach, spotykała wielu innych wysiedlonych: Niemców nadwołżańskich, Czeczenów, a nawet komunistów greckich i tureckich, gruzińską inteligencję deportowaną w styczniu 1952 r. podobnie jak mieszkańcy republik nadbałtyckich i Polacy. Chorych wśród nich było bardzo wielu. Doskwierał głód, brak czystej wody i higieny, praca ponad siły i przegnębienie. Niebezpieczne były ukąszenia żmij i skorpionów, ale także pcheł i wszy. Pojawiały się epidemie. Mimo wielu własnych trudności, podejmowała działania, aby umożliwić matce wcześniejsze wyjście z więzienia (apelacja miała przynieść dobre efekty) oraz pomóc bratu pracującemu jak wszyscy na polach bawełny i w kołchozie. Dla realizacji zamierzeń autorka postanowiła walczyć o poprawę wspólnego losu. Najważniejszym celem było ukończyć przerwane studia medyczne. Jednakże pisma, prośby i podania o przyjęcie na IV, III i w końcu II rok studiów przesyłane do Karagandy i Ałma-Aty w Kazachstanie zostały odrzucone z braku wolnych miejsc! Inną przeszkodą nie do przebrnięcia było przemeldowanie z jednej republiki do drugiej nie osiągalne w miejscowej Spec komendanturze NKWD, choć tylko 30 kilometrów dzieliło autorkę od Instytutu Medycznego w Taszkencie. Te zmagania z biurokracją trwały 8 miesięcy i zostały przez autorkę dosadnie opisane. Tylko fortel i działania na granicy prawa (grożące ciężkim więzieniem), przyniosły w końcu rezultat. Stanisława jak tonący, „chwyciła się brzytwy”, napisała prośbę do Stalina o zgodę na przemeldowanie do Uzbekistanu aby móc studiować w Taszkencie. Pozytywna odpowiedź z Moskwy zrobiła piorunujące wrażenie i otworzyła jej drogę do dalszych studiów. Nie zakończyły się na tym jej perypetie, choć po śmierci Stalina amnestia objęła także jej matkę. We troje rozpoczęli starania o wyjazd do Polski, do starsze-

go rodzeństwa. Udało się, nie bez ryzyka i kolejnych przeszkód. Wigilię 1955 r., spędzili już w Polsce. Niewielu z deportowanych miało tyle szczęścia.

Wspomnienia pisane po latach, to zwykle zarys najbardziej radosnych i najboleśniejszych przeżyć, gdyż te pamięta się najlepiej. W przypadku wspomnień Stanisławy jest podobnie. W Jej książce straszne przeżycia przeplatane są jednak pogodnymi i romantycznymi wspomnieniami z łobuzerskiego dzieciństwa, z tradycji polskich świąt i obyczajów, zabaw, zalotów a nawet osiągnięć sportowych autorki. Była ciekawa świata, o czym świadczy lot „kukuźnikiem”, czy szalona wyprawa do Moskwy i nielegalny wypad do Petersburga i Wilna w 1954 r. bez potrzebnych zezwoleń. Ryzykowała, ale nie przekraczała granic przeczności i jak sama twierdzi, dzięki Opatrzności Bożej uniknęła wielu niebezpieczeństw. Żyła w burzliwych czasach, w Europie a nawet w Polsce mało znanych. Była świadkiem historycznych wydarzeń w Rosji sowieckiej i odwilży po śmierci Stalina. Dała temu wyraz w licznych wypowiedzeniach i naukowych uzupełnieniach, dzięki czemu wspomnienia te mają wielki walor poznawczy: historyczny, socjologiczny, etnologiczny i filozoficzny. Lektura pochłania czytelnika całkowicie, zanurzając go także dzięki przepięknej, nieco archaicznej polszczyźnie w świat który przeminął, ale wartości moralne, świadczące o godności i determinacji w osiągnięciu celów przetrwały i aktualne są współcześnie.

Mieszkańcy Europy zachodniej niewiele wiedzą o polskiej historii, zatem każdą próbę jej przybliżenia należy uznać za wyjątkowo cenną i potrzebną. W Polsce natomiast te wspomnienia przywołują mało znaną ze źródeł historię deportacji powojennych i są znakomitym uzupełnieniem literatury „sybirackiej”. Warto dodać, że w pracy zamieszczono liczne fotografie i kserokopie dokumentów z prywatnych zbiorów autorki oraz, że książka została wyróżniona przez Instytut Pamięci Narodowej w konkursie „Prawda i Pamięć”.

*Elżbieta Trela-Mazur*

- **Anna Maria Stogowska, *W służbie ludzi i Ojczyzny. Aleksander Maciesza (1875-1945)*, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2013, s. 308.**

Każdy region ma swoich wyjątkowych ludzi, o których warto pamiętać, ponieważ mieli oni znaczący wkład w rozwój tzw. „małych Ojczyzn”. Takim zasłużonym obywatelem Płocka, rzec można doktorem Judymem, był Aleksander Maciesza, któremu Anna Maria Stogowska poświęciła omawianą tu monografię. Książka jest opartym na bogatych źródłach studium biograficznym obejmującym działalność lekarską, charytatywną i społeczną jej bohatera, posła do Dumy Państwowej, burmistrza Płocka w latach 1917-1919, działacza oświaty i kultury, prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego, autora wielu publikacji dotyczących Ziemi Płockiej oraz tego mazowieckiego miasta, z którym związał się na wiele lat po przybyciu doń z dalekiego Tomsku. Autorka tej ze wszach miar interesującej publikacji prezentuje ze znanstwem w toku potocznej narracji życie zawodowe, społeczne, naukowe i osobiste Aleksandra Macieszy, ale także jego pasje, zainteresowania, przeżycia, formy spędzania czasu wolnego i przymioty charakteru, słowem Człowieka wrażliwego na ludzkie troski i niedole.

Publikacja składa się z pięciu rozdziałów prezentujących różne sfery życia tego lokalnego lekarza, intelektualisty i działacza. Rozpoczyna się ona syberyjskim doświadczeniem rodziny Macieszów oraz prezentacją dzieciństwa i młodości jej bohatera. Urodzony w 1875 roku w Tomsku na Syberii w rodzinie polskich zesłańców, którzy za udział w powstaniu styczniowym zostali wywiezieni w głąb Rosji, wychowany w duchu patriotycznym, przesiąkł młody Aleksander miłością do Ojczyzny. Dodajmy tu, że tomskim zesłańcom wiele uwagi poświęcił znany badacz Syberii Antoni Kuczyński, którego prace umiejętnie wykorzystuje autorka tej książki by pełniej ukazać tło młodzieńczego życia swojego bohatera. Odwołuje się także do wspomnień zawartych w książce samego Macieszy. Ciekawie opisuje życie Polonii w Tomsku i najważniejsze fakty z życia rodziny Macieszów. „Ze wspomnień Aleksandra wynika, że miał trudne dzieciństwo – pisze Anna Maria Stogowska – Mimo złych warunków bytowych rodzice bardzo zabiegali o wychowanie dzieci [...], uczyli dzieci czytać i pisać w ojczystym języku. Matka swymi opowiadaniem o przyrodzie, ludziach i historii wzbudzała w dzieciach tęsknotę do kraju przodków i chęć powrotu do rodzinnych stron” (s. 35). Dzięki rosyjskiemu stypendium Aleksander Maciesza ukończył studia medyczne, ale był także zobowiązany do odpracowania pomocy finansowej. Podjął więc pracę w miejscowości Smoleńsk, gdzie prowadził mały szpital i niósł pomoc ludziom rozrzuconym na ogromnej przestrzeni ponad 11 tysięcy km obwodu altajskiego guberni tomskiej. Czuł obcość ziemi rosyjskiej i tęsknił do nieznanego sobie kraju swych przodków. Na kongresie chirurgów w Moskwie „dowiedział się, że gubernator płocki zwrócił się do Instytutu Lekarskiego w Petersburgu o wskazanie lekarza na wakujące stanowisko w więzieniu płockim i szpitalu św. Aleksego. Młody lekarz szybko zdecydował się na objęcie posady [...]. Po załatwieniu spraw służbowych razem z matką Aleksander udał się do nieznannej, ukochanej i wymarzonej ojczyzny” (s. 36-37).

Jak wyglądało życie tomskiego lekarza w Polsce? Władze carskie liczyły na współpracę Macieszy. „Sprowadzony z głębi Rosji do Płocka miał powiększyć grono urzędników carskich wykorzystywanych do represji nad Polakami” (s. 45). Tymczasem stało się inaczej. Aleksander podjął czynną walkę z zaborcą. Był lekarzem więziennym dbającym o stan zdrowia osadzonych w nim różnej kategorii przestępców, opiekował się pacjentami miejscowego szpitala, ale także aktywnie uczestniczył w działalności społecznikowskiej i politycznej. Otwarcie domagał się zniesienia języka rosyjskiego w szkołach i urzędach, za co został usunięty z rządowej posady. Szybko zdobył jednak zatrudnienie jako lekarz w Seminarium Duchownym w Płocku i nauczyciel w polskim gimnazjum.

Maciesza był „niespokojnym duchem”, nie potrafił beczynn timer przyglądać się zaniedbaniom w różnych dziedzinach życia. W jakich sferach działał, co robił, w czym szukał spełnienia? Koniecznie o tym trzeba przeczytać w tej ze znawstwem napisanej interesującej książce ponieważ jest w niej recepta dla wszystkich maruderów, twierdzących, że się nie da czegoś zrobić. Dla młodego lekarza nie było rzeczy niemożliwych, konieczne było tylko dostrzeżenia problemów ludzi i lokalnej wspólnoty. Aleksander Maciesza był publicystą, propagatorem polepszania zdrowotności i higieny wśród lokalnej społeczności, antropologiem, regionalistą, działaczem kulturalno-oświatowym i wielkim społecznikiem.

„Wśród wielu zasług Aleksandra Macieszy dla miasta Płocka należy wyróżnić jego działalność w samorządzie i administracji miejskiej” (s. 63). Był włodarzem miasta w latach 1917-1919. O tym, jak wyglądało zarządzenie Płoc-

kiem w czasach pierwszej wojny światowej i okupacji niemieckiej pisze Anna Maria Stogowska, wielokrotnie podkreślając troskę Macieszy – burmistrza i prezydenta o głodnych, ubogich i dzieci. Doktor Aleksander był wielkim orędownikiem edukacji. Pragnął, aby kaganiec oświaty był dostępny dla wszystkich dzieci, bez względu na zamożność rodziców, a nauka odbywała się w języku ojczystym. Uczestniczył w wielu inicjatywach miasta, „miał duży wpływ na rozwój polskiej oświaty w Płocku. Działał w różnych stowarzyszeniach mających na celu tworzenie polskich szkół. Był aktywnym członkiem Macierzy Szkolnej, Towarzystwa Szkoła Średnia, prezesem Komitetu Budowy Szkoły Polskiej. Był inicjatorem powstania Seminarium Nauczycielskiego i należał do Rady Opiekunczej [...]. Dbał o polskie szkolnictwo elementarne. Poświęcał dużo uwagi przed-szkolnemu wychowaniu dzieci w ochronkach” (s. 113). Bez jego zaangażowania, o wiele uboższa byłaby edukacja Płocka, podobnie jak czasopiśmiennictwo lokalne. Maciesza współpracował z wieloma pismami, a sam był redaktorem: „Głosu Płocka”, „Rocznika Towarzystwa Naukowego Płockiego” i „Życia Mazowsza”. Dużo pisał o problemach społecznych, regionalnych, zdrowotnych, ale także poświęcał się badaniom naukowym w dziedzinie antropologii fizycznej.

Dodajmy, kontynuując ten wątek, że działania Macieszy na rzecz kultury, tożsamości narodowe i wspólnoty regionalnej szczególnie były realizowane przez Towarzystwo Naukowe Płockie, któremu prezesował przez długie lata. Anna Maria Stogowska wnikliwie analizuje przedsięwzięcia tego Towarzystwa i zasługi jego prezesa. Pokazuje, jak wiele dobra może zdziałać wiara i zaangażowanie w szczytne cele i ideały. Z inicjatywy tej organizacji powstały biblioteki publiczne, realizowane były badania dotyczące regionu, chronione oraz ratowane zabytki i dobra kultury (muzeum). Prezentowana tu książka *W służbie ludzi i ojczyzny* jest nie tylko o „pracy u podstaw” Macieszy, ale także opowieść o zwykłym człowieku lubiącym podróże krajowe i zagraniczne, pasjonacie regionalizmu i fotografii, miłośniku książek i maniaku ich zbierania. Potwierdzeniem zainteresowań płockiego doktora są liczne jego zdjęcia umieszczone w tej publikacji.

W życiu człowieka ważna jest rodzina. Szczęśliwe życie rodzinne Aleksandra wpłynęło na jego aktywność zawodową i społecznikowską. Żona Maria podzielała jego zainteresowania i pasje, towarzyszyła mu i pomagała w licznych przedsięwzięciach. Sama była kobietą aktywną społecznie i zawodowo oraz ogromną miłośniczką przyrody. Autorka uwypukliła rolę Marii, nie tyle jako żony, ale działaczki, kronikarki rodziny i wydarzeń w Płocku, przyrodniczki, nauczycielki. Maria Macieszyna to postać, która nie żyła w cieniu sławnego męża, lecz sama aktywnie uczestniczyła w różnych lokalnych przedsięwzięciach. Doskonale godziła życie rodzinne ze swymi pasjami, zainteresowaniami i pracą.

Jedyny brat Aleksandra Macieszy Adolf był też lekarzem i naukowcem. Wyniesiona z rodzinnego domu w Tomsku miłość do Ojczyzny, skłoniła go do rezygnacji z kariery uniwersyteckiej i wstąpienia do Legionów Polskich. O związku Adolfa z Marszałkiem Józefem Piłsudskim i braterskich więziach autorka interesująco opowiada. Obaj bracia Macieszowie „urodzeni i wychowani na dalekiej Syberii [...], po przybyciu do wymarzonej ojczyzny służyli jej swym intelektem, pracą i własną krwią” (s. 272).

W *Zakończeniu* Anna Maria Stogowska podkreśla pozytywistyczne i organicystyczne idee Macieszy oraz jego pracę dla dobra Polski i polskości. Życiorys Aleksandra Macieszy to znakomity przykład działań na rzecz miejsco-

wego środowiska i lokalnej wspólnoty. Płock wiele zyskał przyjmując dziecko zesłańców z dalekiej Syberii, a dziecię tomskie znalazło w Płocku wymarzoną Ojczyznę. Książka godna jest uwagi przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze opisuje hart ducha jej bohatera, zaangażowanie i walkę z krzywdą społeczną, troskę o dobro w różnych wymiarach, czyli pokazuje nieprzemijające wartości i aktywną postawę. Sama autorka pisze: „Dziś w dobie poszukiwania autorytetów warto przypomnieć sylwetkę doktora Aleksandra Macieszy, którego praca społeczna przyniosła tak wiele owoców dla środowiska płockiego” (s. 275). Drugi powód, dla którego warto przeczytać tę monografię to tło historyczne, stanowiące osnowę losów bohatera. Autorka koncentruje się na postaci Aleksandra Macieszy, ale opisuje też panoramę Płocka i życie w tym mieście od czasów zaboru rosyjskiego do końca drugiej wojny światowej. Jest to gratka dla regionalistów i historyków społeczności lokalnej, gdyż słowami Anna Maria Stogowska tworzy umiejętnie i zajmująco pocztówkowy obraz starego Płocka. Poznajemy więc jego ulice, place, urzędy, targi, kramy, miejsca stacjonowania wojska oraz odpoczynku mieszkańców, ale także przekrój ówczesnego społeczeństwa i problemy lokalne. „Wielka” historia Polski, która odcisnęła piętno na życiu tego jednego z mazowieckich miast i sama specyfika Płocka są interesujące, podobnie jak powiązane z nim życie tego mazowieckiego doktora Judyma.

*Małgorzata Dziura*

- *Istoria i kultura koriennych narodów Dalekiego Wostoka. Materiały międzynarodarodnoj nauknoej konferenciji, poswiaszczennoj 150-letju co dnia roźdienija L. J. Szternberga i 145-letju co dnia roźdienija B. O. Piłsudskogo (g. Južno-Sachalinsk, 7-9 nojabrja 2011 g., Red. kollegia: T.P. Roon, E. A. Ikonnikowa, G. W. Matiuszkow, M. M. Prokofiew, J. A. Samorian, K. . Czerpakowa, Južno-Sachalińsk 2013, s. 288.*

Kompleksowe badania dotyczące życia i dorobku naukowego Bronisława Piłsudskiego prowadzone są od początku lat 80. XX wieku. Biorą w nich udział wybitni znawcy tego zagadnienia, wywodzący się z kręgu językoznawców, etnografów i historyków z kilku regionów Europy i Azji. W ubiegłym roku zainicjowano w Južno-Sachalińsku kolejną konferencję, zorganizowaną z okazji rocznicy urodzin Szternberga i Piłsudskiego. Uczestniczyli w niej uczeni z Japonii, Holandii, Sankt-Petersburga, Chabarowska, Władywostoku i innych miejscowości z obwodu sachalińskiego. Większość wystąpień dotyczy też dnia dzisiejszego aborygenów z rubieży Rosji. Pokłosiem konferencji jest omawiana tu książka *Historia i kultura tubylczych ludów Dalekiego Wschodu*. W nocie redakcyjnej tomu czytamy, że zawarte materiały przeznaczone są dla szerokiego kręgu czytelników, którzy interesują się lingwistyką, folklorem, historią, archeologią i kulturą tamtejszych małych społeczności.

Wystąpieniem, które zainauguowało obrady, był referat A. B. Ostrowskiego *Mitologiczny opis Niwchów. Odkrycie L. J. Szternberga*. Autor zajmuje się tu analizą *tylgunda* (utwór epicki, gatunek specyficzny dla folkloru Niwchów, dawniej zwanych Gilakami), na który składają się materiały częściowo zebrane przez Piłsudskiego. Odnalazł je prof. Łatyszew, badając archiwum Szternberga w RAN. Utwory te były już przygotowane do druku i z niewiadomych przyczyn nie opublikowane. Szternberg wydrukował tylko ich część



w 1908 roku, wydając pierwszą część *Materiałów do badania gilackiego języka i folkloru*. Zdaniem Ostrowskiego posiadają one unikalny charakter, przede wszystkim dlatego, że została w nich przedstawiona obszerna ilość tekstów związanych z niwchskim folklorem. Prawie wszystkie są zapisane w języku wschodniosachalińskim. Teksty te podano z dokładnymi przypisami, zawierającymi tłumaczenia, dzięki czemu stało się możliwe zbadanie leksyki, fonetyki i gramatyki niwchskiego języka.

W drugim referacie wygłoszonym na plenarnym posiedzeniu E.A. Korolewa zajęła się problemem „realizacji państwowej polityki w sferze ochrony kulturowej spuścizny, rozwoju artystycznej twórczości, organizacji wolnego czasu mało liczebnych narodów północnosachalińskiego obwodu”. Napisała tam, że na jego obszarze przebywa ponad 3,8 tysięcy ludzi: Niwchów, Nanajców, Ewenków, Oroków, którzy mieszkają w 7 rejonowych tradycyjnych osadach. Podstawę ich gospodarki stanowi rybołówstwo, hodowla reniferów i psów, polowanie, zbieractwo oraz artystyczne rękodzieło. W dzisiejszych czasach ludy te podlegają globalizacji. Autorka zadaje sobie więc pytania: jak zachować małe etnosy w multikulturalnej przestrzeni regionu, jak nauczyć się prowadzić polikulturowy dialog, jak zachować język aborygenów, a więc ocalić całokształt ich kultury. W sachalińskim obwodzie opracowano w 2011 roku program „Trwałego rozwoju małych narodów tubylczych północy sachalińskiego obwodu na lata 2012-2016”. Czy podjęte działania przyniosą skutek, nie wiadomo – na efekty należy poczekać. W artykule zamieszczone są zdjęcia z wystawy, konkursów czy pokazów, w których uczestniczą autochtoni w narodowych strojach przy tradycyjnych zajęciach, co świadczyłoby raczej, że miejscowa ludność pamięta jeszcze swoją dawną kulturę, ale demonstruje ją tylko okazjonalnie.

W książce opublikowano 47 referatów z różnych dziedzin. Są one zamieszczone w działach: Zagadnienia starożytnej i średniowiecznej historii Sachalina i pogranicznych terytoriów; Aktualne zagadnienia nauki i ochrony języków oraz kultur rdzennych narodów Dalekiego Wschodu; L. J. Szternberg i B. O. Piłsudski – wybitni badacze aborygenów Dalekiego Wschodu. Kultura rdzennych, mało liczebnych narodów Dalekiego Wschodu; Kulturalna spuścizna i aktualne zagadnienia współczesnego społecznego i kulturowego rozwoju narodów Dalekiego Wschodu. Końcowa część książki poświęcona jest referatom niemieszczącym się w wymienionych grupach, ale dotyczących różnych kwestii odnoszących się do grup etnicznych na Dalekim Wschodzie.

Nie sposób omówić tych wszystkich, zróżnicowanych zagadnień. Dlatego zajmę się blokiem zawierającym artykuły poświęcone wybitnym badaczom aborygenów, którzy jak sądzę, najbardziej interesują większość czytelników. Bronisław Piłsudski, dzięki opracowaniom Antoniego Kuczyńskiego i Alfreda Majewicza jest w Polsce dosyć znany. Przypomnijmy zatem sylwetkę Lwa Jakowlewicza Szternberga. Urodził się on 4 maja 1861 roku w Żytomierzu (Wołyń). Za działalność rewolucyjną został zesłany na Sachalin, gdzie zajął się badaniem organizacji życia społecznego, folkloru i wierzeń Goldów, Gilaków, Ajnów, Negidalców i innych plemion tunguzo-mandżurskich. W 1896 roku przeniósł się do Żytomierza, a w 1901 roku podjął pracę w Muzeum Antropologii i Etnografii Cesarskiej Akademii Nauk, której był członkiem. Zmarł w 1927 roku. Los zetknął obu badaczy na Sachalinie. Po raz pierwszy Lew Szternberg spotkał Bronisława Piłsudskiego w 1891 roku, kiedy przybył do wsi Rikowskoje,

by odwiedzić znajomych zesłańców. Tam właśnie polski katorżnik odbywał karę. Wśród współczesnych badaczy spotka się opinię, że na polu naukowym Piłsudski odegrał mniejszą rolę niż Szternberg, choć zdarzają się też inne zdania. Japoński znawca jego dorobku Koichi Inoue uważa np., że w rzeczywistości byli oni partnerami podczas badań terenowych w okręgu tymowskim (Sachalin). Podsumowując ich dokonania stwierdził, że Szternberg był specjalistą w dziedzinie kultury Niwchów, a Piłsudski miał największe osiągnięcia w ajnologii.

Pierwszego z nich omówiło w książce dwóch autorów (M. W. Osipowa, *Naukowe ekspedycje uczniów L. J. Szternberga w Kraju Chabarowskim w 20-30 latach przeszłego stulecia i ich znaczenie dla ojczystej i światowej etnografii*; G. H. Kral, *Lew Jakowlewicz Szternberg – człowiek, uczonec i działacz społeczny*). Piłsudskiemu poświęcono znacznie więcej uwagi, gdyż jego dorobku dotyczyło 6 artykułów. Obok Rosjan, autorami są tu Japończycy: Toshiro Tsunagari, Tangiku Itsuji, Y. Yamada, F. Shindo. Warto dodać, że w poznaniu jego życia i dzieła duży wkład mają właśnie uczeni japońscy. Stało się tak nie bez przyczyny. Pewne znaczenie ma fakt, że Bronisław Piłsudski na Sachalinie założył rodzinę i ze związku z siostrzenicą naczelnika wsi Ai Chuhsammą urodził mu się syn Sukezo (1903) i córka Kiyō (1905). W czasie wojny 1905 roku wyspa dostała się w ręce Japonii, gdzie potomkowie Piłsudskiego żyją do dziś. Trudno też nie docenić jego osiągnięć w zakresie dokumentowania wymierających kultur Dalekiego Wschodu. Prowadzona w ubiegłych wiekach przez Japonię polityka asymilacyjna wobec Ajnów, dyskryminacja i trudne warunki życia doprowadziły tę nację na skraj zagłady.

Blok poświęcony jest nie tylko Piłsudskiemu i Szternbergowi, ale też stanowi niejako hołd złożony Władysławowi Łatyszewowi, który przyczynił się do powstania instytutu naukowego przy Muzeum Krajoznawczym, zajmującego się dziedzictwem polskiego badacza. Na konferencji w Južno-Sachalińsku Łatyszew przedstawił referat *Otoczenie Bronisława Piłsudskiego. L. W. Poddubski*. W wystąpieniu zwrócił uwagę, że wśród licznych znajomych polskiego badacza na Sachalinie, można wyodrębnić kilka grup. Są to polityczni zesłańcy i katorżnicy, *posieleńcy* (ludzie osiedleni tam po odbyciu kary), dzieci, *inorodcy* (tubylcy z Sachalina – Niwchowcy, Orokowcy, Ajnowcy), urzędnicy więziennictwa i ich żony, oficerowie wojskowych komand. Wśród tych kategorii szczególne miejsce zajmowali lekarze. Piłsudskiego łączyły więzi z Leonidem Wasiljewiczem Poddubskim, który w 1881 roku ukończył kurs Chabarowskiego Imperatorskiego Uniwersytetu. Już w czasie pierwszego spotkania w Rykowskiej stacji meteorologicznej, lekarz zwrócił na Piłsudskiego uwagę i odtąd angażował go do różnych prac, związanych z wykonywanym zawodem. Prosił też polskiego katorżnika o informacje dotyczące gilackich lekarstw. Ze swojej strony Poddubski pomagał mu w jego zajęciach fotograficznych. Bezpośrednia znajomość między nimi trwała do 1898 roku, kiedy Poddubski wszedł w konflikt z sachalińską administracją i udał się do Petersburga. Osobnym tematem w referacie Łatyszewa było przedstawienie dwudziestoletniego dorobku specjalistów różnej narodowości nad scaleniem spuścizny Piłsudskiego.

Powyższą kwestię szerzej rozwija artykuł M. M. Prokofiewa *Bronisław Osipowicz Piłsudski (1866-1918) – badacz autochtonicznych ludów Sachalina (prezentacja naukowego projektu sachalińskiego obwodowego krajoznawczego muzeum)*. Pisał on, że Łatyszew zajmował się zbieraniem i opracowywaniem

biograficznych wiadomości o dokonaniach badacza już w latach 70-tych. W latach 1980-90 do projektu tego włączyli się pracownicy instytutu: T.P. Roon, M. M. Prokofiew i G. J. Dudarec. Od kilku lat zadania tej placówki poszerzyły się o badania współczesnych i etnicznych procesów, tradycji i innowacji w kulturach mało liczebnych narodów Północy żyjących obecnie na terenie Sachalina, a także o śledzenie dynamiki ich przemian. Drugim ważnym zadaniem pozostaje kompletowanie i zabezpieczenie przed zniszczeniem, zbadanie i wprowadzenie do naukowego obiegu nie publikowanych wcześniej rękopisów i obszernej epistolarnej spuścizny Piłsudskiego. Materiały te znajdują się w archiwach rozsianych na terenie Rosji i w bibliotekach naukowych w różnych stronach świata. W dalszej części Prokofiew pisze o koncepcji pisma „Izwiestija Instytutu Nasledija Bronisława Piłsudskiego”. Artykuł ten bogato ilustruje materiał fotograficzny.

Z kolei W. G. Borysowa podsumowuje dorobek Łatyszewa, w artykule poświęconym jego pracom związanym z biografią B. Piłsudskiego. Podkreśla, że przez szereg lat (1975-2003), kiedy był on dyrektorem Muzeum Krajoznawczego, badał spuściznę polskiego uczonego i wydał szereg publikacji z nim związanych. Szczególnie cenny jest *Katalog etnograficznych kolekcji B. O. Piłsudskiego w sachalińskim obwodowym Muzeum*.

Na zakończenie dodam jeszcze, że książka, obok bardziej znanych wątków, zawiera też nowe, poszerzające naszą wiedzę o badaczach i ludach Dalekiego Wschodu. Wydany w Rosji tom, w którym opublikowano szereg artykułów opracowanych przez naukowców z różnych części świata, jest wart przeczytania jeszcze z tego względu, że zawiera nowe spojrzenie na określoną rzeczywistość, nie zawsze zgodne z naszym punktem widzenia, nad czym warto się zastanowić (np. jaka była rzeczywista rola Szternberga w dokumentowaniu kultury Niwchów). Może szkoda, że w książce zabrakło notek biograficznych o autorach, gdyż o dorobku czy o specjalizacji wielu z nich nic nie wiemy. Należy też żałować, że jest to pozycja trudno dostępna w Polsce, ponieważ zainteresowałyby zapewne spore grono naszych czytelników.

*Anna Milewska-Młynik*

- ***Поляки в Томском крае 1920-1940 гг. (сборник архивных документов и материалов)*, ред. В. А. Ханевич, Томск 2013, s. 360.**

Na rosyjskiej niwie wydawniczej jesienią ubiegłego roku ukazała się kolejna publikacja doświadczonego badacza dziejów polskiej diaspory na Zachodniej Syberii, związanego naukowo z Tomskiem Wasyla Chaniewicza. *Polacy w kraju tomskim od lat dwudziestych do czterdziestych XX wieku (wybór dokumentów archiwalnych i materiałów)* to wartościowa propozycja o charakterze źródłowym, skierowana głównie do historyków i badaczy, o czym świadczy jej niewielki nakład (400 egzemplarzy).

Autor na niespełna czterystu stronicach prezentuje wyniki swoich wieloletnich kwerend w Archiwum Państwowym Obwodu Tomskiego (GATO), Centrum Dokumentacji Historii Najnowszej Obwodu Tomskiego (CDNI TO) oraz archiwum Federalnej Służby Bezpieczeństwa Obwodu Tomskiego (UFSB TO). Do publikacji włączono ponad 230 pozycji źródłowych różnego typu – rapor-

tów, listów, donosów, protokołów przesłuchań, oświadczeń i postanowień władz sowieckich różnych szczebli, związanych nieodłącznie z Polakami przebywającymi w Tomsku i okolicach, we wspomnianym powyżej okresie.

Ramy chronologiczne pracy definiują jednocześnie problem badawczy, jaki postawił przed sobą Chaniewicz – opisanie jednego z najtragiczniejszych w czterystuletniej historii polskiej diaspory odcinka związanego z nastaniem w Rosji władzy sowieckiej, przez okres wielkiego terroru lat 1937-1938, aż po masowe deportacje obywateli polskich do ZSRS w okresie drugiej wojny światowej. Najpóźniejszy zaś dokument zawarty w wyborze pochodzi ze stycznia 1946 roku i związany jest z pracami polsko-sowieckiej komisji ds. przesiedleń.

Praca Chaniewicza została podzielona na trzy rozdziały odpowiadające następującym po sobie dekadom. W pierwszej części, poświęconej latom dwudziestym, dominującym problemem występującym na kartach zbioru są przemieszczenia związane z zakończeniem wojny domowej w Rosji i ustaleniami traktatu ryskiego, a także aktywności politycznej i społecznej syberyjskich Polaków w pierwszych latach władzy sowieckiej. Uwagę w tej części przyciągają dane statystyczne dotyczące liczebności Polaków zamieszkujących na obszarze guberni tomskiej w 1920 roku (17 051 osób), a także protokoły z posiedzeń polskiej sekcji Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (bolszewików) dotyczące funkcjonowania organizacji społecznych i szkół skupiających polską społeczność Tomsku. Jednakże największa grupa dokumentów w tym rozdziale związana jest z kwestią udziału Polaków w działaniach zbrojnych, w szeregach „białych”, a także domniemanym tworzeniem kontrrewolucyjnych organizacji.

W rozdziale drugim – starannie wybrane materiały – pokazują mechanizmy, jakimi miejscowe struktury NKWD oddziaływały na ludność polską na ziemi tomskiej w latach '30. XX w., m. in. fałszując dokumenty, związane z działalnością rzekomych organizacji o charakterze kontrrewolucyjnym, które wykorzystywano jako pretekst do wszczęcia późniejszych represji. Niejako osobne zagadnienie w ramach tego rozdziału stanowi przygotowanie i przebieg „operacji polskiej” NKWD z lat 1937-1938. Do jego zobrazowania Chaniewicz wykorzystał liczne wypisy z dokumentacji procesowej i akt personalnych osób pochodzenia polskiego, aresztowanych wówczas w Tomsku i okolicach. Na uwagę, nie tylko badaczy, zasługuje wybór źródeł związanych z tragicznym losem mieszkańców osady Biełostok (Białystok), założonej przez dobrowolnych przesiedleńców z guberni grodzieńskiej w końcu XIX wieku, skąd nota bene pochodzi autor omawianej pracy<sup>1</sup>.

Rozdział trzeci w całości związany jest z opisem losu obywateli II Rzeczypospolitej zesłanych w okolice Tomsku w wyniku masowych deportacji z lat 1940-1941. Wybór otwierają niezwykle interesujące dokumenty świadczące o przygotowaniach jeszcze w styczniu 1940 roku [sic!] do planowanego przyjęcia rodzin osadników wojskowych i cywilnych z Kresów. Zawarty jest tu szczegółowy opis liczebności eszelonów i nazwy miejsc osiedlenia, w któ-

---

<sup>1</sup> Problem ten znany jest już szerszemu kręgowi czytelników, ze względu chociażby na dwie monografie W.A. Chaniewicza na ten temat, z których jedna dostępna jest również w języku polskim: V. Hanevič, *Belostokská tragediâ (Iz istorii genocida polâkov v Sibiri)*, Tomsk 1993; W. Chaniewicz, *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, Pelplin 2008.

rych planowano przyjąć zesłańców. Analiza tych dokumentów odkrywa nowe fakty związane z funkcjonowaniem osad specjalnych dla kresowych przesiedleńców. Protokoły rejonowych komitetów wykonawczych (rajispołkomów) wskazują na bardzo złożoną kwestię kwaterowania i zatrudnienia zesłańców w przemyśle leśnym i górniczym na tym obszarze. Wielokrotnie akcentowany jest tu brak dostatecznego przygotowania sanitarnego osiedli specjalnych, ich rozproszenie i oddalenie od centrów zaopatrzenia. Jednocześnie mnogość dokumentów podobnego typu wskazuje na znaczne zaangażowanie miejscowych władz w starania o poprawę losu przesiedleńców.

Druga fala obywateli polskich znalazła się na ziemi tomskiej w wyniku deportacji czerwcowej 1940 roku. Jej ofiarami stali się tzw. bieżęncy, czyli uchodźcy z zachodniej i centralnej Polski znajdujący się na obszarze kontrolowanym przez Sowieców. W publikacji Chaniewicza ta grupa pojawia się przy okazji raportów rejonowych władz partyjnych z całego obwodu nowosybirskiego, głównie w kontekście trudnych warunków, w których osiedlono przybyszy z zachodu, jak i licznych przypadków buntów wybuchających w okolicznych łagrach. Nawet pobieżna analiza przywoływanego tu materiału wskazuje na zupełną nieudolność władz sowieckich w zaspokajaniu elementarnych potrzeb przesiedleńców. Problemy letnie związane ze złymi warunkami sanitarnymi i przeciwnościami ze strony natury (upały, meszka), wraz z nadejściem pierwszych mrozów ustępowały miejsca nowym – tj. brakowi zimowej odzieży, niedostatecznej ilości żywności, czy problemom komunikacyjnym wynikającym z opadów śniegu i mrozu.

W rozdziale trzecim poza źródłami dokumentowymi Chaniewicz zamieścił również materiały o charakterze wspomnieniowym, autorstwa zarówno zesłanych w okolice Tomska Polaków, jak i miejscowych, którzy mieli z nimi styczność. Zapiski Edwarda Sietko-Sietkiewicza, Czesława Bazana, Zbigniewa Burkackiego i innych oddają nastroje towarzyszące wówczas polskim zesłańcom. Przeplata się w nich gorzyc i tęsknota za ojczyzną, codzienne smutki oraz radości, związane ze zdobyciem lepszego pożywienia, czy ubrania.

Jedne z ostatnich dokumentów zawartych w tej części *Polaków...*, dotyczą funkcjonowania w Tomsku (polskiego) Domu Dziecka nr 6 (ul. Róży Luksemburg 48 a). Chaniewicz odszukał listę 28 pracowników placówki, zawierającą szereg danych osobowych – daty i miejsca urodzin, informacje o wykształceniu i zajmowanym stanowisku. Cennym źródłem w tej samej sprawie jest publikowany spis wychowanków Domu, zawierający dane o 174 osobach. Ze względu na obowiązującą w Federacji Rosyjskiej ustawę o ochronie danych osobowych, w spisie nie zostały pominięte nazwiska. Dostępne są jedynie imiona i imiona ojcowskie (tzw. otczestwa), daty i miejsca urodzin, narodowość, wykształcenie oraz informacja o miejscu przebywania głowy rodziny.

Zasadniczą część wyboru źródeł, jak zostało to już zauważone, zamykają rozporządzenia miejscowych władz związane z akcją repatriacyjną. Według polsko-sowieckich ustaleń z lipca 1945 roku o możliwość powrotu do Polski mogły ubiegać się jedynie osoby deklarujące polską lub żydowską narodowość. Osobny casus został również stworzony dla przedstawicieli innych narodów, znajdujących się bądź to w polskiej armii, bądź już na terytorium Rzeczypospolitej.

Poza 226 materiałami ułożonymi w trzech rozdziałach, omawiana publikacja zawiera również dodatkowe załączniki – słynną dyrektywę Ludowego

Komisarza Spraw Wewnętrznych Jeżowa o wszczęciu tzw. „operacji polskiej” z 1 sierpnia 1937 roku wraz późniejszymi uzupełnieniami i wykazem nazwisk osób represjonowanych na jej podstawie z obwodu tomskiego. Dodatkowo redaktor zbioru zamieścił alfabetyczny spis nazwisk pojawiających się w innych dokumentach, wykaz zastosowanych skrótów, a także listę osób opuszczających (dawnych obywateli polskich) ziemię tomską w 1944 roku.

*Polacy w kraju tomskim od lat dwudziestych do czterdziestych XX wieku* wnoszą widoczny wkład w upamiętnianie losów mieszkańców ziem polskich, którzy znaleźli się w burzliwej pierwszej połowie XX wieku na Zachodniej Syberii. Różnorodność zgromadzonych przez Chaniewicza materiałów, ich rzetelne skatalogowanie i opatrzenie, w koniecznych przypadkach aparatem naukowym, dowodzą wysokiego profesjonalizmu autora i dbałości o czytelnika. Jestem przekonany, iż książka doczeka się wkrótce polskiej wersji językowej, co w znacznym stopniu ułatwiłoby dotarcie do szerszego grona czytelników, zarówno badaczy jak i entuzjastów tematyki syberyjskiej.

*Bogusław Kosel*

- ***Wspomnienia deportowanych z ziemi podlaskiej na Syberię i do Kazachstanu w latach 1939-1956. Wybór i opracowanie Irena Kostera i Alla Gryc, redakcja Alla Gryc, Towarzystwo Przyjaciół Hajnówki i Urząd Miasta w Hajnówce, Hajnówka 2013, ss. 156 + fotografie.***

Na początku 2014 roku ukazały się drukiem te wspomnienia. Nakład sfinansował Urząd Miejski w Hajnówce przy pewnym udziale pięciu innych instytucji społecznych i prywatnych. Wybór, opracowanie i zredagowanie odbyło się „w ramach pracy społecznej” dwu sprawnych organizacyjnie pań – Ireny Kostery i Alli Gryc. Pięknie i fachowo wydana na kredowym papierze, z kolorowymi zdjęciami i w twardej oprawie, książka zawiera wspomnienia osób zesłanych na Sybir, w większości z regionu Puszczy Białowieskiej (leśnicy!). Autorkami i autorami wspomnień są ci, którzy, czasem na krótko, wrócili w rodzinne strony i mieli jeszcze siły, aby przekazać relacje ze zsyłki, najczęściej ustnie. Stanowią oni bardzo mały procent zesłańców z tych okolic na Sybir i do Kazachstanu. Na czarnobiałej okładce autorstwa panów Mariusza i Dariusza Buraczyńskich jest w manierze rysunku piórkiem symboliczny krajobraz: tor – wagon – śnieg – tajga – samotna mogiła z biało-czerwoną szarfą...

Bolesne dla relacjonujących (tego nie da się wyrzucić z siebie) i czytelników wspomnienia są wstrząsające swym realizmem i jednocześnie lakonicznością. Są tak podobne i tak różne, jak znane nam z wielu już książek i czasopism, gdyż nie mogą być inne. Ale czy DOBRO i ZŁO mają swoje granice? Tej książki nie da się czytać jak powieści, gdyż mamy do czynienia z dokumentacją, prawdą, niekiedy okrutną.

W książce zamieszczone są fotografie uzyskiwanych na zesłaniu świadectw szkolnych, w tym całkowicie pisanych ręcznie, zapewne chemicznym ołówkiem (z takiego ołówka robiony był też atrament), są reprodukcje kartek na buty, ubranie, pościel (niemożliwe do zrealizowania), pokwitowań wykonanych dniówek, zaświadczenia o pobycie w miejscu zesłania. Są też zdjęcia z domów dziecka, ale już z 1945 roku. Nawet pasuje tu archiwalna fotografia grup leśni-

ków z Nadleśnictwa Hajnówka z Puszczy Białowieskiej z 1939 roku, ufnie i dumnie spoglądających w obiektyw aparatu fotograficznego... Jest też 15 fotografii z działalności hajnowskiego Koła Sybiraków, w którym po 24 latach istnienia Koła ze 157 osób pozostało 57.

Tytuł książki byłby zgrabniejszy, gdyby usunąć słowa „z ziemi podlaskiej”, gdyż autorzy byli deportowani nie tylko z Hajnówki i okolic (20 wspomnień), ale także z Łomży, Brześcia, Grodna i Wilna. Zapewne tytuł wynika z tego, że powstałe w 1990 roku hajnowskie Koło Sybiraków zrzeszało członków wywożonych z większego obszaru Polski w przedwojennych jej granicach i byli oni zsyłani od grudnia 1939 roku do 1951 roku, a więc ta ostatnia data i lata do roku 1956 dotyczą deportacji spoza obecnych granic Polski, tak przypuszczam. Pani Walentyna Rozalski z domu Żedź, która przeżyła zsyłkę, w pobliżu swego miejsca zesłania (wywózka 10.II.1940) umieściła tablicę o treści „Pamięci Polaków zesłanych na Sybir w latach 1939-1956”. Ta dzielna kobieta, odznaczona Honorową Odznaką Sybiraka, odeszła do Pana 3.VI.2006 roku w Merrit Island na Florydzie. Tak naprawdę to rok 1956 nie jest tak zupełnie datą graniczną.

Interesującym uzupełnieniem jest lista 80 zesłańców wywiezionych 10.II.1940 r. do Ałtajskiego Kraju, umieszczonych w baraku Oзеро Zajskoje i spisanych przez jednego z nich – Mariana Kowalskiego. Zestawienie ponad 30 więźniów i rodzin z innego baraku sporządziła po 1990 roku pani Walentyna Macuta, zasłużona założycielka Koła Sybiraków w Hajnówce.

Omawiana książka jest przykładem wzorowo wydanej pozycji, świadectwem pasji jej twórców, z wykorzystaniem dostępnych jeszcze dokumentów, zapewne uratowanych w ostatniej chwili, nie mówiąc o części najważniejszej – relacjach. Wszystkim osobom zaangażowanym w ukazanie się tej książki należy się wielkie uznanie i wdzięczność; nie do przecenienia jest przy tym rola burmistrza Hajnówki pana Jerzego Siraka. Rodzinne miasto piszącego te słowa po raz kolejny może się pochwalić wartościową publikacją.

Autor niniejszych uwag jako pseudonimu użył nazwiska swego wuja, który w latach 1935-1940 był naczelnikiem stacji PKP w Hajnówce. Oficer rezerwy, brał udział w wojnie 1920 roku, jako kawalerzysta, otrzymał więc wyrok 20 lat Kołomy. Cudem ocalał i strasznie pokiereszowany z Armią Andersa opuścił ZSRR i w końcu osiadł w Anglii. Zmarł w wieku 86 lat („co cię nie zabije, to cię wzmocni”?) a prochy jego zostały rozrzucone na łączce jednego z angielskich cmentarzy. Przeszedł swoje...

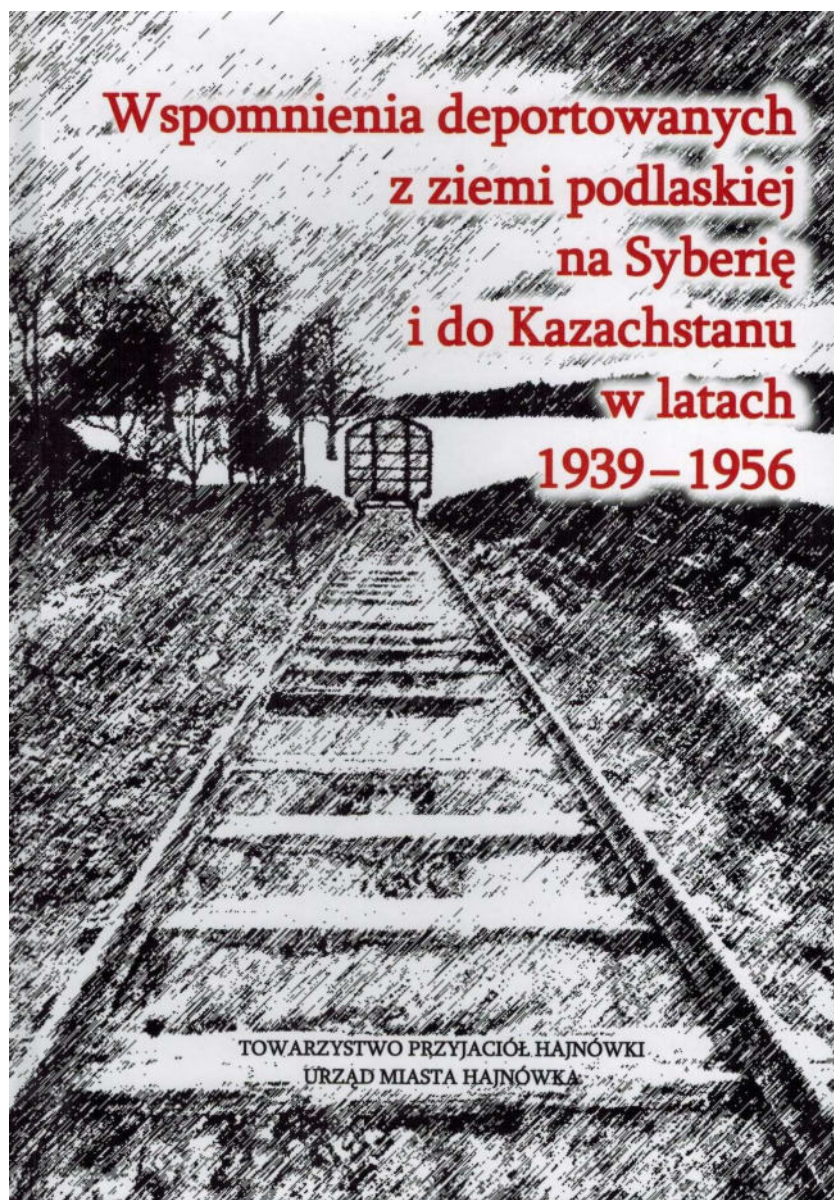
Dużo szczęścia miała Hanna Pietraszkiewicz, właścicielka bufetu na hajnowskiej stacji PKP, bardzo bliska znajoma moich rodziców. Transport więźniów, w którym była (widziałem go z odpowiedniej odległości jeszcze na stacji w Hajnówce. Zapamiętałem krzyki, płacz, wymachiwanie kolbami karabinów) wyjechał „ukompletowany”, ale na stacji w Białymstoku w niedzielę 22.VI.1941 r. został zbombardowany przez niemieckie samoloty. Dalej nie pojechał, ale innym transportom to się udało. Hanna Pietraszkiewicz przez szereg lat mieszkała „Między Torami” w Hajnówce a ostatnich dni dożyła w Międzyrzeczu.

Na zakończenie coś optymistycznego: Pewien nasz rodak przebywał w jednym z łagrów, gdzie zgłosił się do pracy jako stolarz. Pod koniec pobytu, gdy już zwalniano więźniów, poprosił komendanta obozu o zaświadczenie, że pracował w zawodzie stolarza. Ponieważ zawsze był skutecznie namolny,



otrzymał odpowiednie zaświadczenie, ostemplowane wielką okrągłą pieczęcią NKWD. Ten kawałek papieru okazał się po powrocie do Polski niezwykle cenny, otwierał wiele drzwi, załatwiał przydziały, zezwolenia, przyjęcie na studia i inne ważne życiowe sprawy. Życie przerasta wyobraźnię\*.

*Zygmunt Jancewicz*



\* Książkę w cenie 20 zł można zamawiać telefonicznie (tel. 85-682-29-69) w Miejskiej Bibliotece w Hajnówce.



- **Henryk Kanikuła, *Kurhan Polki*, Wydawnictwo Norbertinum, Lublin 2013, s. 208.**

*Kurhan Polki* jest opowieścią Sybiraka – Henryka Kanikuły o zniewoleniu, „głodzie, nędzy i upodleniu” (s. 9), walce i harcie ducha ludzkiego oraz wielkiej miłości do Ojczyzny. Wspomnienia pełne bolesnych przeżyć, ale też bohaterskiej postawy, radości życia, młodszych uniesień i przygód. Wielu młodych ludzi na lekcjach historii nudzi się, ziewa i bez zapału wkuwa daty i wydarzenia. Obojętne spojrzenie na jakiś fragment historii zmienia się, gdy ta historia staje się czymś udziałem, dotyka pojedynczego człowieka, przysparza mu cierpienia i bólu. Syn pana Henryka zachęcił ojca do wspomnień o dalekich stepach Syberii i czasach wojennej tułaczki, jednocześnie odkrywając tragiczną ale i niezwykłą przeszłość. Nam czytelnikom także udaje się wraz z autorem książki doświadczyć „namacalności” historii.

Wspomnienia rozpoczynają się od *Dzieciństwa* spędzonego w Dubnie, powiatowym miasteczku na Wołyniu. Poznajemy wygląd, strukturę społeczną i codzienność tej kresowej miejscowości, a następnie życie rodzinne pana Henryka. Niemal sielankowy obrazek małomiasteczkowy przerywają wydarzenia z 1939 roku, a zwłaszcza wkroczenie Armii Czerwonej do Dubna. Autor pisze: „Dla nas to byli Bolszewicy i Moskale, sowieccy *krasnoarmiści*, którzy wbili nóż w plecy broniącej się Polsce. Taka była nasza opinia i taka pozostanie w mojej chłopięcej pamięci” (s. 24). Aresztowania, donosicielstwo, stacjonowanie jeńców wojennych stało się „chlebem powszednim”. Dla rodziny Henryka Kanikuły tragiczne wydarzenia rozpoczęły się 13 kwietnia 1940 roku, gdy wraz z matką i bratem (ojciec i starszy brat byli wcześniej aresztowani) zostali deportowani.

Długa, uciążliwa, trwająca ponad pięć tygodni podróż, z wieloma smutnymi wydarzeniami, ale też nowymi doświadczeniami, zakończyła się w rozległych stepach Kazachstanu. Pierwsze wrażenie z nowego miejsca autor tak opisuje: „Staliśmy ogłupiali, nie zdając sobie sprawy, że tu w gołym stepie mamy pozostać sami, zdani na łaskę nieba i stepu, w tym bezmiarze pustkowi, jakiego nas otacza” (s. 71). Polscy zesłańcy mieli sobie „czynić ziemię poddaną” na bezludnym stepie czyli zbudować posesje i kołchoz. Henryk Kanikuła doskonale pamięta, mimo upływu wielu lat, że bezkresny step wywołał u wszystkich zesłańców poczucie beznadziei i zagubienia. „[...] wiedząc o zesłaniu, liczyliśmy na ciężką pracę, jakiś nad nami nadzór, ale wśród ludzi, w domach, gdzie będzie piec, woda, jakieś choćby prymitywne legowisko. Natomiast to, co nas tu spotkało, nie mieściło się w naszej wyobraźni ani przypuszczeniach” (s. 75). Po protestach i prośbach deportowanych przewieziono do koreańskiej osady w rejonie kazachstańskim.

Zwykłe życie zesłańcze opisuje autor w swej książce, czyli warunki mieszkaniowe i sposoby na przeżycie. Wyprzedawanie rzeczy i kołchozowe prace stały się powszedniością. Życie na zesłaniu nie jest przedstawione jako pasmo katorżniczej pracy, wyzysku, prześladowań, ciemienia. Młody chłopak, jakim wówczas był Henryk Kanikuła odnajduje dobre strony tego syberyjskiego bytowania, cieszy się z pracy i włączenia do grupy mężczyzn, potrafi dostrzec piękno przyrody i przyjacielskich ludzi, przeżywa pierwsze zauroczenia i miłosne uniesienia. „Wtedy to, spośród całej koreańskiej gromadki, zwró-

ciłem uwagę na jedną dziewczynę o lekko skośnych oczach, subtelnej buzi i delikatnej, prawie aksamitnej cerze. Długo trzymałem jej drobną rączkę w swej dłoni. Patrząc prosto w jej oczy, stwierdziłem, że z całą pewnością będę się starał o jej względy i że ta dziewczyna będzie mi najbliższą osobą w moim niewolniczym bycie” (s. 105). Praca i zabawa, radość i smutek, dobre i złe chwile wzajemnie się przeplatały na dalekiej rosyjskiej ziemi. Dla autora Kazachstan stał się niemal domem. Stwierdza: „Patrzyłem na falujący step, jak na żywioł bez groźby. Oswoiłem się z nim, czułem sentyment do koni i stepu” (s. 110) i nieco dalej dodaje: „Bogu niech będzie chwała za zsyłkę! Może i lepiej, że tu jestem, a nie w piekle wojny” (s. 112).

To, co wyróżnia wspomnienia Kanikuły, to bardzo ciekawy opis różnych prac i czynności np. sianokosów, ujeżdżania koni, akcji omłotowej. Na uwagę zasługuje także skrupulatne przedstawienie syberyjskich żywiołów, choćby *buriany* czyli śnieżnej zawieruchy. Życie zesłańcze Henryka Kanikuły przerwało wcielenie do Armii Czerwonej. Ciężka to była służba, ale udało się zbiec do wojska generała Berlinga. Bohater tych wspomnień stał się żołnierzem I Dywizji Kościuszkowskiej. Dla młodego Henryka nie była ważna propaganda polityczna i ideologiczna, a „dla nas wszystkich Polaków, było ważne, że idziemy stale na zachód. Z każdym dniem marszu zbliżamy się do Polski bez względu na to, jaka ona będzie, ważne jest, że Białą-Czerwona. Orzeł bez korony? Twierdzą, że to piastowski, że taki był – poczekamy i zobaczymy” (s. 194). Pojawiły się też pewne dylematy, o których tak autor pisze: „Co mi przyjdzie zrobić, jak spotkam się oko w oko ze swoimi braćmi, będącymi po drugiej stronie? Oni są żołnierzami rządu londyńskiego, ja natomiast służę w Ludowym Wojsku Polskim generała Berlinga. Kto z nas okaże się zwycięzcą, a kto będzie musiał ustąpić? Ta myśl nurtowała mnie przez długie miesiące” (s. 195).

Cała rodzina Kanikułów przeżyła wojnę, a powojenne losy Henryka są pokazane w recenzowanych wspomnieniach. Historia zesłańcza autora jest jedną z wielu opowieści o Syberii. Jej wyjątkowość polega na pokazaniu człowieczeństwa bez względu na przynależność narodowościową. Dobrzy, przychylni, pomocni ludzie to Ukraińcy, Żydzi, Koreańczycy, ale także sowieci i inni. Niehumanitarny system nie zabił humanizmu w pojedynczych jednostkach. Walecznością tych wspomnień jest także umiejętne oddanie normalnego życia w rejonie kazachstańskim, bez martyrologicznego zabarwienia.

Ocena zesłania nie może być czyniona machinalnie. Słowa samego Henryka Kanikuły są najlepszym tego dowodem: „Zbawienny Kazachstanie! Dziękuję ci za to, że wzięłeś mnie w swe ramiona, otuliłeś nędzą głodu, robactwa i chłodu. Gdyby nie twoje gościnne ziemianki, mógłbym wyjść przez komin krematorium bądź zginąć z rąk bolszewickich siepaczy albo na Wołyniu z rąk zbirów spod znaku UPA” (s. 204). Wspomnienia Kanikuły nie są tylko narracją autora. W formie dialogu poznajemy przeżycia i doświadczenia wielu osób. Książka godna polecenia ze względu na treść i sposób opisu wydarzeń.

*Małgorzata Dziura*

## **Apel do Prezesów Oddziałów Związku Sybiraków**

Dzieje Polaków na Syberii oraz badania naukowe prowadzące do pełniejszego poznania tych wielowątkowych losów zesłańczych stały się obecnie jedną z ważnych potrzeb dokumentacyjnych, które wpisane są w program kwartalnika „Zesłaniec”, wydawanego od 1996 roku przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

Relacje Polaków zesłanych na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony Związku Sowieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu stanowią ważne ogniwo długiego łańcucha naszej historii za Uralem. Redakcja „Zesłańca” problematyce tej poświęca należną uwagę i w dziale „Relacje z zesłania” publikuje wspomnienia stanowiące ważną część naszych syberyjskich losów. Bez wątpienia są one niezbędne dla historyków, politologów czy socjologów do tworzenia opracowań pozwalających pełniej odtworzyć obiektywny obraz zesłańczego życia. Zatem wspomnienia „z domu sowieckiej niewoli”, to pomoc w wielu kwestiach naukowych, to bogate źródło wiedzy pozwalające na wyjaśnienie i przedstawienie wielowymiarowej codzienności na zesłaniu – w łagrach, posiołkach czy więzieniach.

Mając na względzie stałe ubogacanie źródeł z tego zakresu redakcja „Zesłańca” zwraca się z prośbą do Prezesów Oddziałów o zainteresowanie Członków Związku Sybiraków o przesyłanie materiałów (wspomnień, korespondencji, fotografii, dokumentów – świadectwa szkolne, legitymacje ZPP, książeczki wojskowe itp.) będących odbiciem zesłańczych losów na Syberii, w Kazachstanie, na Dalekim Wschodzie i w innych rejonach Związku Sowieckiego. Materiały te po opublikowaniu w naszym kwartalniku zostaną zwrócone ofiarodawcom. Korespondencję proszę kierować na adres:

**Redakcja kwartalnika „Zesłaniec”,**

**ul. Bystrzycka 61/3**

**54-214 Wrocław**

Email: bakucz@op.pl

abkucz@gmail.com

## **APEL**

Szanowni Państwo

W związku z przygotowywaną publikacją książkową oraz reportażem telewizyjnym poświęconym ostatniej wielkiej budowie Stalina: Transpolarnej Magistrali Kolejowej zwanej Martwą Droga lub Droga Umarłych zwracamy się prośbą o kontakt do wszystkich osób oraz rodzin osób represjonowanych w łagrach zlokalizowanych przy tej budowie. Projekt Magistrali realizowano w ramach dwóch inwestycji położonych w środkowej Syberii na wysokości koła podbiegunowego określanych jako:

Strojka 501 (Budowa 501) na obszarze dzisiejszego Jamalsko-Nienieckiego Obwodu Autonomicznego – od miasta Salechard i Łabtynangi nad rzeką Ob przez Nadym i Nydę do miasta Nowy Urengoj nad rzeką Taz.

Strojka 503 (Budowa 503) na obszarze dzisiejszego Kraju Krasnojarskiego – od miasta Igarka nad Jenisejm, przez Jermakovo oraz osady Kastjor i Janov Stan do miasta Taz na rzeką Taz.

Martwa Droga budowana była w latach 1949-1953 i ewakuowana w kilka tygodni po śmierci Stalina, a zatem więziono tam osoby aresztowane pod koniec II Wojny Światowej lub już w okresie powojennym.

Poszukujemy wszystkich mogących mieć informacje o jakichkolwiek polskich śladach na tym terenie. Prosimy o zgłaszanie się wszystkich osób, bez względu na wysokość wyroku oraz charakter pracy wykonywanej w okresie uwięzienia. W szczególności poszukujemy rodzin lub osób mogących znać Pana Wojciecha Borsuka (ostatnie miejsce pobytu: Ręczyn, województwo dolnośląskie, powiat zgorzelecki) oraz Pana Józefa Duńca (ostatnie miejsce pobytu: Szczecin), którzy zgodnie z ich relacjami zachowanymi w Archiwum Historii Mówionej Ośrodka Karta byli więzieni na Strojce 503.

Wspomniane publikacje przygotowywane są w ramach projektu „Martwa Droga 1953-2013” – wyprawy reportersko-badawczej, której uczestnicy dotarli do zaginionych łagrów zlokalizowanych na Strojce 503 w okolicach osady Janov Stan. Przedsięwzięcie realizowane było we współpracy z magazynem historycznym „Odkrywca”, New York University oraz Domem Spotkań z Historią i pod patronatem honorowym Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Więcej informacji można znaleźć na stronie:

**[www.martwadroga2013.pl](http://www.martwadroga2013.pl)**

Osoby mogące udzielić informacji prosimy o kontakt z redakcją „Zesłańca”.

Z poważaniem  
Tomasz Grzywaczewski  
Kierownik projektu „Martwa Droga 1953-2013”

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,  
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

### Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach ( $\pm 1$  egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberią, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków  
PKO BP S.A. I O/Warszawa  
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y ń s k i  
Przewodniczący Rady Naukowej  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków